

Rocher Marylène

Kochane małość

1

Sandra otwiera oczy. Jej różowe, a właściwie czerwone wargi, zlepione jeszcze odrobinę przez sen szepczą: „Środa”. Przedszkole jest zamknięte, więc senne marzenia mogły trwać dłużej niż zwykle, a najstarszy brat Wilhelm nie przyszedł, by ucałować małą pięcioletnią dziewczynkę na dzień dobry. Ten pocałunek budzi ją w dni, gdy trzeba iść do przedszkola: Wilhelm wchłania w nozdrza zapach mleka, którym pulsuje delikatna skóra dziecka. Mógłby bez końca wdychać ten charakterystyczny zapach dziecka-kobiety.

Pewnego ranka, gdy powiedziała mu, że czuć od niego tytoń, odparł:

— Siostrzyczko, pierwszy papieros to smak dnia... A twoje włosy przesiąknięte są zapachem lalek.

— Myślisz tylko o dziewczynach.

— Kto ci to powiedział?

— Nana.

Duży chłopak, nad miarę długi jak na swoje piętnaście lat, wyprostował swe bocianie nogi, by wstać z łóżka na którego brzegu siedział. Wybuchnął głośnym, radosnym śmiechem, mile połechtany opinią donżuana, głoszoną przez jego drugą siostrę, Nadine. Tę pulchną Nadine, za którą już teraz oglądali się wszyscy chłopcy w liceum.

— Pośpiesz się, Sandra. Twoja butelka czeka już na ciebie w kuchni. Amandyna trzyma ją w ciepłe...

Po pocałunku Wilhelma butelka jest drugim rozkosznym momentem dnia pełnego drobnych przyjemności, cennych i niezastąpionych... Sandra uparcie odmawia picia swojej porannej czekolady z filiżanki. Nie wyobraża sobie dnia, kiedy to mogłaby zrezygnować z przyjemności, jaką daje jej delikatne przygryzanie smoczka, tego wiernego jej od samych narodzin towarzysza. Smoczek, który zastępował jej matczyną pierś, letnia butelka, którą może przytulić niczym ulubione zwierzątko, kropla mleka spływająca jej po brodzie, gdy ssie zbyt szybko.

Kiedy matka po raz kolejny próbowała nakłonić Sandrę do picia z filiżanki, kąciki jej ust zaczęły drgać tak, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem. Nie nalegano oczywiście. Przelano czekoladę do butelki, która panoszyła się, szydercza i wyzywająca, na kuchennej etażerce. I tym razem bitwa została wygrana.

Sandra czuła, że szczęście zdobywa się w ten właśnie sposób, poprzez odmowę ulegania woli innych. Jedyne ona wiedziała przecież, jak sprawić swemu ciału przyjemność i co wzbudza w nim dreszcze rozkoszy.

— No, już czas — mówiła Antonina, jej matka — wychodź z wanny!

— Nie, chcę jeszcze zostać!

I aż do momentu, gdy woda stawała się nieprzyjemnie chłodna, skakała w wannie, ochlapując ryzykanta, który zamierzał ją z niej wyciągnąć. Jakim prawem miano by zabronić jej tej przyjemności, tych chwil spędzonych w towarzystwie krokodyla i żółwia, kupionych na targu przez Wilhelma?

W dni bez przedszkola, a więc i bez Wilhelma, jako pierwszy zjawia się Tristan. Ma sześć lat, o rok więcej od Sandry. Był bardzo duży i bardzo silny już wtedy, gdy zjawił się w rodzinie Pontevaux.

Większy niż inne psy boksery, na znacznie wyższych nogach.

Franciszek Pontevaux, ojciec Sandry, miał klienta,

który jest właścicielem wielkiej psiarni w Fulvy. Co pewien czas przyjeżdżał kupić jakiś, jak mawiał, „stary rupieć” by podarować go którejś ze swych przyjaciółek. Obaj zresztą wspólnie organizowali sobie wspaniałe kawalerskie wypady po okolicy. Psi dyktator odkrył kiedyś, że te stare cacka cieszą kobiety podobnie jak biżuteria, a nie są tak drogie jak więc Tristan został wymieniony za pewien stół do gry niepewnego zresztą pochodzenia. Był to pies z rodowodem. A co jeszcze rzadsze, w ogóle się nie ślinił No chyba, że jadł cukier.

- Chciałbym boksera dla Sandry — rzekł Franciszek Pontevaux do towarzysza rozpustnych zabaw — To idealny pies dla dzieci... Ale koniecznie chcę takiego, który się nie ślini! ¹

To trudno zagwarantować...

— Postaraj się.

Tristan się nie ślinił. Sandra ledwie zaczynała mówić kiedy już umiała zwracać uwagę starym, perfidnym, a może tylko nieświadomym — jak to sprawdzić? — kobietom — Tristanowi nie dawać cukru, bo się ślini' — Nana uwielbia to zdanie i każe Sandrze bez przerwy je powtarzać Tristan lize ją rozkosznie. Sandra nie wyciera mokrego policzka, bo zapowiada się kolejne, jeszcze bardziej wilgotne od pierwszego liźnięcia. Sandra uwielbia ugniatać całymi dłońmi jego skórę, pomarszczoną niczym zbyt -duże ubranie, przeznaczone dla kogoś, kto rośnie. Małeńkie dłonie, które ciągną za wargi, odkrywają groźne, ale i bardzo kochane zęby. Rączki rozszerzają pełne czułości oczy, drażnią równo przycięte uszy.

Podczas pięciu lat i ośmiu miesięcy mieli oboje dosyć czasu, by się wzajemnie oswoić! Latem zawsze szukali cienia, gdy tymczasem wszyscy goście państwa Pontevaux wystawiali się na słońce w parku, którego trawniki okalały wielki dom — oazę w samym środku miasta. Była to twierdza otoczona wysokimi murami, której zazdrościła im cała burżuazja w Foussy.

— Sandro — krzyczała Antonina — chodź się pobawić na słońcu! — Po czym, zwracając się do któregoś ze swych wielbicieli, dodawała: — Moja córka w ogóle nie wdała się we mnie. Proszę spojrzeć, ja jestem już czarna jak Murzynka...

Ciągle odnosiła wrażenie, że nie dosyć się jej przyglądano. Zimą robiła się na romantyczkę o porcelanowo bladej twarzy, latem wołała egzotykę.

Sandra i Tristan "kpili sobie z tych kolejnych wcieleń bóstwa rodziny Pontevaux, szczególnie zaś z rozwiąłości Antoniny. Poszukiwanie chłodu wiodło ich do najskrytszych zakątków parku.

Najbardziej ciągnęło ich do źródła. Było zaniedbane, pokryte pianą. Ukryte za wysoką trawą monotonnie szumiało. Kładli się oboje na ziemi i pili z niego łąpczywie. A ponieważ nadchodziła właśnie godzina sjesty, Sandra zasypiała słodko, przytulona do psiego boku, tak samo pełnego życia jak brzuch matki.

Nocna koszula z błękitnej bawełny unosi się wysoko w górę, gdy wyskoczywszy z łóżka Sandra dosiada Tristana niczym konia. Delikatna sierść psa, którą czuje między gołymi udami, rozśmiesza ją do łez. Pies natomiast jest zbyt dużym amatorem zabaw, by odmówić dziecku czegokolwiek. Ale jego ciągle wilgotne oczy pod zawsze zmarszczonym czołem, jak gdyby były zaprzątnięte poważnymi myślami, te tkliwe oczy mówią, że Sandra jest już dość ciężka. Zresztą ona nie nalega. Zależało jej tylko na owej pieszczocie między udami, w tym wrażliwym miejscu, do którego czasami błędzą jej ręce, kiedy z nie słabnącym wciąż zdziwieniem Sandra obserwuje swe ciało.

— Tristan — mówi, zeskakując ze swego wierzchowca — chcę siusiu!

Tristan biegnie za nią do maleńkiej różowej łazienki, którą Sandra dzieli z Naną. Uważnie obserwuje ją, gdy ta podnosi aż do pępka swą nocną koszulę. Tristan wydaje się pochwalać fakt rozpoczęcia dnia od owego aktu, który

jest dla niego potwierdzeniem prawa do pewnego terytorium. Jest zadowolony, że dziecko od samego rana rozsiewa wkoło swą Woń.

— Przyglądasz mi się, nicponiu — mówi Sandra, powtarzając zdanie, które usłyszała z ust Nany, kiedy ta przyłapała Wilhelma przy szparze w drzwiach łazienki. Prawie nigdy nie pamięta o tym, by je zamknąć.

Tristan wesoło merda koniuszkiem swego ogona, który zostawił mu weterynarz — bokserskie szlachectwo zobowiązuje. Zaraz potem rusza w drogę, wyprzedzając Sandrę na tej dobrze znanej obojgu trasie, która prowadzi do kuchni pełnej zapachów i niezliczonych pokus.

Dom jest tak duży, że dziecko i pies mogą bez końca uprawiać harce wzdłuż długich korytarzy oraz na szerokich, prowadzących na parter schodach. Tristan zaczyna szaleć. Niewiele brakowało, a Sandra potknęłaby się na niezbyt dobrze przymocowanym, trochę ślizgającym się na marmurowych schodach dywanie w kolorze zgaszonej czerwieni. Sandra, jak zawsze w podobnych sytuacjach, wybucha głośnym śmiechem.

— Wolniej, maleńka! — dobiega ją głos ojca. Franciszek Pontevaux, potężny w swych wysokich myśliwskich butach, stoi z otwartymi ramionami u dołu schodów. Sandra rzuca się w jego stronę, przytula do zamszowej kurtki, która zawsze pachnie tytoniem, mokrą sierścią psa i lasem. Wszyscy mówią, że pewnego dnia Wilhelm będzie tak samo wysoki jak jego ojciec, ale to raczej niemożliwe. Franciszek Pontevaux jest bowiem kolosem. Kiedy podnosi Sandrę z podłogi, ona ma wrażenie, że zaraz wyląduje na żyrandolu, niczym ptak na swym gnieździe.

— Dobrze spałaś, dziecinko?

— Tak, tak — piszczy z ukrytą w jedwabnym szalu twarzą, przytulona do jego szyi, znacznie bardziej delikatnej niż policzki, które mimo golenia pozostają jednak zawsze szorstkie.

— Maleństwo pójdzie teraz wypić swoją butelkę?

— Tak, tak...

Sandra zsuwa się po cieple swego ojca zupełnie tak, jakby ześlizgiwała się z olbrzymiego drzewa. Gdy tylko jej stopy dotykają ziemi, Tristan rusza, mknąc jak strzała przez długi, prowadzący do kuchni korytarz dla służby, wzdłuż którego stoją w szeregu przypominające o istnieniu przedszkola wieszaki na płaszcze. Wiszące na nich ubrania przeciwdeszczowe wyglądają jak duchy. Tutaj gromadzą się wszystkie wierzchnie okrycia rodziny Pontevaux, począwszy od długich trenczów ojca i Wilhelma, aż do maleńkiego, niebieskiego nieprzemakalnego płaszczyka Sandry. Tutaj zabawa polega na tym, aby, zanim się dotrze do kuchni, wszystkie nakrycia zdążyć pogłaskać, tak jakby chciało się zawładnąć tym niewielkim światem, jeszcze zanim dzień rozpocznie się na dobre. Tristan z kolei niestrudzenie obwąchuje równo ustawione kalosze, których każda para znajduje się pod odpowiednim płaszczem. Dochodzący z kuchni śmiech Nany sprawia, że Sandra przyspiesza kroku. Chce jak najszybciej tam dotrzeć, by przytulić się do piersi swej ukochanej siostry.

Sylwia, najmłodsza spośród trójki „dużych”, w okularach o drucianych oprawkach, które ją postarzają, nieustannie pogrążona jest w książkach i naukowych rozprawach, dzięki czemu w wieku trzynastu lat jest już w pierwszej klasie liceum. Teraz też ledwie podnosi oczy znad szaro oprawionego tomu, który leży w sąsiedztwie stosu kanapek. Sandra całuje ją grzecznie. Potem przychodzi kolej na Antoninę, a później na Amandynę, która jest służącą. W końcu dziewczynka wspina się na kolana Nany. To właśnie tutaj wypije swą butelkę, którą Aman-dyna ciągle utrzymuje w stałej temperaturze.

Sandra zamyka oczy, z rozkoszą gromadzi w ustach ciemny płyn, którego smak przenosi ją w świat czekolady, cukru i rozkoszy. Nana gładzi ją po włosach, mrużąc w rytm wyliczanki:

Sandra i Nana Pójdą na spacer Gniazdko zobaczą Zobaczą ptaka Nana znalazła Ukryte w krzakach Malutkie gniazdko I mamę-ptaka.

Ciche beknięcie Sandra pokrywa promiennym uśmiechem. Ranek zaczyna się bowiem od wspaniałej obietnicy.

— No nie — mówi Sylwia — przecież to nie jest już niemowlę. Wydaje ci się, że masz lalkę, czy co? W zasłonach w czerwono-niebieską kratkę igra kwietniowe słońce. Obszerna kuchnia skąpana jest w złocistym świetle, które odbijają miedziane rondle oraz idealnie wypolerowany kredens. Pralka, maszyna do zmywania naczyń i ogromny kuchenny piec, lśniące laboratoryjną bielą, otoczone są różową poświatą łagodnego o tej porze dnia słonecznego światła.

— Sandra, już czas się ubrać — mówi Antonina, ospale gasząc na spodeczku pierwszego tego dnia papierosa.

Długi stół jest polem walki, na którym bój toczą czarna kawa Antoniny, herbata Sylwii, kakao Nany, kromki chleba posmarowane masłem, konfiturami lub miodem i lepkie od żółtek kieliszki do jaj. Nad całym tym bezładem, tak charakterystycznym dla licznej rodziny, zapanuje dopiero niezrównana Amandyna ze swą nieodłączną ścierką. Pusta butelka dopełnia właśnie bałaganu. Najstarszy z kotów syjamskich, pogardziwszy miską mleka, nadstawia kark pod leniwe pieszczoty Antoniny, która wzdycha ciężko:

— Ostatni raz kładę się spać tak późno... Sylwia podnosi znad książki nos:

— Zawsze tak mówisz... Tatuś to przynajmniej wytrzymuje... Byliście u państwa Breuillot?

— Tak... Są śmiertelnie nudni, ale to dobrzy klienci. Nie mogliśmy im odmówić. Tym bardziej, że ich nowy dom jest już prawie skończony. Chcą go umeblować antykami.

Sandra puszcza mimo uszu te historie dorosłych. Bo dla niej Sylwia jest już dorosła. Wtrąca się do wszystkiego z poważną miną osoby dojrzałej. Teraz też z uwagą przygląda się swej matce, by dobrze ocenić, jak bardzo zmęczył ją poprzedni wieczór. Wygląda jak cenzor zajmujący się skutkami uroczystych kolacji. Nic więcej już nie mówi, zaciska jednak znacząco wargi, by dać do zrozumienia, że myśli swoje. Zdecydowanym gestem zamyka książkę, dopija swą wystygłą herbatę i wychodzi z kuchni z godnością, która rozśmiesza Nanę.

— Ona zawsze tak wygląda, jakby miała do wszystkich o coś pretensję.

— Dużo pracuje — odpowiada matka — to ją męczy.

Za to ty...

- ja - wtrąca ostro Nana — jestem jak Sandra, ja żyję.

— Chcę się wykapać — mówi Sandra.

— Kąpałaś się wczoraj wieczorem — mówi Antonina. Poza tym nie mam czasu. Umyjesz się tylko szybciotko sama.

— Och!...

To „och!” wykonuje komediantka, która wykrzywia usta Sandry, marszczy jej czoło, sprawia, że łzy napływają już do oczu. To jest „och!” pełne rozgoryczenia, nawet rozpacz, której nikt nie potrafi się oprzeć.

— Wykąpiesz się ze mną — proponuje Nana. — Pomyśl tylko, my dwie w wannie, a wokół pełno piany. Potem pójdziemy obejrzeć ptaszki.

Czy to słowo „ptaszki” sprawia, że najmłodszy spośród syjamskich kotków zrywa się z miejsca?

Wskakuje na stół i przewraca pełną mleka butelkę o szerokiej szyjce. Mleko wylewa się z niej żałośnie, cichym gulgulgul. Sandra

wybucha głośnym śmiechem. Cała ta historia rozwesela ją do łez, jej buzia staje się różowa z- radości.
— Dosyć już mam tego bajzlu — warczy Sylwia-z-Kwaśną-Miną, która wróciła właśnie po książkę.
Wilhelm, który stoi oparty o framugę drzwi obok swego ojca — tworzą tam piękną parę olbrzymów
— zaczyna się głośno śmiać.

— Co ci jest, że ciągle tak zrzedzisz? Powinnaś czasami sobie ulżyć, to by ci na pewno dobrze zrobiło!

— Kto was nauczył tak do siebie mówić? — beszta ich Franciszek.

Widać jednak, że go to rozbawiło.

Pochyliła się nad Sandrą, wciąż jeszcze tulącą się do Nany. Ojciec w rozmarzeniu przygląda się dwóm córkom z czułością prawie zmysłową. Jego ręka błądzi w stronę karku Nany, dłoń staje się coraz cięższa, pieszczota coraz wyrazistsza. Nana zamyka oczy. Sylwia przygląda się temu z groźną miną.

— Ten wczorajszy wieczór mnie dobił — mówi Antonina — ale muszę się wreszcie ruszyć...

Mówi to do samej siebie, w pustkę, zapalając równocześnie kolejnego papierosa. Nienawidzi tego momentu dnia, kiedy musi wrócić do roli rządcy, by ustalić z Aman-dyną całodzienne menu, listę obowiązków dla służącej, Fernandy Ferac, która o niczym nie potrafi zdecydować sama, podobnie zresztą jak jej mąż, Jan Ludwik, który jest ogrodnikiem.

Antonina spogląda z roztargnieniem na swoje dzieci: Wilhelm kroi sobie grube kromki i chciwie pochłania kawę. Jadł tak ładnie, gdy był mały. Ale jakie to ma właściwie znaczenie? Urok tego domu polega właśnie na tym, że nie istnieją w nim żadne ograniczenia, że panuje całkowita wolność, czego przykład dają ona i jej mąż, nierzadko ku wielkiemu zgorszeniu całej burżuazji w Foussy. W tym domu można krzyczeć, śmiać się, uprawiać miłość. Cóż może być bardziej niezwykłego w społeczeńst-

wie niespokojnym i małosłownym, gdzie wszyscy się wzajemnie szpiegują?

Antonina uśmiecha się na widok Nany mruczącej cicho pod wpływem pieśczoćy ojca. Zna dobrze zalety rąk Franciszka. Zawsze potrafiła je docenić. Jeszcze dzisiaj, kiedy się kochają, zawsze prosi go o tę pieśczoćę palców i wnętrza dłoni po karku. — Z innymi, mówi wtedy, nigdy nie jest mi tak dobrze.

A przecież „innych” ciągle nie brakuje. Jest ich tak wielu, jak niezliczone są podboje Franciszka.

Przynosi ich, a „potem unosi z sobą wiejący w rodzinie Pontevaux wiatr wolności.

Sandra skręca się ze śmiechu, bo ojciec łaskocze ją prawą ręką po kolanach. Lewa zarezerwowana jest dla Nany.

— No — mówi w końcu Franciszek — dosyć tego, muszę już iść. Trzeba odwieźć ten bilard w stylu Napoleona III, idziesz ze mną, Wilhelm? Rusz się trochę, dosyć już zjadłeś. Jak tak dalej pójdzie, nie będziesz w stanie go podnieść, będziesz od niego cięższy... Na szczęście jest jeszcze Jan!

— Jan mógłby podnieść ten bilard sam, bez niczyjej pomocy — mówi Wilhelm.

Wyraziwszy w ten sposób swój dobrotliwy stosunek, jaki stara się mieć do syna, Franciszek Pontevaux po raz ostatni głaszcze Nanę, ostatni raz łaskocze Sandrę. Nana, z przymkniętymi oczami, wydaje się budzić z jakiegoś snu, gdy ręka ojca opuszcza jej kark.

— Nasza kąpiel, Sandro, idziemy?

Kolejne wysiłki Amandyny i Fernandy, mające na celu utrzymanie porządku i czystości w łazience dzieci państwa Pontevaux, zawsze szły na marne. Kwadrans po ich wyjściu wracała do łask anarchia. Maszynka do golenia należąca do Wilhelma ustawia się obok rumiankowego szamponu Nany, która ciągle obawia się, by jej jasne

włosy nie zaczęły ciemnieć. Ku rozpaczy Sylwii jej ręcznik, który starannie rozwiesiła z boku, leży teraz razem z innymi. Co do porzucanych wszędzie zabawek Sandry, które czekają na zabawę z nią w wannie, chęć ułożenia ich wydawała się doprawdy zbędna i zgoła dziwaczna. Zabawki sprawiają wrażenie, jakby to jakiś złośliwy chochlik bez przerwy rozrzucał je wszędzie, począwszy od brzegów umywalki, a na dnie bidetu skończywszy. Zajmują one tyle samo miejsca, co mydła, butelki z wodą kolońską i oskubane szczoteczki do zębów razem wzięte. Także w szafce--apteczce sąsiadują one z tamponami OB należącymi do Nany. Takich samych używa Sylwia, ale ona swoje trzyma u siebie od dnia, gdy z łazienki dobiegł ją szaleńczy śmiech Nany: pochylona nad wanną Sandra ze zdziwieniem patrzyła na białe laseczki, które zamiast pływać, nasiąkały wodą.

Wilhelma i Nanę bawi ta niewinna wszechobecność Sandry. Nie przesuwają jej zabawek ani nie próbują ich układać. Przestali jej też przypominać, jaki kolor ma jej szczoteczka do zębów. Przyzwyczaili się już odnajdywać mydło w umywalce pełnej wody, w której pływają właśnie żółw i krokodyl. W figlarnym wyrazie twarzy małej siostrzyczki odnajdują swoją własną niezależność, poczucie radości i szczęścia, potrzebę beztroski i śmiechu. Wiedzą dobrze, że w innych rodzinach dorosłych drażni to, co nazywają wybrykami maluchów. Oni zaś, mimo iż nie potrafią tego wyrazić, zachwycają się widokiem otwierającej się na świat, niczym kwiat na poranną rosę, Sandry.

2

— Zajmujesz całe miejsce — mówi Sandra.

Nana przesuwa się odrobinę w wannie. Wodę pokrywa niewielka warstwa piany. Zawsze, gdy ma się kąpać razem z Sandrą, wsypuje mniej soli z obawy, by nie podrażniła ona oczu jej małej siostrzyczce. Dziewczęta są do siebie szalenie podobne, a zwłaszcza teraz, gdy obie mają wysoko upięte włosy. Wyglądają niczym dwie Charlotty Corday, knujące w wannie spisek. Zabójca na miejscu ofiary.

Podwojony, uroczy morderca

o wspaniałych kosmykach jasnych włosów, które umykają spod spinek. Dziewczęta leżą w wannie na waleta. Sandra, przyznając swej siostrze prawo starszeństwa, zostawia jej lepszą stronę wanny, tam gdzie można wygodnie oprzeć głowę nie zawadzając o kurki. Stara wanna jest wystarczająco szeroka, by ich ciała mogły swobodnie się przesuwać, lekko o siebie ocierać, nie przeszkadzając sobie jednak nawzajem. Sandra uwielbia muskać palcami nóg brodawki Nany, które zarówno pod wpływem letniej kąpieli, jak i całkiem zimnego prysznica stają się twarde i wypukłe. Małej nie są potrzebne żadne inne zabawki. Nana przystaje na wszystkie pomysły siostry, nawet wtedy, gdy jej stopa przesuwa się w dół brzucha.

— Masz jeszcze więcej włosków niż poprzednio — mówi Sandra.

— Nie, na pewno nie — odpowiada Nana, dziwnie chrapliwie chichocząc.

— Ależ tak, tak. Dobrze to czuję... Poczekaj, pozwól mi sprawdzić.

— No, dosyć już tego, to mnie... To mnie łaskocze. Mimo to jej ręka zaczyna delikatnie pieścić upartą stopę Sandry, kieruje nią łagodnie. O tym, że jest to tylko zabawa, świadczy głośny śmiech młodszej siostry.

— Zrób mi tak samo — prosi dziecko.

Nana gotowa jest zadośćuczynić tej prośbie. Przesuwa się w kierunku Sandry, rozlewając dookoła mnóstwo wody. Po chwili jednak zaczyna się wahać. Sandra jest taka delikatna, jej pleć taka naga i różowa. Twardego języczka także nic nie kryje... Koniuszkami palców Nana zaczyna delikatnie muskać brzuch dziewczynki. Dobrze pamięta czas, kiedy sama poznawała te pierwsze pieszczoty. Mogła mieć wtedy pięć czy sześć lat, jak teraz Sandra. Towarzyszyło temu przede wszystkim zdziwienie, a potem dopiero jakieś niejasne uczucie podniecenia. Dopiero w jakiś czas później przerodziło się to w coś zupełnie innego. Sandra widać nie odkryła jeszcze tego „innego”, bo śmieje się radośnie. Są to dla niej łaskotki jak każde inne. I nawet nie podejrzewa, jak nieoczekiwaną i niebezpieczną siłę ma w tym momencie palec jej stopy, zanurzony w miękkich, krętych włosach Nany.

— Śpisz? — pyta Sandra. — Zasniesz w wodzie?

— Nie — szepce Nana. — Zamykam oczy, bo woda tak przyjemnie faluje...

Sandra z niepokojem przygląda się twarzy siostry, po której przemyka grymas bólu. Nagle poważnie pyta:

— Boli cię to?

— Nie, nie, przecież się bawimy. Nie przerywaj. Nie ma już nawet na tyle siły, by trzymać rękę na nodze Sandry. Poddaje się całkowicie obojętniającemu ją uczuciu.

— Tak, tak — mówi. — Nie, jeszcze nie, nie chcę!

I aby opóźnić ten moment, otwiera oczy i patrzy na rozbawioną twarz dziecka, które domaga się kolejnych łaskotek. Lecz jej niewinność wzmagają tylko w Nanie uczucie rozkoszy. Więc czyni wysiłek, by rozejrzeć się wokół siebie. Patrzy na błękitne ściany pokryte parą, porozrzucane po podłodze zabawki Sandry. Ale te znajome obrazy stają się bezsilne wobec ogarniających ją porywów, nad którymi nie potrafi już zapanować. Stara się roześmiać, by oszukać Sandrę, by zachować wrażenie, że jest to tylko zabawa. Aż w końcu, przy kolejnym wybuchu śmiechu, który graniczy ze szlochaniem, poddaje się wreszcie całkowicie rozkoszy.

— Woda jest już prawie zimna — mówi — wychodzimy...

— Wychodź, jeśli chcesz, ja mam ochotę jeszcze się pobawić. Zresztą obiecałaś, że umyjesz mi włosy.

— Zgoda, umyję ci włosy.

Wychyla się z wanny, by sięgnąć po stojący na umywalce szampon. Doskonale zdaje sobie sprawę, że Sandra skorzysta z okazji, by przyjrzeć się jej plecom i pośladkom. Nana czuje na swym ciele wzrok siostry, jakby to była delikatna pieszczota. Często zdarza jej się przyłapywać Sandrę na tej uważnej i dokładnej obserwacji. Wkrótce palce Nany zanurzają się czule w długie, rozpuszczone teraz włosy Sandry, przesuwać się wolno z góry na dół i z dołu do góry, pośród ciekłego i pianistego szamponu. Jego uroczy zapach dzikich ziół Nana wdycha z prawdziwą rozkoszą:

— Zamknij oczy, Sandro. I przechyl głowę do tyłu. O tak. Teraz dobrze.

Sandra ze swą skakanką w ręku jest teraz sama na dużej powierzchni twardej ziemi, którą ubijają jeszcze czasami amatorzy gry w kule. Jest to rodzaj *no man's land* na skraju parku, służący czasami w niedziele gościom Franciszka Pontevaux, którymi są zazwyczaj bogaci

klienci przyjeżdżający aż z Południa, by kupić przedmioty pochodzące ze starych burgundzkich domostw. Niekiedy, gdy zwiedzą już mury, i obejrzą architekturę sklepu z antykami, zaczynają dyskretnie okazywać niechęć, próbują wycofać się z transakcji, przerażeni wysokością ceny. I wtedy właśnie Franciszek Pontevaux wyciąga swą atutową kartę, którą jest jego piękny dom zbudowany w XV wieku w małym lasku, będącym obecnie wspaniałym parkiem. I tak klienci odkrywają nagle pyszną oazę zieleni, tak bardzo kontrastującą z mrocznym sklepem z antykami, ukrytym w średniowiecznych zabudowaniach obronnych. Potem następuje energiczny atak najlepszych burgundzkich win. W trudniejszych przypadkach pomaga--ją im dzieła Amandyny: jajka w koszulkach polane winnym sosem oraz królik w potrawce. Bardzo rzadko zdarza się, by po degustacji dobrego starego wina i dobrej rii trawienie partyjce gry w kule nie doszło do ubicia interesu. Samochwalcy z Marsylii, krzykacze z Nimes czy z Montpellier, nudziarze z Lyonu i cwaniaczki z Clermont-Ferrand, wszyscy oni tracą grunt pod nogami w domu rodziny Pontevaux. W tej bezustannej walce przeciwko niezdecydowaniu klienta każdy członek rodziny ma swą rolę do zagrania. Każdy, z wyjątkiem Sylwii-z-Kwaśną-Miną, dla której handel jest zajęciem niegodnym. Cała reszta natomiast świetnie się tym bawi. Nawet mała Sandra staje się niezwykle przydatną statystką, gdy w czasie aperitif, kiedy to dyskusja staje się zazwyczaj coraz bardziej ociężała, wspina się na kolana taty.

— Ależ ona śliczna! — bełkocze purpurowy gość o mocno przymglonym spojrzeniu.

— Podobna jest do swej siostry — szepce wtedy dyżurny zabawiacz, przypatrując się znacząco udom Nany.

Nana bardzo przydaje się w finalizowaniu niedzielnych sprzedaży. Z taką zręcznością opakuje kredens w stylu

Ludwika Filipa, że prześciga w tym nawet najlepszych sprzedawców na pchlim targu.

— Jakkolwiek by było — mówi Franciszek Pontevaux — ci niedzielni klienci to tylko pozoranci. Faceci z grubą forszą, ale strasznie naiwni. Prawdziwi znawcy przyjeżdżają w ciągu tygodnia, ewentualnie w sobotę. Nie zamierzam im nawet pokazywać tego, co najlepsze. Chcą łączyć weekend w towarzystwie swych mamusiek z degustacją najlepszych burgundów i ze mną, słynnym antyk-wariuszem z Foussy-le-Vieux! Mimo to są potrzebni, bo kiedy kupuję większe partie towaru, to przecież nie są to same cacka. Resztę też trzeba jakoś upłynnić...

Sandra przelotnie rejestruje ton tego monologu, wygłaszanego po tym, gdy kompletnie pijani niedzielni goście wypisali już czeki i odjechali z obietnicą, iż nabyty mebel zostanie im dostarczony przed upływem tygodnia. Chyba, że ów mebel jest dosyć mały i można go zabrać ze sobą. Zwłaszcza, gdy żona nalega, by wsadzić fotel lub stolik do samochodu za wszelką cenę, nawet jeśli miał on podrzeć specjalnie dobraną do koloru samochodu aksamitną tapicerkę.

Dla Sandry ich wyjazd oznacza głównie to, że teren do gry w kule znowu należy wyłącznie do niej. A dzisiaj jest środa i nikt o to miejsce nie zabiega. Sandra czuje się tu nawet bardzo samotnie. Tristan, który przygląda się jej stopom przeskakującym przez skakankę, nie wystarcza, by zapęłnić wielką, płynącą od stronu parku ciszę. Szczególnie brakuje Sandrze tutaj Wawrzyńca, ośmioletniego brata, który wiekiem najbardziej jest jej bliski. Wawrzyniec — cherlawa tyczka i sowizdrzał o szeroko rozdziawionych w uśmiechu ustach. Ten wielki figlarz wzbudzał w niej jeszcze niedawno niepokój. Teraz stał się najlepszym kumplem. Wawrzyniec — chuderlak, błękitny ognik, potrafi nawet Franciszka Pontevaux rozśmieszyć do łez. W takich chwilach mawia on z ojcowską czułością w głosie: — Ach, ten Wawrzyniec!

Wszystko to prawda, ale dzisiaj, we środę, ten Wawrzyniec wyruszył już o świcie, by ze swą drużyną skautów, której jest najmłodszym członkiem, przetrząsnąć już chyba tysięczny raz ziemię* na Płaskowyżu Alezyjskim. We środy i w niedziele, zamiast zająć się Sandrą, bawi się w dużego chłopca. Przemierza okolicę, wyruszając zazwyczaj o świcie, a z domu wychodzi na palcach, bez butów, by nikogo nie obudzić. Wczoraj przygotował już sobie torbę, do której włożył nóż, sznurek, mapę sztabową, podręcznik dobrego leśnika i manierkę.

— Zapakowałeś już nawet chleb? — pyta Sandra.

— Tak. W ten sposób jutro o nim nie zapomnę. Prawdziwy skaut musi o wszystkim pamiętać.

Tak więc przed wyjściem z domu, gdy Sandra jeszcze smacznie śpi, pozostaje mu tylko zajrzeć, do lodówki. Przygotowania do wyprawy na Płaskowyż Alezyjski dobiegły końca.

Ale teraz, gdy minęły już cudowne chwile z poranną butelką i kąpiel z Naną, Sandra czuje się strasznie osamotniona ze swą skakanką, czystymi włosami rozwiewanymi przez wiatr i niebiesko-czerwoną piłką, której nikt jej nie odrzuca. Bo nawet Tristan ciągle tylko ziewa.

Czuje się tak bardzo malutka pośród tych stuletnich drzew, które ukochały sobie oswojone wiewiórki.

One, co prawda, też są bardzo małe, ale potrafią przynajmniej wspiąć się tak bardzo wysoko! A jej, Sandrze, zabroniono wchodzić nawet na najniższą gałąź najskromniejszego choćby drzewa.

'Zostawia skakankę i idzie sprawdzić, czy, Wilhelm zgodnie z obietnicą naprawił huśtawkę. Nie, lina jest ciągle zerwana. I gdzie mógł się podziać ten Wilhelm? A Nana? Gdzie oni wszyscy poszli?

Aż do obiadu czas będzie jej się potwornie dłużył. Na dzisiaj jest zaproszona do Hieronima. Jaka szkoda, że wiosna w tym roku jest spóźniona i nie ma jeszcze kwiatów. Zebrałaby bukiet dla jego mamy. Sandra bardzo

lubi dawać kwiaty, szczególnie mamie Hieronima. Kwiaty układają się w jej rękach w przepiękne bukiety, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a cała jej do nich miłość znajduje odzwierciedlenie w kompozycji kolorów.

— Moje magiczne bukiety — Wzdycha rozmarzona.

Sandrze udaje się jakoś przetrzymać obiady u doktora Paula. U niego tak. U innych nie. Opuściwszy zgiełk zawsze panujący w rodzinie Pontevaux, z największym trudem znosi drętą atmosferę podczas deseru, gdy rodzice dobrze wychowanych dzieci bezustannie ziewają. Rodzice, dzieci... Dlaczego wszystko tu miesza się ze sobą, długo oczekiwany karmelowy krem, nieskończenie długie, niezrozumiałe rozmowy? Słowa dorosłych płaczą się, wszystkie są do siebie podobne. Rozmowy są zbyt głośne, śmiech zbyt fałszywy, języki oblizują wargi, zbyt wiele w tym nie znanych jej zachowań. Kiedy Sandra słyszy wreszcie skierowane do Julii, Marii Bianki czy Antosia: „Możesz teraz iść pobawić się z koleżanką”, wzdycha z prawdziwą ulgą. I dopiero w tym momencie, nigdy wcześniej, to grzeczne dziecko, dziewczynka czy chłopak, które ją tu przyprowadziło, zaczyna interesować się swoim gościem. Dziecko nie jest już teraz ani trochę grzeczne. Wstaje w pośpiechu, przewraca swoje krzesło i z przepaszającym uśmiechem ciągnie Sandrę za rękę w kierunku podwórka lub parku. U doktora Paula całe to kino nie istnieje. Jego żona podaje deser najszybciej, jak tylko jest to możliwe, po czym wzdycha zmęczona: „Idźcie się bawić i bądźcie grzeczni!”

— Będą się teraz pieprzyć — szepce do ucha Sandry Hieronim, prowadząc ją w kierunku zagrody dla kłaczy.

— Co?

— Później ci wytłumaczę, a; 'Dziwłjfe dziś wyglądasz, o czym myślisz?

— O Wawrzyńcu, moim bracie...

- Przecież wiem, że to twój brat. No i co?
 - On ubiera swój mundur po to, by przebijać opony w samochodach.
 - Nigdy nic mi o tym nie wspomniał.
 - Ale na pewno nie powiesz nikomu? Zaraz ci to wytłumaczę. Niektórzy skauci nie chcą nosić mundurków. A taki skaut wygląda jak chuligan, rozumiesz? A Wawrzyniec swój mundur bardzo lubi. To mu dodaje powagi. Rozumiesz?
 - No pewnie, przestań mnie ciągle pytać, czy rozumiem... Wiesz, jesteś całkiem roztropna jak na pięciolatkę...
 - Co to znaczy roztropna? A moje piąte urodziny były już bardzo dawno temu.
 - Roztropna znaczy „niegłupia”. No więc, co Wawrzyniec robi w tym swoim mundurku?
 - Przebija opony.
 - To genialne! A jak go złapią, robi poważną minę, jak przystało na skauta w mundurku, i mówi: „Wie pan co? Wydaje mi się, że ma pan przedziurawioną oponę...” A facet na to: „Dziękuję, mój mały!”, i jest tak bardzo zadowolony, że daje mu jeszcze stówę...
 - Mówisz w jakiś dziwny sposób. Nie bardzo zrozumiałam.
 - Dajmy temu spokój. Chodź, pójdziesz zobaczyć kozę. "Niedawno zeżarła palik ze swego ogrodu. Tato musi wsadzić nowy na jego miejsce, ale nigdy nie ma na to czasu.
 - Kozą czarownicą, kozą czarownicą!
- Dzisiaj Sandra nie ma na sobie swych krótkich spodni, tych „dżinsów pochodzących z czasów, gdy miała cztery lata, które obciąłam”, jak chętnie powtarza Antonina, która uwielbia sprawiać wrażenie, że potrafi co nieco zaoszczędzić dla domu. Teraz istnieje już ryzyko, że ten kawałek dżinsu pęknie wreszcie podczas dosiadywania kozy na jej twardym grzbiecie. W tej sytuacji znacznie lepsza byłaby spódnica.

— Zejdź z niej — mówi Hieronim. Ona jest w czasie rui, może cię zrzucić na ziemię. Ale zwierzę zwraca tylko w stronę Sandry swą smutną brodę. Potem zaś odkrywa zęby w jakimś dziwnie demonicznym uśmiechu.

— To znaczy, że bardzo cię lubi — mówi Hieronim. — Lucynka bardzo rzadko się śmieje.

— Ona naprawdę nazywa się Lucynka?

— Oczywiście, że tak! Nazywa się Lucynka. Sandra od jakiegoś już czasu dzielnie walczy z chęcią włożenia sobie do ust kciuka. Hieronim tego nie cierpi. Na jej widok z kciukiem w ustach zaczyna kpić sobie z niej i sepleniąc jak mały chłopczyk, mówi (Wawrzyniec nigdy by tego nie powiedział):

— Wyjmij ten palec z buzi! Wydaje ci się, że co w niej masz?

Jak to co? Mały kawałek siebie samej, który towarzyszy jej zawsze w ciężkich chwilach. Tak jak butelka. Hieronim jest za duży, żeby to zrozumieć, nie będzie mu tego tłumaczyć. Zresztą nawet by nie potrafiła. Kciuk! Jak wytłumaczyć kciuk. KCIUK! Nawet jemu nie potrafi mówić o KCIUKU. KCIUK — to jest wszystko w jednym, jedno we wszystkim, i z powrotem, i tak w nieskończoność. Czasami wyjmuje go z buzi, by z podziwem mu się przyjrzeć. Lub by dać mu buziaka albo lekko polizać, zanim włoży go ponownie do ust. („Będziesz miała krzywe zęby!”) Krzywe, coż to może znaczyć dla kciuka?

To kciuk właśnie wyciera ostatnią kroplę, gdy Sandra zrobi siusiu. Co prawda cała ręka udaje, że to ona właśnie to robi, ale pracuje właściwie tylko kciuk. Dwie sekundy później jest już zupełnie czysty, a do tego celu zostaje świadomie marnotrawione leżące na umywalce mydło.

KCIUK. Wspaniały pocieszyciel i od zawsze największy przyjaciel. Także nieodłączny towarzysz. Czy bez jego udziału Sandra dowiedziałaby się kiedykolwiek, że ma rękę?

Czy miałaby okazję uświadomić sobie, że ma ciało? Może nie tyle uświadomić sobie, ile poczuć, poczuć lekki dreszcz w momencie, gdy kciuk, gotowy do rozkosznego snu, znajduje sobie miejsce między lekko rozsuniętymi zębami. Albo w chwilach rozmarzenia, gdy dookoła wszyscy mówią, więc chciałoby się uciec.

KCIUK

Zęby się wykrzywią I kciuk się wykrzywi Porośnie łuską Ze śladami zębów Lepiej zastanów się
Zobacz, śmieją się W twoim wieku! W buzi KCIUK

— Zawsze po obiedzie jest tak samo — mówi Hieronim. — Idą się pieprzyć.

— Już to mówiłeś. Wiem. Oni robią dzieci.

— O, co to, to nie. Ciagle powtarzają, że ja wystarczę.

— Aha...

Sandrę zupełnie nie obchodzi to, co chciałby jej opowiedzieć Hieronim. Czując to, milknie więc rozczarowany.

— Chatka jest prawie zburzona.

— Ależ skąd! Tato wymieniał w pralni okiennicę, i dał mi starą. W ten sposób zrobi się większa ściana. I dlatego wyrzuciłem poprzednią.

Chatka Hieronima („nasza chatka”, mawia czasami, patrząc czule na Sandrę) zrobiona jest ze starych okiennic, które w domu z wolna zastępuje się metalowymi żaluzjami. Hieronim wybrał najbardziej płaski teren za krzewami, zdała od zagród zwierząt, by zbudować na nim z powagą prawdziwego architekta to, co nazywa „naszym gniazdkiem miłości”. Słowa te przeczytał pewnego razu na

afiszu reklamującym najgorszy spośród filmów, które wyświetlano zeszłego lata podczas festiwalu filmów popularnych w Foussy. Grano go pomiędzy *Dziećmi czułości* a *Przypadkami szczęścia*. Rozwalone zielone okiennice, z których odpada już farba, tworzą fortecę z prawdziwymi ścianami i prawdziwym dachem. Hieronim dwukrotnie obrażał się na swoich rodziców. Po raz pierwszy, gdy ojciec zabronił mu zainstalować tam piecyk, w którym można by było rozniecić ogień. Drugi raz, ponieważ nie dał mu czerwonej farby, potrzebnej Hieronimowi do odnowienia okiennic.

— Ja lubię ten domek taki, jaki jest teraz — powtarza często Sandra.

— Ale czerwony byłby jeszcze piękniejszy.

Sandra drżała na całym ciele, gdy po raz pierwszy za plecami Amandyny wykradała z kuchni niezbędne w fortecy zapasy żywności: czekoladę, cukier, sardynki w oleju. A jakże była dumna widząc, jak Hieronim z aprobatą kiwa głową:

— Świetnie. Ja przyniosłem kawał kiełbasy...

Nie chodziło w tym wszystkim o łakomstwo, bo nie tknęli nawet przyniesionej z domu czekolady. Były to, jak stwierdził z powagą Hieronim, niezbędne zapasy żywności. Dwa kartonowe pudła, ukrywające te skarby, obsypane zostały zielonym proszkiem, mającym chronić je przed mrówkami. Sandra przyniosła także kilka spośród niezliczonej ilości poduszek, znajdujących się w salonie państwa Pontevaux. Hieronim natomiast przywłókł z miejskiego śmietnika prawie nowy materac. A jego matka nie zauważyła nawet zniknięcia z domu pięknej adamszkowej kapy, której nigdy nie używała. W ten oto sposóbumeblowany został pałac tych dwojga dzieci — królewskiej pary. Sandra wyciąga się wygodnie na wspaniale nakrytym materacu, a Hieronim sprawdza szczelność, spełniających rolę ścian, okiennic. Zmartwiony czymś, wyciąga z pudeł-

ka po czekoladzie tubkę kleju, smaruje szparę, po czym oznajmia:

— Teraz powinno się trzymać.

— Nie ma już kartek w zeszytach? Chciałabym trochę porysować.

— Mogłaś sobie przynieść swój zeszyt.

— Też już jest pełny. Tato dał mi pięć franków, żebym kupiła sobie nowy. Gruby. Zobacz!

Z majteczek wystających spod rąbka spódnicy wyłania się okrągła moneta, błyszcząca niczym oko sroki złodziejki.

— Wcale ci jej nie dał - mówi Hieronim. — Ukradłaś ją.

— Nie...

Ale to nieprzekonywujące „nie” rozplywa się w porozumiewawczym uśmiechu obojga.

— Znalazłam ją w pokoju Nany. Pokazałam jej, a ona pozwoliła mi ją zabrać.

— Teraz ci wierzę... Masz śliczne majteczki.

— Przysłane w paczce z domu wysyłkowego Trois-Suisses. Mama zamówiła dla wszystkich, dla taty, dla siebie, dla Wilhelma, dla Nany, dla Wawrzyńca, dla...

— Pokaż, z czego one są?

— Amandyna mówi, że to bawełna. Można je prać w pralce.

— Moja mama pierze w pralce wszystko. Wystarczy tylko odpowiednio nastawić regulator.

I ze swą jak zawsze poważną miną, powtarzając techniczne wyrażenia, z których ani jedno, ani drugie nic nie rozumie, wyciąga rękę, by pomacać tkaninę:

— To rzeczywiście jest bawełna.

— Jakie to lepkie!

— To klej do okiennic... Poczeka!

Wściekły na samego siebie wstaje, by wytrzeć rękę w tak bardzo nieodpowiednim momencie ułyllaną klejem.

— Mam w majtkach klej! krzyczy Saiulni. Po czym wybucha płaczem.

3

Sandra mogłaby bez końca przyglądać się z podziwem zwierzętom doktora Paula, nawet tym, których nie mogła głaskać, gdyż były albo zbyt płochliwe, albo niebezpieczne.

— Nigdy o was nie zapomnę — szeptała sama do siebie w chwilach, gdy ogarniał ją nagły smutek na myśl, że będzie kiedyś musiała opuścić Foussy, rodzinny dom i małe zoo doktora Paula.

Najczęściej zwierzała się papudze z Gabonu, której pióra miały kolor szarego pluszu i. krwistej czerwieni.

— Pewnego dnia nie zobaczysz mnie już więcej. Czy będziesz o mnie pamiętać? Zdaje się, że możesz żyć bardzo, bardzo długo...

Innym razem słuchały jej uważnie dwa szympany. Na moment przestały nawet dokuczać innym zwierzętom i skakać z gałęzi na gałąź wokół swego brzydkiego, ale przytulnego domku.

Przyciszonym głosem opowiadała im, jak bawiła się z Hieronimem w lekarza. Jak na siebie patrzyli. A. także, jak się wzajemnie łaskotali. Podczas tych sekretnych w chatce zabaw z Hieronimem Sandra odkrywała tajemnice, którymi podzielić się mogła jedynie z niemymi szympansami. Co do papugi, zawsze istniała obawa, że wszystko to komuś powtórzy...

Jeśli zwierzęta odgrywają tak ważną rolę w dzieciństwie Sandry, to dzieje się tak dlatego, że może obserwować je

zarówno podczas zabaw, jak i uprawiania miłości. Jeszcze do niedawna nie przyszło jej nawet na myśl, że isloły ludzkie mogą zachowywać się w ten sam sposób. Nawet jeśli rodziło się w jej głowie jakieś niejasne skojarzenie, Sandra natychmiast je odpędzała. Całkiem niedwuznaczne pieszczoty Hieronima nie miały w sobie jeszcze nic ze zwierzęcej brutalności. Mimo to nie pozostawały jednak bez wpływu na rozbudzenie w zupełnie jeszcze niewinnej świadomości Sandry pewnych specyficznych doznań. „Zabawa w doktora” wywołuje w niej jakieś dziwne dreszcze.

Wtedy przypomina sobie łóżko rodziców, do którego przychodzi w każdy niedzielny poranek. Mocny, charakterystyczny dla dorosłych zapach wywiera na niej ogromne wrażenie. Czasami zdarza się, że w łóżku jest tylko jedno z rodziców. Sandra jest do tego przyzwyczajona. Nigdy nie pyta, gdzie spędziło noc to drugie.

Jest szczęśliwa mogąc mocno przytulić się do tego, które jest, obojętnie, czy jest to on, czy ona. Zapach łóżka i tak pozostaje niemal ten sam. Fluidy osoby nieobecnej trwają w nim niezmiennie. Kiedy rodzice są razem, pieszczot jest znacznie mniej. Wtedy z największą przyjemnością przysłuchuje się z zamkniętymi oczami ich rozmowom. Głosy dorosłych, zazwyczaj zbyt donośne, a nawet krzykliwe i ogłuszające, wydają się rozpływać w półmroku zacienianego różowymi zasłonami pokoju. Na abażurach lamp po obu stronach łóżka powtarzają się w nieskończoność charakterystyczne dla płócien z Jouy motywy.

Pierwsze gaworzenia Sandry opisywały właśnie ludziki z tej pasterskiej symfonii w kolorze starego rózu. Te postacie są wszędzie, na zasłonach, ścianach, lampach. Jedynie biały sufit uniknął tej wiejskiej inwazji pasterzy, gospodarstw i grajków.

Meble z ciemnego drewna wyraźnie kontrastują z bladą delikatnością starych tkanin. Wprowadzają nastrój tajemniczości. Wzmacniają miłość. Utwierdzają sielankową idyllę. Sandra zwija się w kłębuszek w tym bliskim

jej sercu wewnątrz. I oczywiście zaczyna ssać swój kciuk. Jeśli Franciszek i Antonina są w łóżku razem i rozmawiają cicho, mości sobie między nimi przytulne gniazdko. Ma wrażenie, że zaraz zacznie mruczeć z rozkoszy niczym syjamski kot w swym koszyku. I długo tuli w ramionach lalkę albo maskotkę, której nie zapomniała ze sobą przynieść.

Czasami zamiast lalki przynosi butelkę. Z rozkoszą wypija jej słodką i ciepłą zawartość. Już nigdy później nie uda jej się odnaleźć jedwabistego smaku czekoladowego mleka, które teraz wysysa z butelki z całych sił. Jego smak nigdy nie jest tak intensywny, jak właśnie w łóżku tonącym w motywach tkaniny z Jouy, przesiąkniętej zwierzęcą wonią dorosłych, nasączonej miłością, pulsującej niczym pierś Nany.

Pewnego niezapomnianego poranka Sandra otworzyła drzwi tego cudownego pokoju. Weszła cichutko jak zwykle, stąpając boso po miękkiej wykładzinie i ssąc prawy kciuk. Lewą ręką tuliła do siebie jasnowłosą laleczkę, która podobna była do niej, niczym maleńka siostra.

Ale pokój nie pachniał wcale snem. Nie emanował z niego zmysłowy bezwład. Sandra poczuła pustkę, której nie ożywiały żaden oddech, najmniejsze nawet tchnienie.

Ta niedziela rozpoczęła się nieprzyjemnym uczuciem opuszczenia. W ciemności Sandra przebiegła tych kilka metrów, jakie dzieliły drzwi od łóżka. Zaświeciła nocną lampkę, aby doznać ostatecznego rozczarowania na widok łóżka nienagannie nakrytego wygładzoną starannie narzutą. Postaci z płótna z Jouy także wydawały się unieruchomione, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Sandra stoi bezradnie u stóp łóżka przestępując z nogi na nogę niczym jakiś brodzący ptak, drapiąc prawą stopą lewą łydkę i odpowiednio lewą stopą łydkę prawą. Ta pustka wzbudza w niej ochotę do płaczu. I wtedy właśnie przypomina jej się Wilhelm.

Wilhelm, który nie przyszedł do jej pokoju, by ją obudzić, bo była niedziela, lecz może czyta właśnie w łóżku jakiś nudny komiks.

Aby dotrzeć do pokoju najstarszego brata, trzeba pokonać kilka schodków i wejść w korytarzyk usytuowany niczym strefa bezcłowa pomiędzy korytarzem prowadzącym do pokoju rodziców i tym, wzdłuż którego znajdują się kolejno pokoje Sylwii, Nany, Wawrzyńca i Sandry. Są to niewielkie terytoria, z którymi wszyscy czują się silnie związani na skutek zbyt wcześnie rozbudzonego w każdym z nich poczucia niezależności.

Niespodzianka, jaką Sandra zamierza sprawić Wilhelmowi, bardzo ją cieszy. Z trudem udaje jej się powstrzymać śmiech, by nie robić hałasu. U stóp schodów kończy się dywanowa wykładzina. Bose nóżki Sandry ślizgają się teraz po nagiej posadzce. Trochę jej zimno, ale nie czas wracać do pokoju po pantofle. Wkrótce przecież wejdzie do ciepłego łóżka Wilhelma, który da jej pewnie do oglądania jeden ze swych albumów. Sandra nie potrafi jeszcze czytać, ale gdy długo przygląda się ilustracjom, historia sama się przed nią odsłania.

Zaledwie trzy stopnie dzieli ją jeszcze od drzwi, gdy Sandra nieruchomieje z przerażenia. To nie sen. Wyraźnie usłyszała krzyk. Przytula mocniej swoją nieodłączną lalkę. Ciągłe nie może się ruszyć, a jej przerażenie wzrasta, w miarę jak zwiększa się częstotliwość jęków, którym towarzyszy chrapliwy oddech i coraz głośniejsze krzyki.

„To krzyczy dziewczyna”, myśli niezdolna do wykonania żadnego gestu Sandra. „Może Wilhelm chce ją zabić... .Wsadzą go do więzienia...”

Nagle ogarnia ją chęć ucieczki, jak najszybszego schronienia się w swym pokoju, w łóżku, którego nie powinna była opuszczać. Ale uczucie strachu z wolna zaczyna ustępować coraz większej ciekawości, która każe jej ciągle jeszcze stać na tych schodach.

Jak gdyby wbrew swej woli Sandra wyciąga rękę

i naciska klamkę. Zamknięte na klucz drzwi stawiają opór. Wyczerpana tyrn aktem niezwyklej odwagi Sandra szepcze nieśmiało:

— Wilhelm...

A potem głośniej:

— Wilhelm...

Dźwięk własnego głosu dodaje jej odwagi. Kobieta po drugiej stronie tak bezczelnie zamkniętych na klucz drzwi także wykrzykuje teraz na cały głos imię Wilhelma. Mimowolnie Sandra zaczyna krzyczeć równie głośno jak ona.

Drzwi otwierają się gwałtownie. Stoi w nich zdyszany najstarszy brat, z wściekłością w oczach patrząc na Sandrę:

— Wariatka!

Wilhelm nade wszystko panicznie się boi. Dwa lub trzy razy powtarza bezsensownie:

— Wszyscy się tu zaraz zlecą!

Korzystając z jego osłupienia Sandra zaczyna patrzeć uważnie na rozbebeszone łóżko, oświetlone białym światłem czterech malutkich reflektorków. Leżąca na nim naga kobieta oddycha ciężko, próbując równocześnie nakryć kawałkiem prześcieradła brunatne owłosienie, jakiego Sandra nigdy jeszcze przedtem nie widziała. Prawdziwa czupryna między bardzo białymi udami. Inne włosy, te prawdziwe, są zadziwiająco długie. Ich część okrywa piersi, znacznie większe niż ma Nana, reszta opada na dywanik przy łóżku.

— Zabiłeś ją? — pyta Sandra wkładając kciuk do buzi. Te spokojne słowa wrywają Wilhelma z odrętwienia. Wybucho szaleńczym śmiechem. Potem poważnieje i robi groźną minę.

— Jesteś szalona — mówi do siostry. — A w ogóle, to co ty tu właściwie robisz?

— W pokoju mamy i taty nikogo nie ma, więc przyszłam... Co robisz tej dziewczynie? Dlaczego ona krzyczy? „Zabawa w dorosłych”.

Przez całe swoje dzieciństwo Sandra nazywać tak

będzie scenę, której ponowne rozpoczęcie, pierwszą apoteozę, kolejne wznowienie i wreszcie uwieńczenie w postaci późnego snu partnerów miała tego dnia okazję obejrzeć.

Nie boi się już nic a nic. Coś się w niej budzi, coś, co pozwala jej patrzeć bratu prosto w oczy, gdy ten wyprowadza ją za drzwi, popycha niezbyt gwałtownie, wystarczająco jednak mocno, by jego duże dłonie pozostawiły na jej ramionach ślady.

— No, siostrzyczko — mówi — idź szybko do Aman-dyny po swoją poranną czekoladę. Spotkamy się w kuchni.

W kuchni Amandyna z niezwykłą pieczołowitością odmierza porcję mleka i czekolady.

— Wszyscy jeszcze śpią — mówi. — Jesteś pierwsza, mój mały cukierczku.

— Dwie kostki cukru — mówi Sandra. — Dwa cukierki do butelki, dwa duże.

Ten wieczny żart ze słowem „cukier-ki” raz na zawsze wszedł do repertuaru jej rozmów z nianią. W ten sposób, śmiejąc się zawsze z tych samych żartów, Sandra dodaje sobie odwagi w chwilach niepokoju, których w życiu nie brak.

Amandyna pokazuje jej kostki cukru, które potem rozpuszcza w mleku. Ponieważ nie ma jeszcze Nany, która wzięłaby ją na kolana, przytuliła do swych piersi i otoczyła słodkim zapachem włosów, Sandra ustawia jedno obok drugiego dwa krzesła, by móc się położyć na tak zaimprovizowanym łóżku.

Połyka swój ciemny płyn znacznie szybciej niż zwykle i odmawia zjedzenia kromki, którą Amandyna właśnie smaruje masłem. A wszystko to dlatego, by móc jak najszybciej wrócić bezszelestnie do pokoju Wilhelma. Ani jedno, ani drugie na pewno nic nie będzie podejrzewać. Starszy brat sprawdził już bez wątpienia, czy Sandra zniknęła spod drzwi. Uspokojony, zaczął z pewnością ponownie robić to, co robił z tą kobietą. Ale co właściwie?

Ponieważ w korytarzyku Wilhelma jest zimno, Sandra wraca do siebie, by włożyć swą wełnianą sukienkę i panto-

felki z niebieskiej skórki. W ten sposób będzie mogła przyglądać się przez dziurkę od klucza tak długo, jak tylko będzie to konieczne.

Wtargnięcie Sandry brutalnie przerwało narastające w nich uczucie rozkoszy. Franciszka, leżąc nieruchomo z głową przechyloną do tyłu, oddycha z trudem. Jej długie włosy dotykają podłogi. Nogi ma rozchylone, a jej wilgotne wargi gotowe są do pocałunku. Ma zaledwie tyle siły, by wyciągnąć rękę, którą zaczyna delikatnie głaskać kark pochylającego się już nad nią ponownie Wilhelma. Delikatnie liże jej usta, a potem piersi, gdy tymczasem jego członek pod wpływem ruchu całego ciała lekko muska jej uda i brzuch.

A gdy czuje, że Wilhelm gotowy jest już w nią wejść, mówi cichutko:

— Nie... Pocałuj mnie najpierw.

Napina brzuch i przeży pośladki, gdy Wilhelm, spełniając jej życzenie, zaczyna lizać jej ciało, przysysa usta do delikatnego gniazdka między udami, jakby chciał ją całą pochłonąć.

Franciszka przez sekundę myśli jeszcze o małej dziewczynce, która była tu przed chwilą. Próbuje powstrzymać się od krzyku, ale jej wysiłki są daremne. Traci nad sobą panowanie. Wiesza się na ramionach Wilhelma. Ma wrażenie, że chłopak ratuje ją przed utonięciem, a ona go od siebie odpycha. Pragnie, by wtopił się w nią, i powstrzymuje go — by ją zamęczył i zabił.

— Jeszcze!

Czy to szept? Czy może krzyk? Niestrudzone usta tego rozkosznego potwora bez końca pastwią się nad swą ofiarą.

— Chcesz? — dyszy Wilhelm.

Jego wargi przesuwają się w górę jej ciała aż do ust, które czekają na smak tamtych warg. Wzrusza ją fakt, że ten młody człowiek potrafi już przekazać jej smak jej

własnego ciała. Zlizuje z ust Wilhelma samą siebie. Tym samym przywołuje z pamięci niezwykłego kochanka z przeszłości. Od tamtego czasu równie delikatnych spotkała niewielu. Pojawia się na krótko obraz przypadkowo spotkanej dziewczyny, z którą spędziła dzień na plaży. Ich wargi i języki przekazywały sobie wzajemnie zebraną ze swych ciał morską sól, a także ów zapach głębi, którego wtedy jeszcze Franciszka nie potrafiła docenić, a który od tej właśnie pory rozpoznaje z dreszczem szczęścia, połączonym z jakimś dziwnym poczuciem winy.

— No, opowiedz, co widziałaś!

Przez szpary połączonych ze sobą starych okiennic które tworzą ściany chatki Hieronima, wpada słońce, rysując na gołych nogach obojga dzieci kabalistyczne znaki. Oparci o poduszki skradzione z salonu państwa Pontevaux, Sandra i Hieronim czują się cudownie odizolowani od zewnętrznego świata. Zapasy czekolady, herbatników i sardynek, ukryte w szczelnie zamkniętym kartonowym pudle zapewniają im poczucie bezpieczeństwa na wypadek legendarnych katastrof, takich jak na przykład oblężenie czy głód.

Ponieważ opowieść Sandry zapowiada się interesująco („opiszę ci zabawę w dorosłych”), Hieronim zmienia pozycję. Kładzie się na brzuchu opierając na łokciach głowę, która dotyka już prawie kolana Sandry. Patrzy na nią z wielkim zachwytem oraz z nieco trwożliwą ciekawością. Sandra, dumna z posiadania sekretu tak niezwykłej wagi, zaczyna własnymi słowami opowiadać wszystko to, co widziała.

Hieronim każe jej wielokrotnie powtarzać drogę, jaką pokonywały usta Wilhelma począwszy od ust kobiety, na wglębieniu między udami skończywszy. I z powrotem do jej ust. W chwilach ciszy między kolejnymi zdaniami oboje w zadumie kontemplują tę trasę, podczas której kobieta wydaje z siebie na przemian różne jęki i krzyki, a które Sandra interpretuje jako „płacz”.

— Ależ nie — mówi Hieronim. — Jestem pewny, że ona wcale nie płakała. Spróbuj pokazać, co robiła. Zobaczymy. Sandra usiłuje odtworzyć usłyszane dźwięki, po czym oboje wybuchają głośnym śmiechem. Potem Hieronim zaczyna dopytywać się o kolejne szczegóły.

Skończywszy już z wszelkimi dźwiękami, przychodzi czas na lekcję anatomii, która na przemian to ich rozśmiesza, to wprawia w zakłopotanie. Pyszne owłosienie pomiędzy rozpostartymi udami kobiety i olbrzymi członek brata, oto napawające trwogą obrazy niczym ze snu, które Hieronim każe sobie bez końca opisywać mówiąc:

— Ja też już to widziałem. Opowiem ci.

Słowo „opowiadać” odmieniane jest przez wszystkie formy:

— Opowiedz.

— Opowiesz mi?

— Opowiadaj jeszcze!

— Mów, nigdy mi tego nie opowiadałaś...

— Opowiem ci coś.

Wydaje się, że to słowo-klucz dziecięcych opowieści jest wyrazem pragnienia poznawania coraz to nowych rzeczy, co z kolei pobudza ciekawość.

— Opowiedz...

I zaczyna się opowieść, utożsamiamy się z jej bohaterami, wybuchamy na przemian to płaczem, to szalonym śmiechem...

— Wydaje mi się — mówi bardzo poważnie Sandra — że ona mu siusiała do biizi.

— Kiedyś w szkole — odzywa się na to Hieronim — jeden duży na mnie nasikał. Ale kobieta nie może, bo nie ma dość długiego siusiaka...

— To nieprawda, zobacz!

Sandra wstała już chwilę wcześniej. Zsuwa majtki, by ukazać nagą, dumnie wystającą lechtaczkę. Ale leżący ciągle na brzuchu Hieronim nie zamierza wpadać w zachwyt:

— Niezły. Ale gorszy od mojego.

Krzyki skaczących po drzewach wokół chatki szympanсів przypominają agresywny, szyderczy śmiech. Sandra doprowadza się do porządku wzdychając smutno:

— Tylko że potem przez włosy nic już nie widać. Czując, że Sandra zamierza kontynuować opis kobiety

w łóżku Wilhelma, Hieronim wtrąca:

— Poczekaj chwilę, muszę się wysikać.

Kiedy odsuwa zniszczoną narzutę zastępującą drzwi, do chatki wpada jasne światło wiosennego dnia. Hieronim oddala się zaledwie o metr, staje na rozkraczonych nogach, męski i dobrze zbudowany, sikając w kierunku kozy, która właśnie podeszła i głupio mu się przygląda.

— Już wkrótce zakwitną drzewa — oświadcza Hieronim dokładnie wytrząsając ostatnie krople.

— Tak — mówi Sandra — a potem kwiaty wydadzą owoce. Jabłka, czereśnie...

— Skąd to wiesz?

— Co?

— Że kwiaty dają owoce.

— Nie wiem. Może tato mi powiedział...

Sznur, na którym uwiązana jest koza, nie pozwala jej już podejść bliżej. A najwyraźniej ma ona ochotę dobrać się do frędzli narzuty-drzwi, których niestety nie może dosięgnąć. Hieronim wraca do chatki-fortecy i zamyka wejście.

— Opowiadaj dalej — mówi opierając się wygodnie o poduszki, tuż obok Sandry.

4

Owej niedzieli Sandra zapomina o odkryciach sprzed tygodnia. Wypija swą butelkę czekolady pomiędzy tatą a mamą, w ich łóżku. Gdyby w tym momencie powrócił do niej pokój Wilhelma, wraz z całym orszakiem następujących po sobie żywych' obrazów, bez wątpienia ogarnęłoby ją przerażenie. Bowiem tutaj, w łóżku rodziców, Sandra staje się na nowo tylko małą dziewczynką. Pije wolno, celowo przedłużając tę największą przyjemność rozpoczynającego się dnia. Równocześnie przysłuchuje się rozmowie rodziców, omawiających plany na najbliższe godziny. Franciszek Pontevaux czeka dzisiaj na klienta z Lyonu, który ma przyjechać ze swą żoną oraz parą przyjaciół. Jak zwykle, gdy chodzi o uwanie dużego interesu, małżonkowie jeszcze w łóżku opracowują plan strategiczny. Te wspólne chwile są dla Franciszka potwierdzeniem ich wzajemnej miłości i wierności, na przekór opiniom utrzymującym, iż ich życie jest skandaliczne. Ono jest po prostu wolne. Sandra nie stara się ani uważnie słuchać, ani tym bardziej zrozumieć szczegółów handlowej strategii swego taty. Głosy rodziców kołyszają ją do snu. Około południa cały personel sklepu z antykami znajduje się już w stanie najwyższej gotowości bojowej. Niedziela jest najczęściej dniem najkorzystniejszych targów. Stosownie do tego dnia ustala się więc rozkład zajęć

personelu podczas całego tygodnia. Berta, Edward i Jan biegają zaaferowani po licznych zakamarkach sklepu-groty.

Berta Arigny, sześćdziesięcioletnia kobieta, swemu wiekowi i binoklom zawdzięcza prestiż, który wykorzystuje często w rozmowach z klientami. Ze swym wyglądem muzealnego konserwatora zabytków powszechnie uchodzi za eksperta. Faktem jest, że nauczyła się tego zawodu tutaj, na miejscu, w Dijon, gdzie miała kiedyś mały sklepik ze starzyzną. Jego skromne zasoby szybko jednak roztrwonił jej mąż pijak, zanim umarł na zasłużoną marskość wątroby. Franciszek Pontevaux nie zaprzepaścił szansy posiadania w roli swej prawej ręki kobiety, której wiek i wygląd wykluczały podejrzenia o pociąg seksualny.

— Przecież — mawiał ze śmiechem jeden z uczestników wspólnych uciech — zawsze powtarzasz, że absolutnie wszystkie kobiety nadają się do tego, by je pieprzyć... A więc i Berta...

— Wszystkie z wyjątkiem Berty! Znalazłem jedyną w całym departamencie Cote-d'Or kobietę, która się do tego nie nadaje.

— Nie bierzesz jeszcze pod uwagę tych starowinek z ferm, z którymi spędzasz wcale niemało czasu, by móc w końcu dobrać się do ich staroci...

— Ale to w ogóle nie są już kobiety.

Berta, ku swemu ogromnemu zadowoleniu, urzekła Sylwię, tego pracowitego chudzielca klanu Pontevaux. W wieku trzynastu lat Sylwia bez przykrości próbuje wyobrazić sobie siebie na podobieństwo Berty, ubraną na czarno, w koronkowym kołnierzyku, patrzącą na mężczyzn wyniośle znad oprawionych na złoto binokli, umocowanych na złotym również łańcuszku. Zresztą Berta podarowała już jej kiedyś koronkową bluzkę. Sylwia wkłada ją tylko na klasówki: bluzka stała się jej prawdziwym talizmanem. Z początku Franciszek Pontevaux stroił sobie żarty z „przyjaźni starej sroki i młodej gąski”, ale szybko

z tego zrezygnował widząc, jak okulary Sylwii stają się wilgotne od łez:

— Nie należy jej sprawiać przykrości tylko dlatego, że jest niczym brzydkie kaczątko pośród kurcząt. Nie było żadnego powodu, by Edward Chevalier, dwudziestopięcioletni blondyn, jedyny syn właściciela Galeries du Siècle z Dijon, stał się kozłem ofiarnym Berty Afigny, królującej w sklepie z antykami, zagubionym gdzieś na prowincji. Żadnego, z wyjątkiem może jego żarliwego homoseksualizmu, który, jak utrzymywali miejscowi dowcipnisie, potwierdzał teorię, że antykwariusz to pedał. W opinii mieszkańców Foussy jedynie fauniczny Pontevaux temu twierdzeniu zaprzeczał. Ale byli także złośliwcy, którzy sugerowali, jakoby skandaliczne pożycie seksualne małżonków Pontevaux miało być jedynie fasadą maskującą zboczenie Franciszka. Gdyby ta teoria nie okazała się z gruntu dziwaczna, obecność Edwarda w sklepie z antykami niewątpliwie by ją ugruntowała.

Ten ładny długonogi chłopak, ubrany zawsze w stylu „książę Walii” i zawsze w niebieskim krawacie, tak bardzo stara się oczarować klientów, iż Franciszek musi mu czasami zwracać uwagę, by działał trochę bardziej dyskretnie:

— Posłuchaj, Edwardzie, sprzedajesz stare meble, a nie ciuchy. Wiem, że uczyłeś się handlu w Galeries du Siècle, ale mimo to... Mebel, rozumiesz, mam na myśli stary mebel, wymaga rozwagi, zastanowienia się. Powinieneś mówić mało, ale starać się używać odpowiednich słów. A ty klienta zagłuszasz...

Ponieważ trzeba było zrównoważyć gadatliwość Edwarda, traf chciał, że bezrobocie sprowadziło do sklepu z meblami milczącego Jana. W ten sposób spotkały się w jednym miejscu trzy pajace, jak mawia Sandra ku uciesze całego, z wyjątkiem Sylwii, klanu Pontevaux. Jan, mimo iż zmęczony zawodem tragarza, funduje sobie w wieku, pięćdziesięciu lat kolejne dźwiganie.

— Ale już nie byle jakich ciężarów — mawia, gdy zdarzy mu się odezwać. .

Koniec już z niepotrzebnymi, przechowywanymi w piwnicach przedmiotami, które klienci przedsiębiorstwa przewozowego „Vaipartout” taszczyli z jednego końca Francji na drugi pod pretekstem, że są do nich przywiązani. Tak jakby można się było przyzwyczaić do rupieci, które szybko urastają w tony, rupieci przeliczanych na setki tysięcy franków, które wypłaca się bez mrugnięcia okiem po to tylko, by z radością zobaczyć te obrzydliwe graty ustawione w nowym mieszkaniu. Jan — miał już dość klientów podpisujących czeki znacznie przewyższające kwoty, na jakie najbardziej nawet hojny handlarz starzyzną wyceniłby zawartość ich ciężarówek. Ale gdy wraz z Franciszkiem Pontevaux zakładają grube skórzane rękawiczki, by chwytając od spodu podnieść ciężkie biurko w stylu Ludwika XV, Jan czuje się naprawdę szczęśliwy. Szczęśliwy do tego stopnia, że postawiwszy już ów klejnocik na ziemi, przeciera go delikatnie irchą wyjętą z tylnej kieszeni roboczego kombinezonu, który godny jest uwagi z tego powodu, iż jest za duży na Jana, metr dziewięćdziesiąt, sto dwadzieścia kilo wagi.

To Edward zwerbował tego wiecznie nie ogolonego potwora na krótkich nogach. Po raz pierwszy zobaczył go w Galeries du Siècle, gdy ten szukał w dziale „Praca” roboczego kombinezonu na swój rozmiar. **W** notesiku oprawionym w czarną skórę, z którym nigdy się nie rozstawał, Edward napisał: „otyły, pocieszny pijaczek”. Ponieważ Jan Lorieux zapłacił czekiem«za dwa kombinezony, które trzeba mu było uszyć na miarę, Edward bez trudu odnalazł go, gdy powołanie, wezwało go do sklepu z antykami, a jego zadaniem było znaleźć robotnika — „potężnego siłacza”, jak mówiła drżącym głosem Antonina.

Jan — odkąd pracuje u Franciszka Pontevaux, czyni starania, by mniej pić, i nie uśmiecha się prawie wcale, by ukryć zepsute zęby. Jest usłużny i zachowuje się ni-

czym chłop pańszczyźniany. Nie liczy godzin pracy. Ale śmierdzi.

Chociaż do jego pokoiku, usytuowanego nad labiryntem pomieszczeń sklepu z antykami, po otwarciu okna wpada czyste powietrze znad doliny, wydaje się, że to pomieszczenie skazane jest już na zawsze zachować mocny zwierzęcy zapach jego lokatora. Edward przeraził się pewnego ranka, gdy przyszedł po Jana na górę, zaniepokojony jego nieobecnością w sklepie. Nie mógł nawet dojść do łóżka, by potrząsnąć śpiącym. Zostawił go więc w spokoju. Trzydrzwiowy kredens zostanie doręczony nowemu właścicielowi dopiero nazajutrz.

Jan, ze swym totalnym brakiem wyobraźni, soboty i niedziele, podczas których dokonuje się dużych transakcji, gdy przyjeżdżają z Południa burżuje, a z Paryża antykwariusze, nazywa dniami J.

W te dni ma okazję pokazać się w swej błękitnej, obszytej czerwoną lamówką apaszce, z wyhaftowanym monogramem J. J. Ten dziwny przedmiot znaleziony został w „Chic anglais”, modnym sklepie w Foussy, przy czym nikt nie wie, co oznaczać mają te tajemnicze litery. Jan, ten niewolnik-kolós, darzy swego pana takim uwielbieniem, że zawsze niecierpliwie czeka na przyjazd klientów i cieszy się jak dziecko widząc, jak do sklepu zbliża się półciężarówka. Taki pojazd oznacza, że mebel zostanie kupiony i zaraz stąd zabrany. Bowiem często zdarza się, że klienci, którym towar ma zostać dostarczony później, zmieniają zdanie. Bardzo łatwo jest przecież podjąć szaloną decyzję o kupnie, zostawić czek z zaliczką, po czym odebrać go, przelękając ciskające się do oczu łzy... Tej niedzieli Jan z istic dworską kurtuazją otwiera bramę przed samochodem marki „Volvo”, należącym do państwa Lassagne, z którego następnie wyłania się zielonkawa postać przypominająca kobietę. Henryk Lassagne ma pewne trudności. Nie może uwolnić się od pasa bezpieczeństwa. Państwo Morin, zaprzyjaźnione małżeństwo, zdążyli już opuścić tylne sie-

dzenia wozu, gdy tymczasem Henryk ciągle jeszcze klnie na to superzapięcie, mające zapewnić najwyższe bezpieczeństwo.

Berta, ukryta za swymi nieodłącznymi okularami, czeka w głębi jaskini, siedząc przy masywnym stole w stylu Ludwika XIV, który służy jej za biurko. Edward drży z emocji. Franciszek Pontevaux, siedzący w dyrektorskiej kryjówce na pierwszym piętrze, specjalnie każe na siebie czekać. Tego ranka, podczas owych słodkich chwil spędzonych w małżeńskim łóżku rodziców, Sandra dowiedziała się, że chodzi o sprzedaż biurka z mozaikowym blatem, w stylu Ludwika XV. Trudnego do pozbycia się, bowiem ani lekarze, ani adwokaci nie chcą kupować takich wysokich biurek, zza których nie widać klientów. A gdyby chciało się postawić je przy ścianie, trzeba by się było odwracać przy każdej rozmowie z pacjentem.

Mozaika biurka przyprawia Henryka Lassagne o zawrót głowy. Jego żonę również. Oczyma wyobraźni oboje widzą już ten mebel w swojej z przepychem urządzonej bibliotece, w której nigdy nie wyciągane z półek książki czekają każdego ranka na delikatną pieszczotę miotełki z piór. Wszelkie rachunki znajdują swe miejsce w jego licznych szufladach. Jedno z cacek ukochanego króla lśnić będzie w lionńskim przepychu tych parweniuszy. W oczekiwaniu na tę wielką chwilę państwo Lassagne i państwo Morin kręcą się po sklepie z antykami. Ich inwazja wygnała stąd dwóch lub trzech niezdecydowanych klientów. Okrzyki zachwytu Fernandy Lassagne potęgują dziwność tego miejsca. Romański przedsiónek, który prowadzi na uliczkę, sprawia wrażenie, jakby wsysał niczym ofiarę stojące na niej volvo. Otoczone parowem stare kamienie niezmiennie trwają na swych miejscach. Tak drogie książętom Burgundii mury obronne trzymają się jeszcze całkiem nieźle. Już zawsze potem, gdy tylko będzie świadkiem rozmowy o fortecach., Sandra przywoływać będzie z pamięci właśnie te szare kamienie fortyfikacji w Foussy.

Czasami, gdy zdarza jej się błądzić po pomieszczeniach sklepu z antykami, wyobraża sobie, że jest kasztelanką. Gdy wychyla się z okienek strzelniczych wychodzących na parów, którym płynie wąziutki strumyk, wydaje jej się, że dominuje nad całym światem.

Jest to kolejne tajemnicze miejsce jej dzieciństwa, podobnie jak rodzinny dom z jego pysznym, ukrytym w samym środku miasta za wysokim murem, parkiem. Tak jak dom doktora Paula, chroniony przed brzydota koncertem westchnień i krzyków, należących do tajemniczego języka zwierząt.

— Doprawdy, to miejsce jest urocze — peroruje pani Morin. — A jakie to dziecko jest śliczne!

— Pani bardzo ładnie pachnie — mówi Sandra.

— I jakie zabawne!

Bierze dziewczynkę w ramiona i przytula do siebie mocno. Domaga się tego od niej jej łono.

Zatroskany pan Morin zaczyna się obawiać, że żona znowu będzie domagać się dziecka. Aby zabić czas, rusza ze swym przyjacielem, panem Lassagne, obejrzeć sklep. Oprowadza ich piękny Edward.

Oczywiście mowy nie ma, by przyprowadzić obu przemysłowców od razu do biurka w stylu Ludwika XV, które posiada dyskretną etykietkę z ceną 48 tysięcy franków. Jednak na paryskim Faubourg Saint-Honore kosztowałyby ono znacznie więcej. A więc najpierw ogląda się kufry, kredensy, toaletki i komody, biureczka i krzesła w stylu Ludwika XIII, a także odrażające, przywodzące na myśl tortury, krzesła Ludwik III.

Gdy tylko Franciszek Pontevaux, z dumnie podniesioną głową, wyszedł ze swego gabinetu, wystarczył mu jeden rzut oka na sytuację w sklepie, by zdobyć absolutną pewność, że uda mu się sprzedać biurko olbrzymiemu Henrykowi Lassagne. W tym momencie ogarnia go straszliwa ochota pójścia do łóżka z panią Morin, obojętnie, czy stanie się to przed, czy po obiedzie.

Podchodzi więc ucałować Sandrę, która ciągle jeszcze znajduje się w jej ramionach.

— To prawda — mówi — że bardzo ładnie pani pachnie.

— Pan Pontevaux, czyż nie?

— Tak. Franciszek Pontevaux, ojciec Sandry.

Pan Morin zniknął gdzieś wraz z Edwardem i państwem Lassagne. Berta udaje, że szuka czegoś w słowniku. Jan sobie poszedł. Sandra wtula twarz w biust Elżbiety Morin. Franciszek Pontevaux już wie, że sprawa jest przesądzona. Wcześniej czy później będzie ją miał.

— Doprawdy — pyta Elżbieta Morin — podobają się panu moje perfumy?

— To „Eau de Roche”, prawda?

— Owszem, zgadł pan.

Elżbieta Morin czuje, jak zaczynają z jej ciała emanować niebezpieczne fluidy. Delikatnie stawia Sandrę na podłodze i szepcze zmieszana:

— Musimy dołączyć do reszty...

— Pokażę pani sklep — mówi Franciszek Pontevaux. — Moje biuro jest na pierwszym piętrze...

Przez chwilę przesuwiają mu się w pamięci obrazy ciał, które przewinęły się przez kanapę w jego biurze. Potem widzi nagą Elżbietę Morin, jej jasne jak włosy runo między udami i mięsiste wargi.

— Wolałabym, abyśmy raczej wrócili tu po - południu — mówi Elżbieta. — Szukam dla siebie nowego stoliczka, ale nie chciałabym decydować się tak od razu. Ma pan może coś w stylu Ludwika XVI?

— Nie. Ale mam bardzo piękny sekretarzyk. Z czasów, gdy pisywano jeszcze miłosne listy. Proszę za mną...

Sandra drepcze za nimi do pomieszczenia zarezerwowanego dla mebli niedawno zdobytych lub dopiero co odnowionych, które nie są jeszcze wystawione na sprzedaż.

Namiętność Elżbiety Morin do antyków sprawia, że

zaczyna wydawać z siebie jakieś nienaturalne, infantylne okrzyki.

— Można się w tym wszystkim pogubić — wzdycha.

— Właśnie. Czasami warto jest się zgubić. Wrócimy tu po południu. Może znajdziemy coś, co panią uszczęśliwi.

Amandyna przeszła samą siebie w przygotowaniu krewetek w winnym sosie.

— Zazwyczaj — mówi blada pani Lassagne — krewetki w ten sposób przygotowane nie mają żadnego smaku. A te...

— Wszystko to zasługa pikantnych przypraw — mówi Franciszek Pontevaux mrugając do pani Morin znad kieliszka doskonałego chablis, który właśnie opróżnia.

— Jeśli bulion jest wystarczająco pikantny, krewetki nabierają znakomitego smaku — potwierdza pani Morin. — Sos nie jest już wtedy potrzebny.

Po czym uroczystym gestem sięga po kieliszek, jak gdyby chciała wznieść toast na cześć rozkoszy życia i podniebienia. Sandra, która chciała koniecznie siedzieć obok niej, tuli się teraz do jej jedwabistego uda wyłaniającego się spod wiosennej sukienki, niezbyt odpowiedniej na tę deszczową, ponurą niedzielę. Ale na Południu była tego ranka piękna pogoda. Do sukienki włożyła bardzo cienkie, niewidoczne prawie rajstopy, żałując przy tym, iż jej wspaniałe długie nogi są zbyt białe, by można je było pokazać gołe.

Podczas degustacji Nuit-Saint-Georges, które podano do kurczaka w winie, Franciszek Pontevaux zastanawia się, czy są to rajstopy, czy też pończochy. Usiłuje dopatrzeć się pod cienką sukienką śladu paska do pończoch. Stwierdziwszy ostatecznie, że są to jednak rajstopy, odczuwa lekkie rozczarowanie. Do podwiązek ma bowiem wyraźną słabość. By się pocieszyć, zaczyna wyobrażać sobie, jak ściąga z jej bioder rajstopy, bez pośpiechu, rozkoszując się każdym gestem.

Siedząc pomiędzy Sandrą a jej ojcem, sąsiadując z dziecinnym zachwytem z jednej a pożądaniem z drugiej strony, Elżbieta Morin trochę się upija. Bez trudu oparła się działaniu chablis, ale Nuit-Saint-Gorges powoduje już lekkie zawroty głowy. To nic, z pewnością wytrzyma aż do natarcia. Zastanawia się tylko, jak też gospodarz zamierza poradzić sobie z pozbyciem się pozostałego kwartetu, by móc znaleźć się z nią sam na sam. Nie liczy chyba na szybkie, brutalne zbliżenie gdzie bądź?

— To wino jest wyśmienite — oświadcza Henryk Lassagne. Tak jak i cała reszta... Czy wszystkich klientów gości pan w ten sposób?

— Tylko najbardziej sympatycznych — dyplomatycznie odpowiada Antonina.

Personel sklepu nie został zaproszony na ten posiłek. Paternalizm Franciszka Pontevaux ogranicza się do postawienia im, gdy pracują w niedzielę, obiadu w „Starych Murach”, jednej z najlepszych restauracji w Foussy, leżącej u stóp murów obronnych, które kryją w swych wnętrzach sklep z antykami. Co do dzieci zaś, unikają one, jak mogą, tych niedzielnych uczt. Jedynie Sandra z jakąś niezwykłą ciekawością obserwuje zazwyczaj ten rytuał. Bez wątpienia różnorodność zachowań klienteli z wyższych sfer, którą ojciec gości u siebie każdej niedzieli, staje się jedną z rozrywek, a tych nigdy jej nie dość. A może niejasno przeczuwa, że dzięki tym obserwacjom może odkrywać finansowe intrygi i miłosne awanturki.

Tak samo zresztą uważnie obserwuje swoje panie w przedszkolu, gdy zbierają się podczas przerwy, by poplotkować. Stoją zazwyczaj pośrodku podwórka obsadzonego kasztanowcami klasycznego apanażu — szkoły podstawowej za Trzeciej Republiki, która, kiedy staje się za mała dla uczniów, zostaje oddana do użytku przedszkolakom. Sandra błąka się zawsze wokół grupki młodych kobiet, starając się wychwycić choćby słówko czy imię z rozmowy przerywanej najczęściej dźwiękami gwizd-

ka, mającymi rozdzielić bijących się chłopców, lub wydawanymi groźnym tonem napomnieniami. Pewnego dnia w ten właśnie sposób usłyszała wypowiedziane przez jedną z nauczycielek imię matki. Zanim panie zamilkły na widok stojącej zbyt blisko Sandry, podsłuchiwała taki oto dialog:

— Tak, zawsze jeździ szybko i daleko tym swoim małym austinem!

— I nigdy nie wiadomo dokąd...

— Ale zawsze w pełni gotowości bojowej... Cóż za szyk! Sandra oddaliła się jak gdyby nigdy nic, ale serce pękało

jej z dumy. To prawda, że jej mama szybko prowadzi swój śliczny granatowy samochodzik, który błyszczy jak nowa zabawka. I prawdą jest także, że jest elegancka. Wszystkie swoje ubrania kupuje przecież w Paryżu. Czasami, by się dobrze ubrać, spędza tam dwa lub trzy dni. Kiedy Franciszek Pontevaux całuje ją na do widzenia, zawsze mówi z porozumiewawczym mrugnięciem:

— Pamiętaj, ładnie się ubierz.

Sandra jest bardzo szczęśliwa, widząc uśmiechających się do siebie rodziców, a także kiedy widzi, jak wesoło macha jej na pożegnanie mama, gdy jej austin rusza w kierunku drogi prowadzącej do Auxerre.

5

Na sofie w dyrektorskim gabinecie Franciszek Pon-tevaux pompuje Elżbietę Morin z dzikim zapałem, tak charakterystycznym, gdy ma do czynienia z nową zdobyczą. Na firankach zasłaniających wychodzące na ulicę okna wesoło igra słońce. Strzelnicze okienka, które wychodzą na wąwóz, zasłonięte są małymi drewnianymi okiennicami. Niezwykłość tego miejsca ewidentnie służy pani Morin. Przestała się już nawet zastanawiać nad tym, w jaki sposób udało się Antoninie odizolować ją od tego groźnego trio złożonego z jej męża i państwa Lassagne. Pomogli jej w tym, dobrowolnie czy nie, pani Berta i uroczy Edward. Całe to towarzystwo stłoczyło się w volvo państwa Lassagne z myślą o ewentualnej korzystnej transakcji, jakiej można by było dokonać u handlarza starzyzną, mieszkającego o pięćdziesiąt kilometrów stąd. Natomiast Franciszek miał w tym czasie do załatwienia bardzo pilny interes w zupełnie innym miejscu.

— Jakim pracowitym dniem jest niedziela w Bur-gundii — mówi pani Lassagne. — Chcę jak najszybciej spotkać się z tym handlarzem.

— Nie pojedę chyba z wami — odzywa się na to Elżbieta. — Nie jestem przyzwyczajona do tak aktywnego wypoczynku. Kręci mi się w głowie. A poza tym mam migrenę.

— Może chciałaby pani odpocząć w moim pokoju? — pyta szybko Antonina.

I w ten oto sposób Franciszek otrzymuje, niczym w darze, Elżbietę. Wróciwszy po swoim wyjściu na niby do domu, nalega, by poszli do sklepu z antykami. Właśnie tam chce mieć elegancką i pachnącą Elżbietę. Właśnie w biurze na kanapie, przez którą przewinęło się już tak wiele łatwych dziewcząt zarówno z Foussy, jak i z bliższej i dalszej okolicy.

Nie spieszo mu ją rozbierać. Ugniata pastelowe kwiaty jej wiosennej sukienki. Z całych sił walczy z ogarniającym go coraz bardziej zniecierpliwieniem, którego przyczyną jest zjedzony niedawno obfity posiłek; a nade wszystko nadmiar wypitego wina. Błękitne oczy Elżbiety przybierają fiołkowy odcień, jak gdyby odbijały się w nich zmięte kwiaty sukienki. Jej jasne włosy same uwalniają się od spinek, a potem rozplatają.

Elżbieta pragnie być kobietą-przedmiotem, uległą mężczyźnie. To pragnienie budzi w niej ów olbrzym, Franciszek Pontevaux. Przed chwilą znieruchomiał na sekundę, gdy jego ogromna dłoń napotkała agresywny koniuszek jej drobnej piersi. Przed ślubem Elżbieta miała tylko kilku delikatnych kochanków, nieco wątych, całkiem do niej pasujących. A potem był pan Morin, metr sześćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt kilogramów, .osoba... Często zdarzało się jej marzyć o pięknym olbrzymie, takim właśnie jak ten, który mógłby ją w tej chwili zmiażdżyć.

Dziwi ją bardzo jego delikatność. Kontakt z tym owłosionym ciałem przywodzi jej na myśl łagodność King Konga. Podczas posiłku przyglądała się uważnie Antoninie, że świetnie się trzyma jak na matkę pięciorga dzieci. Mała, co najwyżej metr pięćdziesiąt pięć, ale z obfitym biustem i o jędrnych pośladkach. Oczyma wyobraźni widzi ją na swoim miejscu, na tej sofie z Franciszkiem. Zaczyna żałować, że nie ma jej tutaj. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że Elżbietę Morin podniecają kobiety. Gdy ręka Francisz-

ka podnosi sukienkę na wysokość pępka i gdy jego pieścizoty stają się coraz bardziej precyzyjne, Elżbieta widzi rozwierającą nogi Antoninę i słyszy jej jęki. Czy King Kong domyśla się, że jego kosmate ręce pieścizą z coraz większą śmiałością wilgotne wgłębienie Antoniny? Elżbieta czuje je tuż przy swoim, wargi przy wargach we wspólnej wilgoci.

Stara się możliwie jak najmniej ruszać, by Franciszek nie podniecał się zbyt szybko. Twarz Antoniny jest teraz przy jej twarzy. Patrzą na siebie długo. Obie się uśmiechają. Elżbieta zdaje się szeptać do Antoniny:

— To ty chciałaś, żebyśmy zostali razem, ty mu mnie dałaś... Myślisz o mnie teraz? Ileż to razy on ugniatał cię w ten sposób, coraz mocniej, gdy każdy palec jego ręki zdaje się szukać rozkoszy tylko dla siebie? Ileż to razy sięgałaś szczytu, nie dając mu tego poznać po sobie, znacznie wcześniej, niż jego członek zagłębił się w twe czeluści, gdy jego podniecenie ponownie cię rozbudzało, jeszcze i jeszcze, bez końca? Kiedy mała Sandra przytuliła się do mnie podczas obiadu, położyła mi na udzie swą delikatną rączkę. Wtedy zrozumiałam, że została poczęta w omdleniu, którego nadejście czuję teraz i które zbliża mnie tak bardzo do ciebie, oraz w długim głośnym krzyku twego męża.

Ściany zdają się być jeszcze masywniejsze niż przed chwilą. Elżbieta Morin zamyka oczy i daje się unieść rozkoszy. Jej łono, najpierw napięte, potem zaś niezwykle ruchome zaciska się aż do bólu na członku, który wchłonęło. Nie czuje już tej masy, miazdzącej ją na sofie. Czuje się tak, jakby całą wieczność czekała na ową rozkoszną brutalność, powtarzającą się wielokrotnie i w końcu zaspokojoną.

— Czegóż to oni teraz nie wymyślą! „Bławatek nadziei”... I powiadasz, że to na rzecz starców poszkodowanych w wypadkach?

— Tak, proszę pani.

Skromny, ze spuszczonego wzrokiem, czysty i poważny

w swym świeżo prasowanym przez Amandynę mundurku skauta Wawrzyniec Pontevaux czeka na werdykt rodziny rzeźnika Malgras, którą naszedł, gdy ta właśnie kończyła obiad. Zauważył już bowiem, że sakiewki rozwiązują się łatwiej w momencie, gdy ich właściciele czują się przyjemnie syci.

Podczas gdy jego rodzina sądzi, że wspólnie ze swymi druhami przeżywa przygody ośmiolatków, oraz gdy szef jego patrolu jest przekonany, iż został on zatrzymany, wbrew woli, na rodzinnej uroczystości, Wawrzyniec spędza niedzielę na powiększaniu swego wojennego łupu. Przemieszczanie się autostopem zdecydowanie ułatwia mu sympatia kierowców do jego skautowskiego mundurka. Od miasteczka do miasteczka zapas bławatków maleje, a starannie owinięty błękitnym papierem karton po mleku z wyciętą szparką staje się coraz cięższy.

Owe „bławatki” to kawałki białej na szpilki błękitnej wstążki. Dostają je w dowód wdzięczności szlachetni ofiarodawcy. Wawrzyniec zrobił je w tajemnicy przed wszystkimi, w swoim pokoju. Wstążka i szpilki nie kosztowały dużo. Sprzedawczyni w pasmanterii dała mu nawet dodatkowo gumę do żucia („To miło, że robisz mamusi zakupy”). Pomysł, by podczas niedzielnego wypoczynku poszukać rynków zbytu w miasteczkach, gdzie nikt go nie zna, przyszedł mu do głowy, gdy zorientował się, z jaką łatwością upłynnia niezliczoną ilość powierzonych mu w szkole znaczków różnorodnych fundacji zbierających datki. Zawsze sprzedawał ich znacznie więcej niż inni uczniowie. Działo się tak bez wątpienia za przyczyną poważnego wyglądu, wdzięcznej minki i dyskretnego uśmiechu. A więc, biorąc się do działania na własny rachunek, a w dodatku robiąc to w mundurku skauta, bez trudu powiększy swój wojenny łup, który ma być przeznaczony na zasilenie sterty komiksów, ukrytych w składziku za stosem starych desek.

W Yillemont, zanim jeszcze dotarł do rzeźnika Mal-

gras, Wawrzyniec zebrał już sporą sumkę. Jedyne problem polega na tym, że w niedzielę sprzedaż ogranicza się tylko do handlowców mieszkających nad swoimi sklepikami albo tuż obok. Bo nie ma sposobu, by odszukać innych, tych, którzy mieszkają w brzydkich nowych domach na peryferiach. Otóż Wawrzyniec, bardzo mądry jak na swój wiek, wychodzi z założenia, że pieniądze mają tylko sprzedawcy. A skoro wyszedł z założenia, że każda wizyta powinna mu przynieść co najmniej trzy franki dochodu, może tylko atakować elity.

U państwa Malgras także świetnie mu idzie. Gdy minęły już pierwsze chwile wahania, każdy członek rodziny zapragnął mieć swój własny bławatek. Wawrzyniec wyznaczył im więc cenę hurtową. Karton po mleku wzbogacił się o dziesięciofuntowy banknot.

Wawrzyniec chowa starannie do swego chlebaka w kolorze khaki karton oraz kolekcję bławatków, a potem idzie ustawić się na skraju szosy. Jeśli zatrzyma się i weźmie go do samochodu jakiś znajomy państwa Pontevaux, o swojej kweście nie piśnie mu ani słówka. Dyskrecja przede wszystkim.

Zresztą Wawrzyniec zaczyna zastanawiać się, czy nie lepiej by było, skoro jest już na drodze prowadzącej do Foussy, wrócić do domu, schować forszę i ubrać się jak wszyscy inni. Czuje, że ten niedzielny żart trwa już wystarczająco długo. Oszacowanie dochodu sprawia mu niejaki kłopot. Może dwieście franków... toż to cała fortuna! Trzeba mu będzie dużo cierpliwości, by doczekać się chwili gdy będzie mógł wreszcie policzyć zebrane pieniądze.

Wawrzyniec nigdy nie czeka długo na okazję. Może sobie nawet pozwolić na luksus rezygnowania z samochodów, które nie jadą prosto do Foussy:

— Pan rozumie — mówi — zorganizowaliśmy sobie rajd. Muszę jechać prosto do celu.

Kierowca nic z tego nie rozumie, ale przytakuje lekko zakłopotany, po czym odjeżdża.

Gdy volvo z końcówką rejestracyjną 69 zatrzymuje się przed nim, Wawrzyniec nie widzi jeszcze na jego przednim siedzeniu Antoniny. I gdy pan Lassagne pyta: „Gdzie jedziesz, mały?”, Antonina wchodzi mu w słowo:

— Co tutaj robisz, Wawrzyniec?

Kogo jak kogo, ale jej się tutaj nie spodziewał. Na szczęście przychodzi mu natychmiast do głowy odpowiedź przewidziana na każdą okazję:

— Zorganizowaliśmy sobie rajd... Muszę przybyć do Foussy wcześniej niż inni.

— To mój syn — wyjaśnia państwu Lassagne i panu Morin Antonina.

— Wsiadaj szybko — mówi Henryk Lassagne. — Dodamy gazu i na pewno przyjedziesz pierwszy, mój mały!

Wciśnięty pomiędzy matkę a drzwi, ze swym chlebakiem f a kolanach, Wawrzyniec z niechęcią myśli o poufałości, jaką względem dzieci przejawiają prostacy. Dob-roduszość wzbudza w nim wstręt. Nie znosi ani gdy kładzie mu się rękę na głowie, ani gdy mówi się do niego „mój mały”.

Elżbieta Morin odpoczywa na sofie w salonie, kartkując „Mody i Ogrody” i popijając herbatę, którą przyniosła jej Amandyna. Franciszek Pontevaux przyprowadził ją tutaj, po czym pozostawił samą. To jeden z punktów całego scenariusza. Sandra przyszła się do niej przytulić. Elżbietę ogarniają sprośne myśli: „Gdyby ona była trochę większa, ją także mogłabym uwieść. W gruncie rzeczy można by to było zrobić z całą rodziną, tak jak w tym filmie Pasoliniego *Teoremat*.” Jasne włosy dziecka zwijają się w jej palcach w loki.

Sandra kładzie głowę na udach Elżbiety. Jej delikatny policzek wygładza fałdy pomiętej sukienki.

Bokser Tristan^v kładzie się u ich stóp. Młoda kobieta krótko bawiła w łazience po powrocie ze sklepu.

Ma wrażenie, że ciągle jeszcze pachnie miłością. Dotykające jej ciało dziecka

rozbudza pamięć o niedawnych rozkoszach. Zamyka oczy. Zmysłowość i bliskość Sandry każą jej myśleć o rękach Franciszka Pontevaux. Czułość Sandry wznieca w niej pożądanie.

Dziwne dziecko — myśli Elżbieta. — Taka piękna i taka już kobieca, tak, w dziwny sposób kobieca.

Jej szarozielone oczy wpatrują się we mnie uważnie i spokojnie, jakby chciały mnie ocenić. Tak, jakbym była modelem kobiety, który chce zachować w pamięci na przyszłość. To podniecające.

Wydaje mi się, że staję się dzieckiem, że przemierzam jakby w odwrotną stronę drogę rozkoszy.

Czyżby Sandra była dobrym duszkiem miłości?

Trzy dźwięki klaksonu oraz narastające odgłosy rozmów niszczą tę czarowną chwilę. Pierwsza do salonu wchodzi Antonina Pontevaux. Krótkie spojrzenie, jakie wymienia z Elżbietą, mówi jej wszystko o tym, w jaki sposób jej mąż spędził popołudnie. Zresztą od początku była tego pewna.

Uśmiechając się porozumiewawczo do Elżbiety mówi:

— Ach! Jest tu z panią Sandra... Lepiej się już pani czuje? A jak migrena?

— Mineła. Zdrzemnęłam się trochę, to mi dobrze zrobiło.

— Mój mąż nie wrócił jeszcze?

— Nie, nie widziałam go.

Państwo Lassagne i pan Morin krzątają się wokół volvo ustawionego tuż przy zewnętrznych schodach domu. Z tylnej części samochodu wyciągają dwa kulawe krzesła w kształcie liry, trzy prościutkie stoliczki, zardzewiałe wilki kuchenne i piękny piracki kufer, którym bezustannie, i całkiem zresztą słusznie, entuzjazmuje się pani Lassagne. Elżbieta podchodzi do nich, ale staje trochę na uboczu. To wypakowywanie bagażu bawi ją setnie. Z trudem tłumi wybuch śmiechu. Zadowolenie z dokonanych zakupów jest najlepszym dowodem skrajnej głupoty nabywców. Całe szczęście, że jest przynajmniej ten kufer, na którego

temat będzie można koncertowo bredzić z jego nową właścicielką. Tak, to prawda, że przywołuje on na myśl ciepłe morze, szalone Karaiby i korsarzy, tych wiecznie pachnących prochem mężczyzn, którzy obcują ze śmiercią niczym ze starą kochanką. Elżbieta wyobraża sobie stojącego na mostku kapitańskim pirackiego okrętu Franciszka, który krzyczy „Do ataku!”, wskazując szablą cel masakry. I znowu czuje na ciele ręce tego olbrzyma, a we wnętrznościach rozlewające się cudowne ciepło.

— Nie próżnowałaś, zalotnico? — mówi do niej mąż. Elżbieta dopiero teraz spostrzega, że trzyma za rękę

Sandrę. To ostatnie zdanie pan Morin wypowiedział mało uprzejmym tonem. Oboje zgodnie doszli do wniosku, że nie chcą mieć dzieci, i teraz niepokoi go, prawie oburza fakt, że ten jasnowłosy aniołek, mój Boże, ależ tak, podobny jest do jego żony...

W salonie na wszystkich czeka herbata. Pan Lassagne z niecierpliwością oczekuje powrotu Franciszka, by poprosić go o obniżenie o trzy tysiące franków ceny biurka, które chce kupić. Pani Berta nie mogła bowiem mu tego obiecać.

— Będziemy musieli zaraz jechać — mówi pani Lassagne, nie mogąc się już doczekać chwili, gdy postawi w swoim pokoju nowo nabyty piracki kufer pełen legend. — Co też mogło się stać z pani mężem?

— Musiał pojechać dość daleko — odpowiada machinalnie Antonina — ale z pewnością zaraz wróci.

I w rzeczy samej, wielki antykwariusz z Foussy wchodzi właśnie uroczyście, tłumacząc się od progu:

— Umeblowanie siedemnastowiecznego zamku... Absolutne cudo. Duży interes. A państwu udało się znaleźć coś ciekawego u tego poczciwego handlarza?

— Same drobiazgi.

— Cudowny kufer! — wrzeszczy zachwycona pani Lassagne.

— Tto dobrze, to dobrze...

Franciszek Pontevaux patrzy Elżbiecie prosto w oczy. A jej nawet nie drgnie powieka.

— Lepiej się pani czuje? — pyta.

— Dziękuję, czuję się znakomicie. Po czym dodaje z uśmiechem:

— Za często i za dużo nalewał mi pan wina...

— Drogi panie — zaczyna pompatycznie pan Lassagne — robi się już późno. Gotów jestem kupić pańskie biurko. Ale co do ceny...

— Zechce pan przejść się ze mną po parku — wtrąca Franciszek. — Na pewno się dogadamy.

Wraz z poniedziałkiem powraca rytm dnia narzucony przez przedszkole, w którym Sandra świetnie się bawi, jak to oświadcza poważnym tonem ku ogólnej radości całej licznej rodziny. Gdy już obudzi ją Wilhelm, gdy wypije swą poranną czekoladę w pełnej porannego zamieszania kuchni, gdy wykona już czynności związane z poranną toaletą, zaczyna niecierpliwie czekać na tego, kto ma ją odprowadzić. A rano Wawrzyniec jest zawsze bardzo zajęty. I byłoby mu zupełnie obojętne, czy spóźni się do szkoły, czy nie, gdyby nie obowiązek odstawienia małej siostry pod przedszkole. Zaraz potem rusza w kierunku prawdziwej szkoły, to znaczy podstawówki, która jest zespołem nowych, zimnych budynków, wzniesionych na skraju miasta, w pewnej odległości od szosy. Wybudowanie jej było konsekwencją zamykania szkół wiejskich. Do Foussy zaczęli przyjeżdżać uczniowie z okolicznych wiosek. Tym najazdom stara szkoła nie mogła podołać. Zmuszona była opuścić swe surowe ściany, skonfiskowane niegdyś kilku ponurym braciom zakonnym.

W przedszkolu, zainstalowanym w tych opuszczonych pomieszczeniach. Sandra nie uczy się jeszcze ani pisać, ani czytać, a tylko przebywać w grupie rówieśników.

Ta sytuacja coraz bardziej ją niecierpliwi. Kiedy Waw-

rzyniec zostawia ją przed wejściem do przedszkola i biegnie w stronę „poważnej szkoły” na przedmieściu, czuje się tak, jakby poddawano ją jakiejś ciężkiej próbie. A ona nie może już wytrzymać. Chce już czytać, a nie tylko odgadywać historyjki z obrazków. Chce pisać także inne słowa oprócz „Sandra”, „tata”, „mama” oraz imion braci i sióstr. Dlaczego więc nikt nie chce jej tego nauczyć?

— Tak już jest. Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie — mówi filozoficznie Franciszek Pontevaux.

Sandrze wydaje się, że w dniu, w którym nauczy się już czytać, zrozumie wreszcie cały ten tajemniczy świat, którego na razie nie jest w stanie jeszcze pojąć, a od którego oczekuje jedynie pieszczot i szczęścia. Paplanina zwierząt w ogrodzie doktora Paula, słowa słodkie i brutalne, miłość, ta podglądana, ale i ta wymarzona, niejasno jeszcze wyobrażana, śpiew ptaków w listowiu, owoce z małego dzikiego sadu, wiekuista przyjaźń (cokolwiek nie na czasie) z butelką i smoczkiem, zwierzenia wymieniane z Hieronimem, delikatna skóra Nany w kąpielu, wszystko to prowadzi Sandrę w stronę lektury, która wszystko to w końcu jej wyjaśni. W oczekiwaniu na ten moment stara się zobaczyć i usłyszeć wszystko, co tylko jest możliwe.

— Ona musi być wszędzie — mówi Wilhelm. Od czasu jej niefortunnego wtargnięcia do jego pokoju często bywa rozdrażniony.

— To prawda — mówi z uśmiechem Nana. — Na szczęście niczego nie opowiada, bo w przeciwnym razie...

— Co?

— Nic. Tak czy inaczej w tym domu każdy robi to, co chce, czyż nie?

Oboje wybuchają śmiechem, dumni ze swej licznej, szczęśliwej rodziny.

CZĘŚĆ DRUGA

1

— Nie, nie, naprawdę muszę już jechać — mówi stanowczo Antonina Pontevaux. — Za nic na świecie nie zrezygnuję z pierwszego dnia roku szkolnego. Dla Sandry to święty dzień. Szkoła jest w jej życiu czymś absolutnie niezwykłym. Kiedy pomyślę sobie, że wkrótce skończy osiem lat... Wiesz, że ona urodziła się w Paryżu? Wszystko było przygotowane do porodu w Dijon, ale ona się pośpieszyła.

Przyjechałam tu z Franciszkiem na aukcję...

Jan Patryk Ermont nie słucha jej już. Temperamentna Antonina jest w restauracji równie gadatliwa, jak nienasycona była jeszcze przed chwilą w łóżku. A zresztą nadal sprawia wrażenie nienasyconej. Bez wysiłku zjada przyniesione jej wielkie porcje posiłku zamówionego w „Reine Hortense”, wytwornej i dyskretnej restauracji na Fau-bourg-Saint-Honoré. Antonina nigdy tak naprawdę nie dowiedziała się, jaką rolę jej dystyngowany kochanek gra w otoczeniu prezydenta. Nie wie nawet, czy rzeczywiście ma on biuro w Pałacu Elizejskim, czy tylko tak mówi, by zrobić na niej wrażenie. W gruncie rzeczy jest jej to zupełnie obojętne. Jakie znaczenie może mieć funkcja człowieka, którego widuje od czasu do czasu przez dwa dni, wtedy, gdy przyjeżdża do Paryża, by zrobić zakupy w butikach Yves Saint-Laurenta, Louis Férauda czy Fran-

cois Villona, a trochę dłużej w dniach wielkich obniżek cen? Jan Patryk jest zabawny, dyskretny i zna miejsca, gdzie można zabawić się dobrze i w dobrym towarzystwie! A najważniejsze jest to, że gdy tylko Antonina zawiadamia go o swym przyjeździe, poświęca jej cały swój wolny od zajęć w Pałacu Elizejskim czas.

Ta opowieść o Sandrze wprawia Antoninę w jakiś dziwny stan oszołomienia. Jan Patryk jest zdumiony. Ta śliczna prowincjonalna matka dzieciom zazwyczaj nie jest zbyt rozmowna, jeśli chodzi o jej życie w Foussy-les-Oies... Jan Patryk czule uśmiecha się na wspomnienie o dzisiejszym popołudniu, którego z pewnością nigdy nie zapomni. Dopiero wypite w restauracji cztery lampki szampana były zdolne przywrócić mu resztki energii. Wiktor, szef restauracji „Reine Hortense”, wlewał szampana do kieliszków przyglądając się równocześnie z troską, ale i ze zrozumieniem, swemu klientowi. W wieku czterdziestu pięciu lat ten człowiek prezydenta powinien już zacząć oszczędzać swe serce. Zawał przychodzi zazwyczaj tak nagle...

„Piątka dzieci w wieku trzydziestu pięciu lat. i taki temperament, to doprawdy jakiś fenomen... Co za zdrowie!” — myśli Jan Patryk przyglądając się, jak Antonina wyłuskuje ze skorupy mięso homara. -Ona zaś zachowuje pobożną ciszę, jakiej w jej mniemaniu wymaga degustacja homara. Uśmiecha się do Jana Patryka, który przygląda jej się z czułością, tymczasową co prawda, ale szczerą. Zależy mu na tym, aby w tym uśmiechu zauważyła lekką drwinę. Ponieważ od pierwszego zbliżenia zawsze traktował ją jak chłopca, przekonany jest, że Antonina uważa go za homoseksualistę. Nigdy jednak nie odważył się jej o to zapytać. Zresztą nie ona jedna. Gazety także nie oszczędzają „pięknego J.P.E.” Czy domyśla się chociaż, że owa oryginalność właśnie zapewnia mu wyłączne prawa do Antoniny, gdy przyjeżdża ona do Paryża? Antoninę już na autostradzie ogarnia

rozkoszne podniecenie na myśl o Patryku wbijającym się w nią w sposób, w jaki robi to tak niewielu spośród stałych jej kochanków, i tak rzadko w dodatku... Gdy tylko zamykają się za nimi drzwi pokoju numer 7, który właścicielka „Hotel des Fleurs” rezerwuje zawsze dla J.P.E., Antonina kładzie się na brzuchu na czteroosobowym łóżku. Zamyka oczy i przybiera pozycję, jakby swe ciało wystawiała na plaży na działanie słońca. Jan Patryk nie dotyka na razie jej jedwabnej bluzki. Zdejmuje błękitne spodnie z zamszu, stanowiące część stroju, jaki Antonina wkłada specjalnie dla niego. Zsuwa je tylko do połowy ud, odkrywając pośladki. Sam jeszcze nie jest rozebrany. Wkłada rękę pomiędzy uda Antoniny i pieści ją z coraz większą precyzją, aż poczuje wilgoć, aż Antonina zacznie monotonicznie jęczeć.

Wtedy dopiero kładzie się na niej, rozbiera się, wkłada członek w zagłębienie między wargami, przesuwa po łechtaczce i dokładnie go nawilża. Wkrótce po falowaniu bioder i napięciu pośladków rozpoznaje, że Antonina gotowa jest na pierwszy atak, który — wie to dobrze — ma być .zaledwie prologiem tej gry. Ten atak prowadzony jest bardzo ostrożnie. Pozostawiając zbyt już rozwarte wejście w głąb, Jan Patryk wsuwa się w otwór znacznie bardziej ciasny. Robi to wolno, wpatrując się intensywnie w identyczną dla obu płci część ciała, pomiędzy bluzką a ściągniętymi do połowy ud spodniami. Nie pyta już nawet, czy sprawia jej ból. Wie, że nawet gdyby tak było, odpowiedź będzie przecząca. Więc tylko przytula się do niej mocno. Jest tak blisko niej, że nie może już na nią patrzeć. Z twarzą w jej włosach czuje, jak ten wąski otwór, w który wszedł, zaciska się na jego długim i cienkim członku. Wydaje mu się, że nigdy nie przestanie przeć do przodu, że przebije w końcu na wylot to ciało, w które się wdarł. Natomiast to znacznie bardziej rozwarte wejście wydaje się być mocno rozczarowane. Wkłada w nie więc dwa, a potem trzy palce. W zacisznej restauracji, w której

Antonina rozkoszuje się ostatnim kęsem homara, wybucha ona nagle szalonym śmiechem. Jan Patryk nic nie rozumie. Ponieważ szef sali gdzieś zniknął, on sam sięga po butelkę szampana, by nalać Antoninie. Smukła, prawie przezroczysta ręka trzymająca pokrytą delikatną mgiełką butelkę przypomina Antoninie tę samą rękę robiącą coś zupełnie innego. Na dodatek jego długie palce kojarzą jej się jeszcze z czym innym, śmieje się więc coraz głośniej: „Tak, zdecydowanie wszystko jest w nim długie i cienkie. Nawet palce...”

Jakim sposobem ten dystyngowany pan miałby zrozumieć jej śmiech, świadczący o krzepkim zdrowiu i ciągłej ochocie do żartów? On, który zaraz po wyjściu z „Hotel des Fleurs” przybrał na nowo swą pozę wyniosłej obojętności nudzącego się dyplomaty.

— Co cię tak bawi? — pyta z zaciśniętymi ustami. Gdyby wiedział! Wybuch śmiechu jest teraz dwa razy

głośniejszy. Jan Patryk unosi brwi. Antonina odzyskuje spokój i na poczekaniu wymyśla małe kłamstwo:

— Przypomniał mi się pewien figiel Sandry...

— Opowiedz!

— Nie rozbawiłoby cię to. To tak, jak z dziecięcymi powiedzonkami. Rozśmieszają tylko rodziców. Przy sąsiednich stolikach coraz rzadziej słychać szczęk sztucców. Coraz więcej osób patrzy w ich kierunku. Tak rzadko w obecnych czasach słyszy się szczery śmiech. Jan Patryk uśmiecha się przepraszająco, właściwie nie wiadomo do kogo.

— Widzisz — mówi Antonina — już czas, bym wróciła na moją prowincję. Szokuję tych ludzi.

— Ależ skąd, ależ skąd...

Jan Patryk protestuje słabo, bowiem zależy mu w gruncie rzeczy, by jak najszybciej się z nią pożegnać, aż do jej kolejnego przyjazdu do stolicy. Antonina tak chętnie zgadza się robić to w jego ulubiony sposób, że zawsze gotów jest się z nią spotkać ponownie. Gdyby widywali się

częściej i na dłużej, mieliby bez wątpienia wiele wspólnych tematów. Ale Antonina zawsze ma bardzo niewiele czasu na to, co nazywa „swą podróżą do Sodomy"! Jan Patryk traktuje swą przygodną kochankę bardziej jak jakieś rzadkie i dziwne zjawisko, niż jak przyjaciółkę. W gruncie rzeczy lepiej zna jej pośladki, zaprzeczające istnieniu w niej delikatności, niż twarz, która ową delikatność manifestuje.

Gdyby nie była zdecydowana wracać tak od razu do Foussy, zabrałby ją chętnie z powrotem do „Hotel des Fleurs"! Bowiem wystarcza mu, podczas gdy Antonina zastanawia się nad wyborem deseru, jedno spojrzenie na jej zamszowe spodnie, by natychmiast przestały one istnieć, ukazując ukryte dotychczas uda i brzuch... Dopiero po dłuższym czasie i wielokrotnym zgłębieniu jej wnętrza, Jan Patryk decyduje się w końcu zdjąć jej bluzkę, by obnażyć ciężkie piersi, gdy tymczasem Antonina, wyciszona już teraz i zaspokojona, wzdycha głęboko i uśmiecha się...

Z przyjemnością wyobraża sobie nagą Antoninę tutaj, w tej eleganckiej restauracji pełnej ludzi z dobrego towarzystwa. Podnieca go myśl o widowisku, jakie mógłby im urządzić, gdyby posiadał ją tutaj, na tej purpurowej wykładzinie, u stóp szeptających między sobą smakoszy. Ma sobie za złe fakt, że znowu pożąda jej z całych sił. To nie należy do dzisiejszego planu dnia. Na dodatek jego angielski krawiec, szyjąc mu spodnie, nie przewidywał zapewne tak silnych erekcji. „Boże, spraw, żeby tylko nic nie zauważyła... Gotowa by była znowu wybuchnąć tym swym szalonym śmiechem, czemu nie, może nawet pokazać to palcem. Po kobietach z Burgundii spodziewać się można wszystkiego..."

Aby się uspokoić, próbuje zacząć myśleć o koszmarnych spotkaniach, jakie czekają go tego popołudnia. Zawsze stara się w jednym dniu załatwić wszystkie nudne zajęcia z całego tygodnia. Ponieważ zwykle niewiele ma do roboty, jego lenistwo z dnia na dzień rośnie. Najchętniej popłynąłby w jakiś dwutygodniowy rejs z Antoniną. Nie

wychodziliby wcale ze swej kabiny. Ona wypompowalaby z niego wszystkie soki, a on...

— Nie zamawiasz deseru?

Łakomstwo na twarzy Antoniny sprowadza go na ziemię.

— Nie, tylko kawę. A ty?

— Porcję lodów owocowych, dziesięć porcji, albo dwadzieścia... Uwielbiam owocowe lody.

„Jakie z niej dziecko”, myśli Jan Patryk. I pomyśleć, że urodziła piątkę dzieci! Kiedyś będę musiał osiąść ją w normalny sposób (ale co to właściwie oznacza, normalny?), by oddać cześć jej dzielnemu tunelowi inaczej, niż tylko mą niegodną ręką... Uważaj, Janie Patryku, ponieważ tutaj, w »Reine Hortense, nie możesz zrobić tego, na co masz ochotę, zaczynają przychodzić ci do głowy potworne świństwa...”

— Właściwie — mówi — chyba też zamówię sobie lody. Z owoców namiętności.

— Cóż za galanteria — uśmiecha się kpiąco Antonina. — Nie jesteś dzisiaj w zbyt dobrym nastroju, ale i tak bardzo cię lubię.

I znowu wybucha śmiechem, dodając:

— Szczególnie podoba mi się sposób, w jaki się do mnie dobierasz.

Podczas dwu lat nauki w „poważnej szkole”, jak sama mawia, Sandra starała się przyswoić możliwie jak najwięcej wiadomości. W tym samym czasie zaczęła rosnać jak na drożdżach. Dlatego też rodzinny klan Pontevaux często ogarnia niepokój z powodu jej bladej cery i ciągłego zmęczenia.

Mimo uspokajających słów doktora Marlauda, który ogranicza się jedynie do przepisywania jej wielo-witaminowych preparatów, mimo wykonanych prześwietleń i innych szczegółowych badań, Franciszek Pontevaux ciągle widzi w swej córce Damę Kameliową w dziecięcym wydaniu. Ten burgundzki olbrzym godzi się z faktem, że

jego dziecko jest stworzeniem delikatnym, szczupłym, bladym i jasnowłosym, którego wzrok wydaje się być pełen jakiegoś, dziwnego mistycyzmu.

— Ona po prostu bardzo szybko rośnie. Ale z pewnością będzie równie silna jak cała reszta.

— Nawet Sylwia nie była taka w wieku ośmiu lat — skarży się Franciszek Pontevaux wzruszając bezsilnie ramionami. — Schudła dopiero w wieku dojrzewania, w tym samym czasie, gdy dostała trądzik i zaczęła nosić okulary... Wcześniej była pyzatą dziewczynką.

— No, sam pan widzi, że to nic nie znaczy. Być może Sandra właśnie w wieku szesnastu lat stanie się pyzatą panią... Sylwia ma teraz szesnaście, prawda?

— Prawie. Tak sędzę. Wie pan, doktorze, gubię się już trochę w tych wszystkich latach.

— Już niedługo będzie pan musiał oddać swe dzieci na naukę do panny Berty!

Sandra, odkąd umie czytać, korzysta ze swych dziecięcych chorób, by zapoznawać się sukcesywnie z zawartością ojcowskiej biblioteki. Franciszek Pontevaux pozwala buszować w niej swym dzieciom bez żadnej kontroli i cenzury, z jednym tylko zastrzeżeniem, by odkładać książki nie zniszczone i w to samo miejsce z którego się je wzięło. Sandra nauczyła się już nie ufać pozorom, jakie książki te mogą stwarzać. Bowiem najstarsze z nich, najbardziej z wyglądu odrażające, w swych starych obwolutach bez kolorów, sprawiają czasami najwięcej przyjemności. Szczególnie, gdy jest to Juliusz Verne lub Hans Christian Andersen.

— Ona zadziwiająco wcześnie dojrzała — mówi Antonina. — Nigdy nie sądziłam, że przed dziesiątym czy jedenastym rokiem życia...

— Sylwia nie jest już jedyną intelektualistką w rodzinie — mówi Wilhelm. — Oby tylko Sandra nie musiała nosić okularów!

Jest wyższa od wszystkich dziewcząt w klasie i znacznie bardziej czytana. Wiele jej jednak brakuje, by stać się jedną z pierwszych uczennic. Zadziwia nauczycielkę fantazją swych wypracowań, dojrzałością stylu i perfekcją ortografii, którą wydaje się znać od zawsze. Ale co do reszty...

— Co do reszty — mówi pani Michonnard do przerażonej Antoniny — Sandra nie robi nic a nic. Na lekcjach sprawia wrażenie, że słucha, a w rzeczywistości jednak myśli o niebieskich migdałach...

Historia, geografia, rachunki, wszystko to cierpliwie znosi z szeroko otwartymi oczami. Na początku sądziłam, że jest bardzo poważna. Szybko jednak uświadomiłam sobie, że to pozory.

— Pewnie winny jest temu jej bardzo intensywny rozwój fizyczny — wtrąca nieśmiało Antonina, jakby sama czuła się winna tej sytuacji.

— Tak... A także lenistwo!

— Ta Michonnard to idiotka! — wścieka się Franciszek Pontevaux po powrocie przygnębionej Antoniny ze szkoły. — Jeśli Sandra woli uczyć się geografii z książek Verne'a, to jej prawo, nie?

Odkąd zaczęła tak dużo czytać, cały czas przecież zdobywa wiedzę. Ja sam...

Nieuchronnie zaczyna mówić o sobie. O swej niechęci do nauki, do której zmuszali go rodzice. Owi bogaci rolnicy, nie chcąc dzielić gospodarstwa pomiędzy dzieci, wymyślili sobie, że ich młodszy syn powinien zostać lekarzem.

— ...I dopiero po pierwszym roku studiów zrozumiałem. Kupiłem swój pierwszy antyk, by odsprzedać go potem pięć razy drożej. To było krzesło w stylu Ludwika XIII. Przyniosło mi szczęście... Kiedy indziej zaś nie przestaje złorzeczyć na system nauczania:

— Te dzieciaki są zawałone pracą! Trudno się dziwić, że mają tego coraz bardziej dosyć. Cały dzień w ławkach, bez ruchu, bez słowa... Nic dziwnego, że coraz bardziej przeszkadzają nauczycielom w prowadzeniu lek-

cji! Wykańcza się je doszczętnie! Spójrz na Sandrę: gdy wraca ze szkoły, można by sądzić, że dopiero co wyszła ze szpitala!

— Pani Michonnard mówi, że poziom uczniów obniża się tak bardzo, że aż trzeba redukować program nauczania odpowiednio do ich możliwości.

— Ach tak! Tym lepiej. Z takimi oczami Sandra zawsze sobie poradzi.

Czasami Sandra przyłapuje rodziców na tego typu rozmowach. Wcale nie uważa, że jest leniwa. Nie ma sobie nic do zarzucenia. To nie jej wina, że w miarę upływu czasu staje się coraz bardziej niecierpliwa i jej uwaga umyka gdzieś daleko poza temat lekcji. Znacznie lepiej czułaby się, mogąc spędzić cały dzień z książką w ręku w swoim łóżku lub w parku na soczystej zielonej trawie.

Kiedy ktoś złośliwie przypomina jej, że jeszcze rok temu piła z butelki, Sandra zaczyna śmiać się z zażenowaniem, odrobinę zbyt głośno... Z butelki zrezygnowała pewnego pięknego poranka, oznajmiając zebrany w kuchni, zdumionym domownikom:

— Poproszę o filiżankę!

Amandyna pospiesznie wlała zawartość przygotowanej już butelki do dużej śniadaniowej filiżanki. Sandra, jakby zażenowana spojrzeniami rodziny, wzięła filiżankę i zaniósła ją do jadalni. Wróciła do kuchni po kanapki, po czym usiadła samotnie przy końcu długiego stołu, jakby pragnęła wewnętrznym skupieniem uczcić ten uroczysty dzień. Niewiele obchodziło ją, że z moczonych w gęstej czekoladzie kromek będzie kapać na wypolerowany starannie blat drewnianego stołu: po raz pierwszy w życiu jadła maczane w czekoladzie pieczywo, i ten smak ją zachwycał. Masło topiło się, mieszało z konfiturą, a ona tę pyszną słodycz wkładała do ust.

Miała wrażenie, że odgłos śmiechu i rozmów w kuchni dochodzi do niej z bardzo daleka. Domyślała się, że

wszyscy żartują sobie na jej temat lub co najmniej nie mogą otrząsnąć się ze zdziwienia. W związku z tym będzie już zawsze jadła śniadanie w taki właśnie, dość dziwny jak na dziecko sposób — sama, w jadalni. Dosyć ma już kuchennych hałasów i tłoku. Antonina, wierna zasadzie całkowitej wolności wszystkich członków rodziny Ponte-vaux, poprosiła tylko, by Sandra jadała na tacy, aby nie brudzić stołu.

Sandra chodzi teraz do szkoły sama. Jej samotne śniadania trwają coraz dłużej. Uwielbia jeść czytając. Nana zawsze musi przypominać jej, że czas już iść.

— Już, już — odpowiada Sandra.

Na szczęście przyzwyczała się już myć i ubierać przed śniadaniem. Dlatego też przyjemność śniadaniowej lektury może trwać aż do ostatniej chwili.

Teraz się spieszy. Biegnie szybko, o plecy obją ją się tornister pełen wiedzy. Sąsiadują w nim książki, zeszyty, piórniki i kule do gry. W tej grze Sandra wykazuje niezwykłą zręczność. Niewielu chłopców jest w stanie jej dorównać. Ci mali rozbójnicy doceniali jej umiejętności już w przedszkolu. Z tymi samymi spotkała się teraz w „poważnej szkole”. Nie musiała więc ponownie dowodzić swych umiejętności. Aby godnie grać rolę zwycięskiej kobiety, przestała nawet ssać kciuk.

Na skraju miasteczka widać wiele małych sylwetek pospiesznie zmierzających w stronę szkoły wybudowanej, co za szczęście!, daleko od centrum. Sandra dołącza do nich tuż przed bramą wejściową, i w tym samym momencie rozlega się dźwięk pierwszego dzwonka. Cudem nigdy się nie spóźnia. Ponieważ na lekcji przez dobrą chwilę ciężko oddycha, nauczycielka pyta ją, dlaczego nie wychodzi z domu pięć minut wcześniej. Zadaje jej to pytanie codziennie i codziennie Sandra, ku wielkiej radości całej klasy, niezmiennie odpowiada:

— Ponieważ śniadanie jest najważniejszym posiłkiem dnia.

To zdanie stało się już ulubionym powiedzonkiem wszystkich uczniów i każdego jest w stanie wprawić w dobry humor. Wykrzykują to bojowe hasło w twarz dzieciom z innych klas podczas przerw. Powtarzają je także wieczorem przy stole, podczas rodzinnego posiłku.

— Skąd to wytrzasnąłeś? — pytają dorośli.

— To Sandra Pontevaux tak mówi naszej pani! Uczniowie z Foussy traktują z wyraźną pobłażliwością dzieciaki z okolicznych wiosek, które przywożone są rano, a odwożone wieczorem małymi beżowymi lub brązowymi autokarami.

— Oni nie mają czasu, by zjeść śniadanie — mówią mieszkańcy miasta.

— A przecież śniadanie...

— ...jest najważniejszym posiłkiem dnia! — wykrzykuje chór głosów.

Dzieci wieśniaków zostają w południe w stołówce. Większość małych mieszkańców Foussy wraca do siebie. Wielu spośród nich także chciałoby jadać w stołówce, by móc zorganizować jakąś małą rozróbę, ale ich rodzice nie chcą o tym słyszeć.

Sandra natomiast za nic w świecie nie zrezygnowałaby z posiłku, który Amandyna serwuje na białym obrusie, na którym leży już przygotowana srebrna, lśniąca zastawa. Ucieka przed królującymi rano w kuchni szlafrokami. Ale lubi czuć wokół siebie podczas obiadu pewny spokój swej zdyscyplinowanej, starannie ubranej rodziny. Uwielbia uroczysty gest Franciszka Pontevaux, odkorkowującego butelkę i z uśmiechem znawcy smakującego wino. Żał jej Wilhelma, który studiuje teraz w Dijon medycynę. Przyjeżdża do domu tylko w niedziele, a i to dość nieregularnie. Ale tego dnia Sandra jest zupełnie szczęśliwa. Wilhelm dotrzymał słowa. Jest już tak wysoki jak jego ojciec. Sandra przygląda im się uważnie. Patrzy, jak jedzą. Podziwia ich wilcze apetyty.

2

Stojąca w ogrodzie zoologicznym doktora Paula chatka Hieronima powiększyła się o poddasze zrobione z trzech okiennic zdobytych podczas remontu domu sąsiadów. Hieronim nie ma jeszcze co prawda dziesięciu lat, ale jego wyjątkowo wczesna dojrzałość, objawiająca się we wszystkich prawie dziedzinach życia, uczyniła z niego namiętnego miłośnika Mozarta. Na nowo powstałym poddaszu znajduje się gramofon z dwiema małymi kolumnkami po bokach. Dostał je w prezencie urodzinowym, zgodnie zresztą ze swym życzeniem. *Eine kleine Nachtmusik*, trzy ostatnie symfonie i dwa koncerty fortepianowe stanowią ciągle obecny podkład dźwiękowy, jaki towarzyszy zwierzeniom i głośnym marzeniom Hieronima i Sandry. Także przy muzyce Mozarta pieszczą się nawzajem po raz pierwszy.

Najpierw Hieronim pokazuje zafascynowanej Sandrze to, co odkrył budząc się pewnego dnia bardzo wcześnie rano, a co bez trudu udaje mu się od tej pory uzyskać. Przez ułamek, sekundy ogarnia ją wstęt, gdy Hieronim daje jej na palec odrobinę białego, śliskiego płynu do spróbowania. Mimo wszystko decyduje się jednak skosztować.

— To ma smak trawy — mówi. — Czy na pewno nie jest to trucizna?

— Oczywiście, że nie.

— Skąd wiesz?

— Moja mama to pije!

— Opowiedz!

Od dwóch lat, to znaczy od czasu, gdy oboje zgłębiają świat dorosłych, Hieronim i Sandra nie mają przed sobą żadnych tajemnic. Szczególnie Hieronim, który jako jedynak ma niewiele okazji do zwierzeń, wyjawia Sandrze wszystko to, co po wielekroć i na wszystkie strony obraca w myślach. Także bohaterowie książek Hieronima tak bardzo działają na wyobraźnię Sandry, że zastanawia się czasami, czy to on czytał tę książkę, czy może ona. Przedwcześnie dojrzały samotny chłopak tworzy wokół Sandry magiczny świat, tajemniczą tkanę pełną przysiąg zabraniających powtarzania jakiegokolwiek z ich wspólnych tajemnic. Wprowadza swą powiernicę w najbardziej intymne sfery życia rodzinnego, o których nikt inny nie wie.

Powierza Sandrze wszystkie swe obsesje.

Jest jego uprzywilejowaną współniczką, której zwierza się absolutnie ze wszystkiego.

Doktor Paul i jego żona stanowią dla Hieronima przykład idealnego związku. Weterynarz i jego asystentka, a potem żona, są trochę staroświeccy, mimo iż mają zaledwie on trzydzieści pięć, ona trzydzieści lat. Oboje sprawiają wrażenie, jakby szybowali w chmurach. Hieronim instynktownie czuje, że oboje są bardzo wrażliwi.

Śledzi ich bez przerwy, jakby w ten sposób chciał strzec ich miłości.

Tylko Sandrze, swej jedynej przyjaciółce i powiernicz-ce, wyjawił fakt, że znalazł dla swej misji obserwatora, w którą jest do głębi zaangażowany, coś znacznie lepszego niż tylko dziurka od klucza: przeszklone okienko w łazience, które wychodzi na pokój rodziców. Posługiwanie się nim to prawdziwa akrobacja wymagająca zręczności, prawie rytualnego, podstępnego działania. Gdy tylko, ucałowawszy go uprzednio na dobranoc, rodzice znajdują się już

w swoim pokoju, zaczyna nasłuchiwać z zamkniętymi oczami (by lepiej słyszeć) odgłosu lejącej się w łazience wody. Gdy w rurach wreszcie zalega cisza, jest to znak, że rodzice są już w łóżku. Wtedy wyslizguje się ze swojego pokoju i na bosaka, ze zręcznością Indianina, biegnie do łazienki zaopatrzonej w podwójną małżeńską umywalkę. Musi teraz wykonać trzy kursy, by przynieść ze skórzanej kanapy w salonie trzy ogromne, sztywne poduszki. Układa je jedną na drugiej na bidencie. Hieronimek, długi jak tyczka jak na swój wiek, może w ten sposób sięgnąć wzrokiem ekranu, na którym widzi, jak odbywa się tajemnicza ceremonia małżeńskiej miłości, ponawiana wedle kolejnych wymysłów pary kochanków.

Sandra wysłuchiwała już wielu zadziwiających opowieści, które pokrywają się z jej własnymi obserwacjami w rodzinie. „Zabawa w dorosłych”. Ale podobnie jak Hieronim wcześniej, nie widziała jeszcze nigdy tryskającego płynu o smaku trawy.

— Opowiedz, jak pije — powtarza Sandra.

Ale Hieronim milknie nagle. Zaczyna wahać się, czy opowiedzieć to Sandrze, tak, nawet jej. Wydaje mu się bowiem, że przyłapał matkę na akcie niezwykle intymnym, mitycznym, znacznie bardziej sekretnym niż wszystko to, co widział dotychczas.

— Opowiedz! — nalega Sandra. A potem pyta:

— Ubierasz się tak? Wybrudzisz sobie ubranie! Hieronim rzeczywiście ubiera się, ogarnięty jakimś nagłym wstydem.

— Jeśli mi nie opowiesz — mówi Sandra skromnie obciągając spódnicę — już nigdy więcej nie będę się z tobą bawić...

Hieronim włącza płytę z Mozartem. Sadza Sandrę na poduszkach, tuż przy ścianie. Kładzie głowę na jej ramieniu. Nie patrząc na nią zaczyna mówić tak jakby czytał jakąś historyjkę, jak to robił przed dwoma laty, gdy

Sandra nie umiała jeszcze czytać. W jego rozmarzonym głosie słyszeć zmysłowość pomieszaną ze strachem.

— To zawsze zaczyna się w ten sam sposób — mówi. — Już ci to opowiadałem.

— Opowiedz jeszcze raz!

Najpierw niezdecydowana, a potem coraz bardziej pospieszna opowieść Hieronima odsłania tajemnicę niepokojącą i wspaniałą zarazem. Zmysłowo-trwożny sen na jawie... Gesty ukochanych rodziców nabierają w dyskretnym świetle nocnej lampki miłosnej powolności, która fascynuje Hieronima. Jego matka, całkiem naga, przeży się pod wpływem pieszczot. Jej ciężkie piersi drżą na skutek okrywających je pocałunków. Z nosem przyklejonym do szyby, niewidoczny w ciemności Hieronim pożera wzrokiem to uległe, falujące ciało. Zaciska uda na swym stwardniałym członku. Bacznie obserwuje kolejne ewolucje kochanków, ów dziki horyzontalny taniec, który doprowadza ich w końcu do pozycji usta-łono. Wargi matki, które tak niedawno jeszcze całowały policzek gotowego do snu synka, starają się teraz spowodować wytrysk ojcowskiego nasienia, i podczas gdy matka je pije, a potem z czułą starannością liże członek, Hieronim zamyka oczy, by rozkoszować się swym własnym zaspokojeniem, letnią wilgocia na pizamie i brzuchu. Z dumą myśli o tym, że to jego samego matka trzymała w ustach.

Stoi jeszcze przez chwilę na stercie poduszek. Chce zobaczyć wszystko. Walczy z ogarniającą go nagle sennością. Nogi ma jak z waty i boi się, że upadnie. Mimo to patrzy. Jego matka, na kolanach, wypina tyłek. Niczym samica, z piersiami podobnymi teraz do wymion czeka, aż pokryje ją samiec. A on robi to jęcząc głucho. Ona krzyczy. Podglądacz Hieronim słania się ze zmęczenia i z trudem opanowuje mdłości. Ta część przedstawienia jest mu już dobrze znana." Nieraz już widywał ojca w roli ogiera, podnieconego i sapiącego buhaja. Wie, że sprężyny łóżka zaczną zaraz skrzypieć w coraz szybszym rytmie aż

do momentu ostatecznej ulgi, gdy oba ciała, teraz już splecione mocno na pomiętej pościeli, pogrążą się w nagłym śnie.

Kiedy matka przychodzi go obudzić, całując go i szepcząc: „trzeba iść do szkoły”, Hieronim stara się, jeszcze z zamkniętymi oczami, znaleźć na jej słodkich ustach smak nocy, smak ojca. I z rozczarowaniem wdycha tylko ostry zapach pasty do zębów. Pocałunek złożony na ustach mamy wygania z jego pamięci nocny obraz nagich ciał rodziców, tak jakby nigdy ich nie widział, a tylko o nich śnił. Wraz ze swymi ubraniami, rodzice powrócili do swoich codziennych ról.

I tylko z trudem ulegając rozkazującemu „opowiadaj” Sandry, Hieronim odnajduje w swym ciele uczucia towarzyszące tym dziwnym chwilom. Daleko mu jednak do ówczesnego podniecenia. Trudno by mu było skojarzyć to odczucie z ciałem małej dziewczynki, z którą wymienia pieszczoty. Jest jeszcze taka mała. Podobnie jak on, w gruncie rzeczy. Jak dopatrzeć się w tej miniaturowej kobiecie matczynego ciała, pośladków, piersi wprawionych w ruch, który wydawał się trwać w nieskończoność? Tylko przypominając sobie rozpostarte, nienasycone ciało matki poddane pieszczotom ojca, tylko wyobrażając sobie jednostajny ruch swego członka w matczynej wargach, Hieronim może doznać rozkoszy w małych rękach Sandry.

Głos matki przerywa właśnie narastające w nim pożądanie. Rozbrzmiewa on tuż obok chatki. Jest jak całkowite zaprzeczenie świata rozkoszy!

— Nie powinniście siedzieć cały czas tam w środku... Na zewnątrz jest tak pięknie!

Sama jednak nie zamierza rozsunać obu części tkaniny, które tworzą drzwi. Zresztą są one mocno przytwierdzone sznurkami i kawałkami drewna, które spełniają rolę zamków.

— No, wychodźcie już, chodźcie trochę na słońce!

— Nam jest tutaj dobrze... Bawimy się.

Instynktownie czuje, że nie powinna dłużej nalegać. ' Mówi tylko:

— Przyjdźcie do domu, gdy będziecie głodni. Upiekłam wam na podwieczorek ciasto.

Odpowiada jej tylko cichy śmiech.

Starzejąc się, bokser Tristan staje się coraz bardziej łakomy. Franciszek Pontevaux często powtarza:

„On we wszystkim naśladuje Sandrę. Zmienia się równocześnie z nią... Jedyne, jakiej nie potrafi naśladować, to jej kokieteria”.

Bowiem Sandra staje się straszliwą kokietką. Zmienia się prawie w oczach, bacznie obserwowana przez swego ojca, bardziej niż inni wyczulonego na tę rodzącą się kobiecość. Kiedy Sandra znienacka przyłapie go na tych czułych spojrzeniach, przytula się do niego prosząc, by wziął ją na ręce:

— Tak, jak wtedy, gdy byłam malutka — mówi śmiejąc się głośno.

Zamyślony ojciec często powtarza:

— Rośniesz zdecydowanie zbyt szybko!

— Ale nigdy nie będę tak duża jak ty.

— Jeszcze tego by brakowało!

Od pewnego czasu Antonina wykazuje zdecydowanie mniej pobłażliwości, jeśli chodzi o humory córki. Przede wszystkim nie znosi, gdy Sandra odmawia noszenia za małych już na Nanę i Sylwię sukienek.

— Z jakiej racji? Tylko dlatego, że urodziłam się później niż one, nie mam prawa mieć nowych ubrań?

— pyta z pewną logiką.

Czasami Antoninie uda się zmusić ją do ubrania do szkoły czegoś, co należało do garderoby jej starszych sióstr. Wtedy jednak Sandra nie ustaje w działaniu tak długo, aż kolejne przypadkowe dziury i rozdarcia nie zakwalifikują danego ubrania do wyrzucenia.

Pewnego dnia, ku ogromnej radości Franciszka Pon-

tevaux, Sandra wygłosiła pod adresem nieco oszołomionej Antoniny mowę, z której wynikało, że rodzice nadużywają swej władzy szczególnie wtedy, gdy ubierają swe dzieci kierując się własnym gustem i nie pytając je o zdanie.

— Ja, na przykład — mówiła — uwielbiam niebieski. A ty prawie nigdy mnie na niebiesko nie ubierasz! A przecież ten kolor najlepiej pasuje do moich włosów!

— Kiedy ja byłam w twoim wieku, małe dziewczynki nie interesowały się takimi rzeczami.

— Akurat! W moich książkach pełno jest historii z przeszłości. A małe dziewczynki mówią w nich tylko o fryzurach i wstążkach... Noszą już nawet pończochy!

Nana, gdy uczestniczy w tych słownych potyczkach pomiędzy Antoniną i jej córką, zawsze stara się być po stronie Sandry.

— Ależ mam, naprawdę tak bardzo ci zależy, żeby Sandra nie wyglądała ładnie?

A kłótniwa Sylwia zawsze gotowa jest ze swymi uwagami:

— Ona jej broni, bo jest dokładnie taka sama! Wtedy daje się słyszeć cienki głos Wawrzyńca:

— Z dziewczynami zawsze są jakieś kłopoty.

— Skoro wszyscy się do tego mieszają, to w jaki sposób mam zachować choćby odrobinę autorytetu, jak utrzymać dyscyplinę, -jak...

— No, już dobrze, już dobrze — mówi Franciszek obejmując szerokimi dłońmi talię swej żony. — Ty też przecież w jej wieku chciałaś się na pewno podobać...

Całuje ją czule w obecności wszystkich dzieci.

Jan Ludwik Ferac, ogrodnik i niewierny mąż ogromnej Fernandy, która pomaga Amandynie przy cięższych pracach, zwykł mawiać:

— Ta rodzinka, to jak palce u jednej ręki!

Franciszek Pontevaux uwielbia chwile, gdy wyciągnąwszy pod stołem nogi, może spokojnie przyjrzeć się swej zebranej wokół rodzinie, gdy tymczasem zapach jednego

z kulinarnych arcydzieł Amandyny miesza się z zapachem drewnianych mebli, tworząc w ten sposób specyficzną harmonię dobrobytu, od której rosną wszystkim serca.

— Coś dla żołądka i coś dla ciała, to wszystko, czego w życiu potrzeba — mawia często.

Podnosi swój kieliszek wina w górę, by odbił się w nim promień słońca. Tysiące rubinów składających się na to burgundzkie wino drga i iskrzy się niczym słowa poematu poświęconego radości życia.

- Nawet starsze dzieci, które udają, że jest im wszystko jedno, co jedzą, ulegają czarowi dobrobytu i skupiają swą uwagę na przyniesionym do stołu, w towarzystwie skromnego acz triumfującego uśmiechu Amandyny, półmisku krewetek, wędzonym króliku, marynowanej dziczyźnie lub ostrygach na ciepło, którym towarzyszy zmrożone chablis. Franciszek Pontevaux nigdy nie jest tak szczęśliwy jak wtedy, gdy jeden z jego stałych gości — doktor Malraud, ojciec Frocard czy stary właściciel winnic z Beaume — "kiedy to jeden z nich, patrząc na siedzące wokół stołu grono rozkoszujące się, począwszy od małej Sandry, na wielkim Wilhelmie skończywszy, kolejnym cudem Amandyny, mówi rozpromieniony:

— Pontevaux, jest pan szczęśliwym człowiekiem.

Tak, Franciszek Pontevaux jest człowiekiem szczęśliwym.

— Dopóty, dopóki znajdować będę stare meble, by utrzymać rodzinę, czegoż mógłbym chcieć więcej?

Faktem jest, że na ową rodzinę patrzy się z przyjemnością. Nawet Sylwia-z-Kwaśną-Miną, która ma już prawie piętnaście lat, wygląda znacznie ładniej od czasu, gdy szkła kontaktowe zastąpiły jej okulary. Mniej już także boi się chłopców. Coraz rzadziej również krytykuje obyczaje Wilhelma i Nany.

Sylwia przygląda się tylko i milczy. Zaniechała, co prawda, ciągłych nieżyczliwych uwag pod adresem swego

starszego rodzeństwa, ciągle jednak zarzuca wszystkim pełną rozbawienia pobłażliwość, jaką okazują Sandrze. Ta z kolei niezbyt uprzejmie zachowuje się wobec ciągle zmieniających się przyjaciółek Wilhelma, który zaprasza je zazwyczaj na niedziele do domu.

— Wilhelm ma rację, przywożąc je tutaj — mawia Franciszek. — To dodaje pikanterii naszym obiadom.

W gruncie rzeczy jest zadowolony głównie dlatego, że sam ma ochotę na towarzystwo młodych dziewcząt, na co Sandra reaguje nieświadomie wściekłą zazdrością. Reakcja Sylwii zawsze wtedy jest taka sama:

— Oto budzi się największa złoźnica w tym mieście. Na szczęście śmiech Nany i jej uprzejmość względem kolejnych towarzyszek Wilhelma szybko rozładowują te drobne> niedzielne napięcia. Natomiast w powszednie dni Sylwia nękana jest anonimowymi, telefonami. Młodzi chłopcy po drugiej stronie opisują jej ze szczegółami rozkosz, jakiej zazna, gdy pójdzie z nimi do łóżka. Pewnego dnia, skrajnie już wyczerpana nerwowo, nie mając śmiałości porozmawiać o tym z ojcem, do którego czuje pewien, odwzajemniany zresztą, dystans, wyjawia swój sekret Wilhelmowi.

— Powiedz mi, co dokładnie ci mówią!

— Nie mogę. Wszystko to jest takie obrzydliwe, takie...

— No dobrze, mów, niejedno już w życiu słyszałem!

— Kiedy mówię ci, że nie mogę.

Po czym dodaje, czerwieniąc się po uszy:

— Gdybyś był tu w ciągu tygodnia, dałabym ci posłuchać. Nie wyobrażasz sobie nawet...

— No tak... Pewnie mówią ci, że masz śliczny tyłek i wielka szkoda, że jesteś jeszcze dziewicą, ale na szczęście już niedługo... Przestań się czerwienić! Przecież jestem twoim bratem, nie? Nie masz się co wstydić. Jak mam ci pomóc, skoro nie wiem wszystkiego?

— Zobaczysz, dziwko, zabierzemy się do tego w kilku,

by cię zaspokoić. Będiesz miała po jednym w obu dziurach. Nie zmarnujemy żadnego wolnego miejsca. Tak się przyzwyczaisz, że nie będziesz się mogła bez tego obejść.

— To prawda, idą ostro — mówi Wilhelm przygryzając wargi, by nie wybuchnąć śmiechem na widok potwornie speszonej siostry.

— Skoro już się odważyłam — mówi Sylwia — dam ci jeszcze kilka próbek tego, co mówią... To trwa już prawie dwa miesiące.

— Ależ ty masz pamięć!

— To samo mówią moi nauczyciele...

Obecność brata, który wydaje się ją dobrze rozumieć, dodaje jej otuchy. W ten piękny zimowy dzień siedzą oboje na ławce w parku. Sylwii prawie nie widać pod stertą szalików i swetrów. Wilhelm kupił sobie właśnie podszyty sztucznym futrem skafander, który daje mu posturę wielkiego nordyckiego marynarza. Kto, widząc ich siedzących na tej porosłej mchem ławce, która chciałaby uchodzić za romantyczną, mógłby się domyślić, że Sylwia recytuje właśnie najbardziej charakterystyczne dla swych prześladowców zdania:

— Nie przedstawiam się, ale jak. będziesz się dzisiaj wieczorem onanizować, z pewnością przybmnisz sobie mój głos.

— Kiedy już będziemy zdecydowani, to się z tobą umówimy. Przyjdziesz na pewno, bo masz na to ochotę.

— Jest z nami taki jeden, co ma największą pałę w okolicy. Poprosimy go, żeby zaczekał do drugiego spotkania. Sama widzisz, że cię oszczędzamy...

— Kiedyś podczas gry w koszykówkę przesunęły ci się szorty i zobaczyliśmy kawałek twojej cipki. Wtedy właśnie pomyśleliśmy, że musimy się do niej dostać.

— ...A ty. — przerywa Wilhelm — nigdy nic nie mówisz?

— Powiem ci coś, posłuchaj... Nic nie mówię, ale także

nie odkładam słuchawki... Czuję się tak, jakby ta ohyda i ordynarność mnie urzekały...

— Dobrze, że mi o tym powiedziałaś. Jeśli to się nie skończy, zajmiemy się tym z tatą na pewno. Nagramy ich.

— Nie ma powodu, by się to skończyło.

3

Idą trzymając się za ręce jak dzieci na znakach drogowych ustawianych w pobliżu szkół. Suche zamarznęte gałęzie trzeszczą im pod nogami i łamią się na drobne białe, iskrzące się kawałeczki. Las w Foussy nigdy nie jest tak ponury i zimny jak w lutym. Dwójka dzieci w czerwonych kapturach na głowach zagłębia się w tę przestrzeń pomiędzy czarnymi drzewami i pokrytą śniegiem, białą ziemią. Śniegu jest niewiele, dlatego gdzieś tam widać wyłaniające się spod niego smutne, szarawe i jakby umierające kępki mchu.

— Trzeba wracać — mówi Sandra. — Jeszcze się zgubimy.

— Coś ty — odpowiada Hieronim — znam ten las jak własną kieszeń!

I aby ukarać swą towarzyszkę za niewiarę w jego zmysł orientacji, z którego bardzo jest dumny, puszcza otuloną wełnianą rękawiczką rękę Sandry, wsadza ręce do kieszeni i przyspiesza kroku, gwizdząc *Śmierć i dziewczynę* Schuberta, swe najnowsze odkrycie. W wieku dziesięciu lat Hieronim wie już, że potrzebuje bardziej ewidentnego smutku niż Mozartowska melancholia. Dlatego też płytoteka ogrodowej chatki wzbogaciła się dzięki imieninom i urodzinom o kilka dzieł Beethovena, Brahmsa i Schuberta.

Doktor Paul niepokoi się zbyt wczesną dojrzałością

swego syna, jego poważną ciągle miną i braniem wszystkiego zbyt serio.

— Nie jestem pewien, czy dobrze zrobili, przenosząc go o klasę wyżej w wieku dziesięciu lat.

Wygląda na bardzo zmęczonego.

— Radzi sobie znakomicie. Przecież jest jednym z najlepszych uczniów. I wcale nie wygląda na to, by się przepracowywał...

— Ale to ciągle słuchanie i nagrywanie jest równie męczące...

Kiedy rola czujnego szpiega daje mu okazję podsłuchania rozmowy na swój temat, Hieronim oddala się szybko, ucieka nawet, opuszczając natychmiast jeden ze swych licznych punktów obserwacyjnych. Jest to nieświadomy gest samoobrony, odrzucenie sądu dorosłych.

— Co się z tobą stało? — pyta często Sandra. — Nie umiesz się już bawić tak jak przedtem.

— Jestem teraz starszy.

— No to co?

Czasami próbuje namówić go na przejażdżkę na grzbiecie spokojnej klaczy albo na jakąś zabawną wyprawę z Wawrzyńcem... Wszystko to na nic! Jedenastoletni Wawrzyniec jest w tej samej co Hieronim klasie. Dwa czy trzy razy chłopcy próbowali zaprzyjaźnić się ze sobą.

— Ale, w gruncie rzeczy, to jeszcze dziecko — stwierdził Hieronim.

— Nie aż takie jak ty — odparła na to urażona Sandra.

I wściekła, prawie gotowa do ataku, odeszła szybko, by go nie uderzyć. Mimo, iż jest chłopcem, i to w dodatku dwa lata starszym od niej, Sandra wie, że jest bardzo delikatny.

Ponieważ tutaj, w lesie, znowu się obraził i poszedł sobie wsadzając ręce do kieszeni, Sandra wzdycha ciężko. Powietrze wypuszczone z płuc natychmiast zamienia się w gęstą niczym dym parę.

— Jestem smokiem — mówi. — Smokiem bez ognia.

I rusza biegiem wzdłuż leśnej dróżki. Czuje się bardzo silna. Jest bardzo wysoka jak na swój wiek, równie duża jak Hieronim, a przecież on jest chłopcem! I dlatego pewnie Sandra nie czuje się wcale źle pośród wysokich drzew zimowego lasu. Wyciąga z kieszeni płaszczka pół tabliczki czekolady i zjada ją w biegu.

„Nigdy nie uda mu się mnie złapać, myśli. Tym gorzej dla niego. To nie moja wina, że ciągle się o coś obraża...”

Ale przecież mimo wszystko lubi go bardzo, tego swojego odwiecznego powiernika. Nigdy nawet na myśl jej nie przyszło, by poszukać sobie innego. Bóg jeden wie, jakie powodzenie ma w szkole. Jej jasne oczy, długie blond włosy, wydatne usta i jędrne ciało wzbudzają szacunek nawet u dziewcząt z klasy, które nazywają ją „Duża”.

Duża Sandra nie jest wcale tak silna, na jaką wygląda. Czasami płacze samotnie w swym pokoju lub w jakimś zakamarku parku i tylko Tristan ma prawo widzieć ją w tym stanie. Patrzy na nią wtedy z niepokojem swymi wiecznie smutnymi oczami. Niedziele i środy spędzane z Hieronimem tracą powoli swój magiczny urok. Ta strasznie smutna muzyka, bez której Hieronim nie może się obejść, jest w stanie zachwycać ją tylko przez chwilę, potem zaś zaczyna drażnić.

Franciszek Pontevaux powiedział kiedyś Hieronimowi, że z pewnością jest on słabego zdrowia. Zrobiło to na Sandrze ogromne wrażenie. Zaczęła traktować Hieronima jak chorego, którego trzeba ratować. Rozśmieszyła kiedyś całą siedzącą przy stole rodzinę pytaniem, dlaczego doktor Paul, który tak dobrze leczy zwierzęta — nawet Tristanowi uratował kiedyś życie — nie potrafi wyleczyć swojego syna.

Popołudniowe pieśczoty w chatce zdarzają się teraz tak rzadko, że Sandra sama musi często zastępować w nich obrażającego się wiecznie Hieronima. Czuje, że nie jest jeszcze w tym zbyt zręczna, a jednak z dnia na dzień coraz

lepiej poznaje swe ciało. Gdy tylko się położy, wyrusza w podróż, z początku nieśmiała, potem coraz bardziej pewną, ku owej słodkiej intymności, która uspokaja ją i usypia. Ale jest to tylko zapowiedź rozkoszy, o której istnieniu nie ma jeszcze najmniejszego pojęcia.

A Hieronim, na przykład. Ciekawe, czy osiągnął już ówą krainę tajemniczego aktu dorosłych, czasami oglądanego, czasami opisywanego jej przez-przyjaciela, tego wielkiego i uważnego szpiega? A Wawrzyniec? Często przechodząc koło jego szkoły widzi, jak kręci się wśród roju dziewcząt, nawet wyższych od niego. Co też on robi ze swymi przyjaciółkami? Gdyby go o to zapytała, odpowiedziałby tylko szerokim uśmiechem swych dużych ust. Gdy zechce, potrafi nadać swej twarzy wyjątkowo błazeński wyraz.

Pewnego dnia, gdy Nana zaczęła pokpiwać sobie z tych jego flirtów, i gdy Sandra zażądała wyjaśnienia słowa „flirt”, Wawrzyniec zacisnął usta i wypalił swym cienkim głosem, czekającym jeszcze na' mutację:

— Pilnuj swojego tyłka!

Skończyło się to gonitwą po schodach i korytarzach dużego rodzinnego domu pomiędzy zręcznym Wawrzyńcem, potrafiącym wsunąć się w najmniejsze zakamarki, a Naną, wspaniałą szesnastolatką, która wciąż jest dzieckiem w swym ciele kobiety, za którym ogląda się większa część męskiej populacji Foussy.

Pod słuchując rozmowy toczące się w rodzinnym domu i obserwując swoich rodziców, braci i siostry, Sandrze zaczyna wreszcie składać się w całość wszystko to, co wie o ich stosunkach z kobietami i mężczyznami, z dziewczętami i chłopakami. Szczególnie intryguje ją Sylwia. Sandra gotowa jest przypisać jej posiadanie chmary tajemniczych kochanków. Bowiem zdradziecka zazwyczaj przejrzystość tej chudziutkiej dziewczyny, która, odkąd pozbyła się okularów, stała się nie tyle ładna, co interesująca, owa myśląca szczerowość drażni Sandrę, intryguje ją, a nawet podnieca.

Ileż już godzin spędziła na śledzeniu siostry, by choć uchylić rąbka tajemnicy? Gdyby mogła chociaż wypytać Nanę, która, mimo że starsza o rok, jest w tej samej co Sylwia klasie. Ale Nana nic by jej nie powiedziała. Albo co najwyżej:

— Jesteś za mała na te sprawy...

W wyobraźni Sandry starsze klasy jawią się niczym kuźnica kochanków obojga płci. Co do Wilhelma, który, odkąd rozpoczął studia medyczne w Dijon, stał się dla niej osobą jakby odległą, podsyca on dodatkowo ciekawość swej małej siostry różnorodnością przyjaciółek, które przywozi do domu na niedziele. Rzadko zdarza się, by jedna i ta sama zjawiała się więcej niż trzy lub cztery razy pod rząd.

— Wilhelm, czy to są twoje narzeczone?

— Niezupełnie. A właściwie wcale nie.

— To dlaczego się nie zaręczysz? Nie chcesz się ożenić?

— No, no, malutka, ależ ty masz problemy jak na swój wiek!

Sandra nie lubi, gdy Wilhelm nazywa ją „malutka”, ani gdy mówi szorstkim głosem, znamionującym złość. Nawet, jeśli robi to tylko dla żartów...

Maria Paulina, Gilda, Eleonora, Martine i wiele innych dziewcząt przewinęło się już przez dom państwa Ponte-vaux, pod baczным spojrzeniem ojca rodziny. Zazwyczaj są miłe, udają nawet, że mają ochotę pobawić się z Sandrą. Ale Wilhelm teraz interesuje się przede wszystkim nimi. Sandra nie ma już nawet odwagi wejść mu na kolana. Kiedy wreszcie zdecyduje się przyjechać do domu sam?

Antonina i Franciszek Pontevaux leżą obok siebie na dużym, małżeńskim łóżku, które przed chwilą było po raz kolejny świadkiem ich wspólnych uciech. Uspokojeni, przytulają się do siebie czule.

Franciszek trzyma swą wielką łapę na delikatnym ramieniu Antoniny. Oboje wzruszeni są wzajemną wiernością i oddaniem swych ciał.

— Nie ma powodu, żeby aż tak jej żałować mówi Antonina. — Sposób, w jaki wyjechała z Dijon, nie mówiąc ci nawet do widzenia...

— Była świetna w łóżku — wzdycha Franciszek. -A poza tym miała takie długie, długie nogi...

— To twoja obsesja, wiem... A przecież ja...

— Ty także masz długie nogi jak na taką małą kobietkę.

— W każdym razie nie zachowała się ładnie. A poza tym trochę zezowała. A to już szczyt wszystkiego, była przecież żoną profesora okulistyki.

— To prawda. Ale mimo to przyznać trzeba, że była świetna w łóżku. Co skłoniło tego nudziarza jej męża do przyjęcia posady w Montpellier? To tak potwornie daleko!

— Jak na wizyty u lekarza, to rzeczywiście trochę daleko — odpowiada cierpliwie Antonina.

Nie pamięta, aby kiedykolwiek była zazdrosna, a jednak!

Na początku ich małżeństwa, zanim jeszcze zdecydowała się dać upust pragnieniom, które przypisywała swemu ciału, a które według Franciszka rodziły się w jej głowie, cierpiała bardzo z powodu nieustannych, cichych zdrad swego męża.

Potem zapomniała o złości.

Następnie owładnęła nią pogoda ducha. Postanowiła robić tak jak Franciszek. Już wkrótce małżeńska wierność zaczęła jej się wydawać coraz bardziej iluzoryczna, niemożliwa nawet. Bo zawsze jest efektem ucieczki, negacji samego siebie, uśpienia swych pragnień.

— Dlaczego nie odpowiadasz?

Antonina czuje, jak ręka jej męża zaciska się na jej ramieniu. To już nie jest pieszczota. On wymaga, aby go słuchała. Zawsze tak jest. U boku tego srogiego i czulego zarazem olbrzyma, którego niegdyś nazywała „niedźwiedziem”, marzenia są zakazane.

— O czym myślisz?

— O tobie... A właściwie o nas.

O nas z przeszłości, jak sądzę. Czujesz się już stara? Ależ skąd!

Uważasz, że ja jestem stary?

— Skądże!

— Nudzisz się ze mną?

Niedźwiedz, jakby trochę zaniepokojony, rozpoczyna swoją starą śpiewkę.

„Przyszedł właśnie moment, kiedy to kobieta musi zadać sobie trochę trudu, myśli Antonina. Ta długonoga kreatura potrafiła tylko kokieteryjnie zezować. To była kokieteria postępująca, tak jak choroba... Gdy już zrobiła wszystko, by go zdobyć, rozrywa mu usta, by z nich wyjąć haczyk. To żalosne. To...”

— Sądzę, że dobrze się stało. Jeśli zdecydujesz się znowu na stałą kochankę, to możesz przynajmniej teraz znaleźć sobie taką, która cię nie ośmieszy.

— I znowu mam szukać!

— No to spróbuj zadowolić się przelotnymi przygodami!

— Raz na jakiś czas to nawet jest przyjemne. Ale potwornie męczące!

— A Lucyna?

— Ach, znowu ta Lucyna...

— Ona dzwoni do mnie dwa, trzy razy w tygodniu. Zwierza mi się. Ciągle za tobą tęski. Brakuje jej ciebie. Nie jest taka zła jak na żonę notariusza.

— No właśnie. Przez całe lata miałem abonament na żony rejentów. To nużące.

Antonina wybucha śmiechem. Franciszek także zaczyna się śmiać, ale jakby na siłę, wbrew woli.

Potem przytula żonę do siebie, by oba wstrząsane śmiechem ciała połączyć w końcu w jedno.

Wspólny śmiech, który wprawia w drgania już całe łóżko, zazwyczaj przekształca się w całkiem inne działania, tonie w rozkosznych pojękiwaniach.

W takich chwilach Antonina nieprzytomnie kocha swego męża. Zagubionego, jakby trochę rozmarzonego,

biorącego ją gwałtownie, gdy tymczasem ona poddaje mu się całkowicie, po czym zaciska się na nim podstępnie, doprowadza go prawie do bólu, a w końcu nieomal do omdlenia.

Franciszek tak namiętnie oddaje się rozkoszy, że gdy zaspokojony już zamyka oczy, sprawia wrażenie, jakby odpoczynek znalazł w śmierci.

— Otwórz oczy — mówi wtedy Antonina. — Boję się. A kiedy ^nie reaguje, zaczyna całować go namiętnie,

zsuwając się w coraz niższe partie ciała. Gdy usta jej docierają wreszcie do członka, który pełen jest jeszcze ich zmieszanych ze sobą zapachów, zaczyna lizać go delikatnie. Franciszek otwiera oczy.

Uśmiecha się. Antonina przesuwa się wzdłuż jego ciała, by tym razem pocałować go w usta.

Ten niezmienny rytuał nigdy im się nie nudzi.

— Nie będziesz musiał nawet rezygnować z garsoniery w Dijon, bo ta twoja żona notariusza jest już do niej przyzwyczajona...

— W każdym razie tamto mieszkanie nie ma duszy. Nie to, co tutaj...

— Ale przecież łóżka nie umieją mówić.

— Owszem. Nasze mówi mi o miłości.

— Zaraz się rozplaczę — mówi wzruszona wbrew swej woli Antonina.

Swą sję rozpoczęli oczywiście od rozmowy na temat seksualnych wyczynów żony okulisty.

Franciszek zaczął mówić o niej w momencie, gdy Antonina przygotowywała się już właśnie do opowieści o umiejętnościach swych kochanków. W ten właśnie sposób, po dwudziestu latach małżeństwa, potrafią, gdy tylko zechcą, opowiadaniem o swych kochankach wzbudzać pożądanie partnera. Jak przystało na ekspertów od cielesnych uciech, oboje doskonale znają siłę wyobraźni. Jest bardzo prawdopodobne, że w swych opowiadaniach zmyślają trochę, nawet wtedy, gdy sama prawda jest

już wystarczająco interesująca. Ale oni idą na całość w swych opowieściach o przygodach, o radościach tego, co określa się obrzydliwym słowem „zdrada”.

Któż bowiem przejmowałby się tym, gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczyna gra wyobraźni?

Czyż ich wyjątkowo dobre wzajemne porozumienie nie polega właśnie na tym, iż negują wszystko, co racjonalne? Czterdziestka nie ciąży im wcale. Poznali się, gdy byli bardzo młodzi, a czas nie zdołał ich zniszczyć. Antonina bardzo często, gdy tylko zaczyna myśleć o* przyszłości swych pięciorga dzieci, ma łzy w oczach... Szczególnie wzrusza ją Sandra, jej delikatne jasne włosy i ciągła czujna obserwacja toczącego się wokół niej życia. „Delikatność być może jest pozorna, ale czujność zupełnie rzeczywista”, myśli. Odgaduje coraz większe zaciekawienie swej córki tajemnicami miłości, sekretami życia. Pamięta doskonale swe własne rozterki, które szybko, na skutek obojętności matki, stały się przyczyną jakiegoś dziwnego lęku. Nie bez winy był tu także jej ojciec, ciągle gdzieś znikający, zbyt dobrze wszystkim znany Brunel, adwokat z Dijon, skompromitowany w aferze przedwyborczych łapówek. Wielki nieobecny dzieciństwa Antoniny.

Kiedy plotkarki z Foussy nie były jeszcze znużone wiecznie wałkowanym tematem rozwiązłych obyczajów pani Pontevaux — znacznie łatwiej godząc się z trybem życia jej męża, a nawet wynajdując mu liczne usprawiedliwienia, bo to przecież ta potworna Antonina musiała zacząć — najczęściej powtarzały sobie ze zgorzonymi minami wiek najświeższych kochanków skandalizującej małżonki sprzedawcy antyków.

— Ten Jan Piotr, na przykład, przecież on jest w wieku jej syna Wilhelma... Był zresztą jednym z jego kolegów.

— Niedługo już pewnie zajmie się małolatami.

— Będzie miała kłopoty. Wiecie, że „uwiedzenie osoby nieletniej” dotyczy również kobiet?

Matka rodziny deprawująca młodzież, oto co rozbudzało, poprzez ponurą zazdrość, drzemiące w tych burgundzkich Jokastach żądze. Jedna z nich, groźna żona właściciela drogerii Bachelarda, której zniewieściały syn bladością swej twarzy wzbudzał ogólne zdziwienie, zastanawiała się nawet kiedyś głośno, czy też aby sam Wilhelm nie przewinął się przez matczyne łóżko.

Te zarzuty były o tyle niesprawiedliwe, że Antonina zawsze starała się działać dyskretnie. Nigdy nie konsumowała swej porcji świeżego mięsa w Foussy. Jeździła zaopatrywać się w liceum w Boury, w innej prefekturze departamentu. Ale jak uniknąć prowincjonalnych tam-tamów?

— Musisz zacząć to wreszcie olewać — powiedział jej Franciszek pewnego wieczoru, gdy wypłakiwała swój żal do poduszki.

Amandyna w przyływie gniewu powtórzyła Antoninie szczególnie obrzydliwe, zasłyszane u sprzedawcy ryb oszczerstwo:

— Ponoć zaraziła pani — wie pani, co mam na myśli — czterech czy pięciu chłopców z maturalnej klasy... Udawałam, że tego nie słyszę. Co ja mam robić w takich przypadkach?

Tydzień wcześniej natomiast dumna Berta, prawa ręka Franciszka Pontevaux, z wrażenia nie mogła nałożyć swych binokli, gdy u fryzjera, który próbował nadać jakiś kształt jej szarym, nielicznym kosmykom włosów, usłyszała, że dla Antoniny dobre jest wszystko od siedmiu do siedemdziesięciu siedmiu lat. Zupełnie jak albumy, których głównym bohaterem jest Tintin.

Co do Franciszka, gdy zmęczył się już wzruszaniem ramion na plotki atakujące go ze wszech stron, a dotyczące jego własnej konduity, zaczął się po prostu świetnie bawić słuchając opowieści o wyczynach, jakie mu przypisywano. Nie zamierzał ich wcale dementować. Dlaczego więc Antonina nie idzie za jego przykładem?

— Prowokacja często jest najlepszym sposobem obro-

ny — powtarza Antoninie. — Problem w tym, że w twoim przypadku chodzi o nieletnich...

Wysłuchał właśnie w rozmarzeniu namiętnej opowieści swej żony (przerywanej dość często, bo akurat się kochali) o tym, jak to dawała rozkosz dwóm piętnastolatkom naraz:

— Przynajmniej dla jednego z nich był to na pewno pierwszy raz... Obaj byli wobec mnie pełni czułości. Nie konkurowali z sobą, raczej się uzupełniali. Brali mnie delikatnie, jeden po drugim. Ale potem, gdy ich podniecenie wzrosło, stali się dosyć brutalni...

Zaczyna jęczeć na skutek natarcia rozpalonego jej słowami Franciszka, a potem, gdy oboje są już zaspokojeni, Antonina kontynuuje:

— Gdy znaleźli się jeden z przodu, drugi z tyłu, nie bardzo wiedzieli, jak sobie poradzić.

— Sprawiali ci ból?

— Może trochę. Nie zwracałam na to uwagi.

— Byli silni?

— Nie tak jak ty, ale mimo wszystko... Po czym dodaje ze śmiechem:

— Trochę tego było dużo jak na moje małe ciało...

— Twoje małe ciało płonące z pożądania, jak mawiają w serialach.

I znowu w nią wchodzi. Antonina krzyczy tym razem głośno, potem zaczyna wypowiadać jakieś niezrozumiałe słowa. Doprowadzony do szału obrazem dwu młodzieńców, Franciszek przygniata ją całym swym ciężarem, miażdży jej drobne ciało. Szczęśliwa Antonina stapia się w jedno ze swym mężem, przytula się z całych sił do tego olbrzymiego ciała, które kocha. Uniesieni wspólnym szaleństwem, nurzają się w rozkoszy.

Potem zaś, podczas odpoczynku, Antonina przytula się do niego, a on mówi uspokajająco:

— Jestem przy tobie. Nikt nic zrobi ci krzywdy. Żyj tak, jak chcesz. Oni tylko dużo mówią, to wszystko. Mają nam za złe, że jesteśmy szczęśliwi. Pozwól im się kisić w ich

nudnej egzystencji. Oni dobrze wiedzą, że u nas wszyscy świetnie się bawią. Żyjemy w wolności, o jakiej oni nie mają pojęcia. Na szczęście zarabiam wystarczająco dużo forsy, by odnoszono się do nas z szacunkiem, czy się to komuś podoba, czy nie... Wiesz, co mi niedawno powiedziała Sandra? „Nasz dom, tato, to dom szczęścia”.

Oni nie przechadzają się pod rękę w niedzielne popołudnia, by manifestować cnoty małżeńskie. Niewiele mają wspólnego z paradami rzekomo szczęśliwych par, jak to jest w zwyczaju. Z domu do sklepu jeżdżą samochodem, a na targ i na zakupy chodzi Amandyna. Chronieni wysokim murem okalającym park, państwo Pontevaux nieświadomie wystawiają się na plotki mieszkańców Foussy. Dobre wychowanie i uprzejmość dzieci przysparza im w szkole i w liceum sympatii i popularności. Wysoka klasa Franciszka Pontevaux oraz jego hojność w stawianiu kolejki wszystkim klientom kawiarni zapewniają mu szacunek męskiej części Foussy. Co do kobiet zaś, cała tworzona wokół niego aura wzbudza niewątpliwie ich ciekawość.

Kilku nieostrożnych handlarzy starzyzną chciało stworzyć mu kiedyś konkurencję. Szybko jednak musieli z tego zrezygnować, sprzedając mu nawet ze stratą kilka swych ciekawych przedmiotów. W ten sam sposób rodzą się, a potem umierają nieżyczliwe plotki. Sandra dorasta. Jest coraz bardziej ciekawa życia, coraz mocniej pragnie ciągle lepiej i lepiej poznawać jego tajniki. A w chwilach, gdy jej serce przepelnione jest radością, której nie potrafi wyrazić, wiesz się na szyi swego olbrzymiego ojca i szepcze mu do ucha: „Nasz dom, tatusiu, to dom szczęścia”.

4

W miarę jak Sandra coraz bliżej jest swych jedenastych urodzin, dom rodziny Pontevaux staje się coraz bardziej pusty. Po Wilhelmie przyszła kolej na Sylwię, która wyjeżdża do Dijon, by studiować farmację.

— Szkoda, że już nie nosisz okularów — mówi Wawrzyniec. — Doskonale by pasowały do tego przyszłego zawodu.

Sylwia ze znacznie większą wytrwałością niż Wilhelm przyjeżdża do domu na sobotnio-niedzielny odpoczynek. A podczas jej nieobecności w domu nikt, ale to absolutnie nikt nie ma prawa wchodzić do jej pokoju.

— Zwróć szczególną uwagę na Sandrę — powtarza co tydzień zmęczonej Antoninie. — Tam są moje notatki z wykładów, moje książki, moje zeszyty...

— Ale co Sandra mogłaby robić w twoim pokoju? Chyba masz jakąś manię prześladowczą!

— To całkiem możliwe — wtrąca się Wilhelm, nie mówiąc jednak nic więcej.

Mruga porozumiewawczo do Sylwii, która odchodzi bez słowa. Wilhelm w końcu zmusił ją do przyznania się, że owe domniemane telefony, których jakoby miała być ofiarą, istnieją tylko w jej bujnej wyobraźni. Rzuciła się w ramiona zdeorientowanego brata szlochając, że jest zdeprawowaną, opętaną mitomanką, schizofreniczką i nie

wiadomo czym jeszcze. Wilhelm, nie wiedząc, w jaki sposób zahamować tę falę samokrytyki, powtarzał tylko bezmyślnie: „ależ skądże znowu, uspokój się”. Głaskał ją po włosach, a ona szlochała. — Niedługo już wyjedziesz do Dijon. Pomogę ci znaleźć jakiś miły pokój. Przedstawię ci wszystkich moich kumpli. W twoim wieku trzeba już koniecznie wyjechać z Foussy. W takiej dziurze popada się w otepienie, wszystko tu się kręci bez sensu w kółko...

— Nie masz mi za złe, że naopowiadałam ci tych wszystkich historii?

— Nie mówmy już o tym... Idź się umyć, zaraz będzie kolacja.

— Mówisz do mnie jak do dziecka.

— No już, już, duża siostró, i spróbuj uśmiechnąć się trochę przy stole!

Nigdy więcej nie wracali już do tego tematu. Ale Wilhelm nie spoczął, póki nie znalazł jej faceta. Był to cierpliwy, pryszczaty, poważny młody człowiek, który w dodatku, jak twierdziły liczne przyjaciółki Wilhelma, sprawiał się całkiem dobrze w łóżku. Sylwia nie ma odwagi przyjechać z owym Maurycym na weekend do Foussy. Nie chce przyznać się nawet przed sobą, że obawia się, by Nana jednym ruchem bioder nie uwiodła tego rzadkiego okazu, jedyne, z którym się widuje i którego uważa już za swego narzeczonego. Sylwia wystrzega się kobiet w ogóle, Nany zaś w szczególności. Na szczęście Maurycy także na każdy weekend wyjeżdża do swych rodziców. Bowiem Sylwia za nic na świecie nie zostawiłaby go samego w Dijon. A czuje potrzebę cotygodniowego zaturzenia się w atmosferze rodzinnego domu, niczym w odświeżającej źródlanej wodzie.

Personel sklepu z antykami nie jest wcale zachwycony przybyciem do sklepu nowej pracownicy, którą jest ni mniej, ni więcej, tylko , Nana. Skończyła już wreszcie z liceum i maturą, lecz w przeciwieństwie do Wilhelma

i Sylwii nie ma żadnego pomysłu na przyszłość, Jej pobłażliwy tatuś zgodził się zapisać ją na korespondencyjny kurs historii sztuki, nie mając żadnych złudzeń co do sensu tego przedsięwzięcia. W skrytości ducha cieszy się jednak, że Nana, jako jedyna spośród trójki starszych dzieci, zostaje w Foussy. Gdyby i ona wyjechała, by zjawiać się tylko w niedziele, dom wydałby mu się już zupełnie pusty. Zaczyna" powoli myśleć o tym, by przygotować ją do prowadzenia w przyszłości tego sklepu, być może z jednym z „maluchów”, Wawrzyńcem lub Sandrą. A może nawet z obojgiem, jeśli zechcą. Zważywszy fakt, że Sylwia i Wilhelm odnaleźli już swe powołanie, Franciszek z ochotą uczyniłby ze swego uszczuplonego o ich dwoje klanu dynastią antykwariuszy.

Nana, która jako pierwsza zaczyna przyuczać się do zawodu pod bacznym okiem Berty Arigny, Edwarda i Jana, nie wykazuje w pracy złej woli. Potrafi być nawet przydatna, gdy trzeba zauroczyć klienta. Ale jej znajomość stylów i epok, a nawet cen sprzedawanych mebli okazuje się dosyć niedokładna. Przyczyną tego jest oczywiście jej legendarne już lenistwo...

— Wysł się trochę, Nadine — mówi dumna Berta, która jako jedyna nie zdrabnia jej imienia. — Nawet nie zajrzałaś do książek, które ci dałam. Skoro robisz korespondencyjny kurs historii sztuki, to powinnaś już umieć rozróżnić linię nogi stołu w stylu Ludwika XV od Ludwika XVI!

— Ależ ja je czytałam — wzdycha Nana. — Ale nie udaje mi się zapamiętać...

To był zawsze jej koronny argument w rozmowach ze zniechęconymi nauczycielami.

— Ale — dodaje z uśmiechem rozbijającym Bertę Arigny — wszystko to bardzo mnie interesuje...

To prawda, że wszystko to ją interesuje. Problem w tym, że samo zainteresowanie nigdy nie wystarcza, by pokonać apatię i ospałość, które zwyciężyć może tylko miłość.

— Nano — mawia żartobliwie Edward — jest pani ucieleśnieniem grzechu...

Uroczy asystent Berty robi minę zatroskanego proboszcza, składa ręce jak do modlitwy, wznosi oczy ku niebu i szepcze: „Panie, przebacz jej!”

— Nano, łączy pani w sobie siedem grzechów głównych.

— Od kiedy to nie mówimy już sobie po imieniu, Edwardzie?

— Jest pani teraz już na to za duża.

— Ale gdybym była chłopcem, to byłoby ciągle „ty”, nieprawdaż łotrzyku?

— Ależ, Nano!

— Niech się pan nie obraża. Ale ciągle zastanawia mnie, co też takiego znajduje pan w mężczyznach, by aż tak ich kochać...

Największą zabawą Nany i Edwarda jest afiszowanie się razem w kinie i na prywatkach, by narobić zamieszania w regionalnych plotkach. Co prawda teraz już nikt nie daje się na to nabrać, ale dla nich jest to ciągle jeszcze znakomitą rozrywką. Właściwie mają już tylko jednego wiernego widza w osobie Jana, sklepowego Herkulesa, który w przyływach swej pijackiej czułości nazywa ich „moi mali narzeczeni”.

— Jak pan sądzi, Edwardzie, czy ludzie uważają mnie za łatwą dziewczynę?

— Bez wątpienia.

— Ale to nieprawda!

— Oczywiście, że nie. Ale ma pani doskonałe ciało, w biuście...

— 90

— ...w tali...

— 55

— ...w biodrach...

— 80

- ...i jasne włosy...
- Aż do pośladków. W dodatku metr sześćdziesiąt pięć wzrostu na pięćdziesiąt trzy kilogramy wagi. Trudno o lepsze wymiary, nieprawdaż, drogi Edwardzie?
- Absolutnie tak, droga Nano.
- Widzi pan, problem w tym, że mam zupełnie pusto w głowie, ale to absolutnie pusto. Niech pan spróbuje popukać w nią, żeby sprawdzić... Widzi pan? Kompletna pustka!
- Dobrze, zrobię to, ale pod warunkiem, że pani wykona tę samą próbę na mnie!
Po wykonaniu doświadczenia, zataczając się ze śmiechu, stwierdzają oboje, że głowa Edwarda prawdopodobnie musi być jeszcze bardziej pusta.
- To mnie pociesza — mówi Nana. — Bo pan, Edwardzie Chevalier, jest inteligentny, wszyscy to mówią. A ja... Wie pan, co mówi się o mnie?
- Ze sieje pani spustoszenie w sercach męskiej części personelu w liceum.
- Niczym moja matka wśród uczniów klasy maturalnej, no, czemu pan tego nie mówi?
- Pozostawiam to bez komentarza. Niech pani nie nalega.
- Mówi się także, że byłam przyczyną małżeńskich scen u doktora Duby i księgarza Ballarda, prawda?
- Mówi się tak, to prawda.
- A więc niech pan wie, że to kłamstwo! Flirtuję tylko z chłopcami w moim wieku... Często zresztą z tymi samymi, co mama!
- Idę już, Nano. Nie chcę wiedzieć nic więcej.
- Jeszcze jedno: ciągle jeszcze jestem dziewicą. Nigdy by pan nie przypuszczał, czyż nie?
- No...
- Nie wierzy mi pan?
- Ależ tak, tak...
- Edwardzie!

Suchy, rozkazujący ton głosu Berty Arigny dźwięczy w całym sklepie. Rozbrzmiewa również pod sklepieniem ostatniego pomieszczenia, w którym Nana, usadowiona wygodnie w fotelu wolterowskim pali papierosa za papierosem.

— Edwardzie, przyszli klienci!

— Już idę!

Osamotniona Nana zmusza się, by sięgnąć po leżący na komodzie podręcznik streszczający ludowe style XVIII wieku. Ale książka szybko wypada jej z rąk. Nana pogrąża się w marzeniach o wyspie, na której mogłaby cały dzień drzemać słodko w cieniu kokosowych palm.

Zaraz po przebudzeniu Sandra przez dłuższy czas bawiła się z Tristanem w parku, a potem poszła do pokoju Nany. Jest to nowy rytuał dni wolnych od szkoły. Widząc otwierające się w pokoju siostry okiennice Sandra wie, że już za chwilę Nana zejdzie do kuchni po swoją tackę ze śniadaniem, którą Amandyna przygotowała przed wyjściem na targ. Jan Ludwik wyrywa chwasty, a potem będzie ścinał trawę. Zbliża się lato. Rośliny rozwijają się coraz szybciej. Śpiew ptaków i odgłosy harców wiewiórek zachwycają Sandrę. Kwiatów w tym roku jest tak wiele, że ogrodnik pozwala zrywać jej pełne naręcza. Sandra wypełnia wielkimi bukietami wszystkie domowe wazon. Ciągle jeszcze nie może zrozumieć, dlaczego Tristan żuje płatki róż.

Niedawno Sandra zaczęła robić zielnik. Ale szybko rozczarowała ją bladość suchych kwiatów, unieruchomionych pośród oparów kleju. To był zapach śmierci. Natomiast uwielbia komponować bukiety, tworzyć symfonie kolorów. Uczy się nazw poszczególnych kwiatów, powtarza je sobie w myślach z radością. Każda nazwa w swym dziwnym brzmieniu wydaje jej się idealnie pasować do koloru i zapachu kwiatu. W najdalszych zakątkach parku znajduje dzikie gatunki, którymi ogrodnik nigdy się nie zajmuje. Sandra identyfikuje je przy pomocy podręcz-

nika do botaniki, prezentu od taty, który w swoim czasie miał tę samą pasję. Zmiażdżyć między kciukiem a palcem wskazującym łądygę, z której wydobywa się delikatny sok. Wchłonąć w nozdrza nowy, nie znany jeszcze zapach. Wziąć trochę na język (a gdyby to była trucizna?). Napluć trochę na wewnętrzną stronę dłoni, by jeszcze trochę powąchać. Pożuć przez chwilę płatki, niczym Tristan, wiedząc, że można od tego umrzeć. Wreszcie roześmiać się triumfalnie na głos na widok gotowego, skrzącego się w promieniach słońca bukietu pokrytego jeszcze poranną rosą. A wszystko to po wypiciu z wielką przyjemnością porannej czekolady.

Wyskoczywszy rano z łóżka, Sandra biegnie zaraz do parku, by pobiegać po rosie. Długie przebudzenia z jej wczesnego dzieciństwa wraz z rytualnym pocałunkiem Wilhelma i rozkoszami porannej butelki toną w zapomnieniu, w zielonej mokrej trawie, po której można biegać aż do utraty tchu, na której można się położyć plecami do ziemi, a twarzą do słońca blednącego za zasłoną nadpływających chmur. Wtedy można obrócić się na brzuch i pić znikającą już rosę. Sandra z całych swych sił chce być wtedy źdźbłem trawy, które delikatnie muska jej wargi.

Wietrzyk poruszający gałęziami drzew przybywa z tak wysoka! Na trawie rysuje się cień ptaka, potem znika. Źdźbło trawy łaskocze Sandrze nozdrza. Kicha. Zdziwione ptaki milkną natychmiast. Po chwili nieśmiało zaczynają ćwierkać na nowo, aż wreszcie ponawiają swój przerwany koncert, który teraz jest jeszcze piękniejszy niż poprzednio.

Rozpostarta na ziemi, całkowicie z nią zespolona Sandra bierze w palce jej małą grudkę, którą wyciąga spod mniszka pospolitego. Mniszek mruga do niej przyjaźnie.

Na tacy ze śniadaniem dla Nany stoi zawsze dodatkowa szklanka soku pomarańczowego dla Sandry. A także truskawkowe konfitury, za którymi przepada. Słoneczne światło zalewa wielkie łóżko, u którego stóp siedzi zwinie-

ta w kłębek niczym kot Sandra. Z podziwem przygląda się swej siostrze, która przeciąga się leniwie w charakterystycznym dla wczesnego lata świetle. Masło z kanapek błyszczy na jej łakomych wargach. Te cenne chwile jednoczącej ciszy skłaniają do zwierzeń i rozmów na różne ciekawe tematy. Nana mówi rozmarzonym, pełnym miłości głosem. Sandra natomiast odpowiada jej z namiętną żywością dziecka. Ich głosy zabarwione są zmysłowością, która dźwięczy także w ich wysokim i czystym śmiechu. Sandra wdycha przyniesiony tu przez łagodny wietrzyk zapach kwiatów. Nana śpi zawsze nago. Prześcieradło zakrywa jej teraz zaledwie brzuch i służy za obrus pod tacę ze śniadaniem. Sandra wkłada palec do słoika z konfiturami i smaruje nimi koniuszki nabrzmiałych piersi Nany. Potem zaczyna je ssać. Nerwowy śmiech Nany zachęca ją do kontynuowania zabawy. Gdy koniuszki stają się już bardzo twarde, Sandra zaczyna je gryźć. Nana protestuje. Sandra jednak nie przestaje. Nana wdycha głęboko.

— Przestań, Sandro. Muszę już wstawać. Czekają na mnie w sklepie. Berta znowu się obrazi...

Udaje, że ma zamiar wstać, po czym ponownie opada na poduszkę i przeciąga się z rozkoszą:

— Wiesz, uwielbiam moje łóżko... Marzę często o tym, by móc spędzać w nim całe dni... W łóżku albo na szezlongu, ustawionym w upalny dzień w cieniu kasztanowców.

— Ja też lubię moje łóżko — mówi Sandra.

— Ale ty to nie to samo... Ty nie jesteś leniwa. A ja owszem. Z dnia na dzień staję się coraz bardziej leniwa. Wielkie szczęście lenistwa... Wielkiego lenistwa.

— I nigdy się nie nudzisz?

— Nigdy... Najlepsze chwile są wtedy, gdy nic nie robię, nic nie czytam, praktycznie o niczym nie myślę. Oddaję się marzeniom... Mam wrażenie, że wchodzę w głąb swego ciała. Czuję jego każdą, najmniejszą nawet część. A ono pełne jest niewysłowionej radości.

— Co to znaczy?

— To dla ciebie zbyt skomplikowane, kotku.

— Słyszałam już to w jakiejś piosence i nic nie zrozumiałam.

— Jeśli czegoś nie rozumiesz, to trzeba mnie pytać, Sandro. To znaczy, że jesteś całkowicie owładnięta uczuciem szczęścia, że masz ochotę krzyczeć z radości... Podaj mi ten zeszyt, tam, ze stołu...

Delikatnie, jak zwykle, Sandra bierze zeszyt do rąk i zanosí go siostrze. Nana przerzuca jego kartki, wreszcie mówi nieśmiało:

— Wiesz, te moje wiersze wcale nie są dobre, ale za to są bardzo moje...

Waha się jeszcze przez chwilę, ale na widok Sandry, przykładnej i uważnej uczennicy o zaciekawionym spojrzeniu i otwartych ustach, podejmuje wreszcie decyzję:

— No dobrze, przeczytam ci dwa, trzy kawałki...

W twoim łóżku jest słońce
W moim łóżku — księżyc
blady nogi, ręce, całą siebie kładę
Na moim łóżku,

Nie śmieć się, poczekaj na dalszy ciąg:

Pościel na skórze — pieszczota
Delikatna jak woda w jeziorze
Brzeg, lato, miłosny pot...

Dalej nie czytam, bo tam są już same świństwa.

— No właśnie...

— Nie, nie ma mowy. Zresztą muszę już wstawać. Przygotujesz mi kąpiel?

Wanna napełnia się wodą. Nana z absolutną be/.wstydnoscią gimnastykuje się na dywanie.

— Kiedy byłam mała, to ty przygotowywałaś mi kąpiel. Teraz przyszła kolej na mnie. Sandra odwraca wzrok. Zastanawia się, dlaczego od pewnego czasu widok owłosienia Nany oraz to, co odsłania się podczas gimnastyki, budzi w niej niepokój. A jest tak od chwili, gdy na własnym łonie, pod własnymi palcami poczuła lekki puszek, ledwie widoczny, delikatny i jedwabisty...

— Sylwia powtarza mi wciąż, że jestem do niczego — dyszy Nana w rytm wykonywanego rowerka. — Tylko że ja nie mam cellulitu. Widziałaś kiedyś uda Sylwii? Są zupełnie podobne do grubej skóry pomarańczy! Widziałaś?

— Sylwia nie pokazuje mi swoich ud.

— To prawda, ciągle je zakrywa... No, ale nie przede mną! Uważaj, leć zobaczyć, czy się nie przelewa z wanny... Może dałaś za dużo płynu do kąpieli?

— Nie, wszystko w porządku...

Nie pytając nawet o zdanie siostry, Sandra zdejmuje dzinsy i podkoszulkę... Za chwilę, w wannie, będą się obie głośno śmiać. Zbyt głośno może. Ów zwyczaj przez wszystkie te lata nie przestał obowiązywać, nigdy nie znudziły im się te wspólne wodne igraszki w ciszy zakłócanej jedynie delikatnym pluskiem wody.

— Z dnia na dzień coraz bardziej rośniesz — wzdycha Nana odrzucając swe włosy na ramiona niczym szal. — Niedługo już wanna stanie się za mała dla nas obu.

— Jak się trochę ściśniemy, to zawsze nam się uda wejść.

Przytula się, tak dla zabawy, do starszej siostry. A potem już kolejno ściskają się i odpychają od siebie, chlapią na podłogę, ich śmiech staje się coraz głośniejszy, przerywany chwilami zupełnej ciszy. Piana znika już całkowicie, tworząc na powierzchni wody brudne plamy. Obie równocześnie wychodzą z wanny, sięgają po ręczniki.

— Jesteśmy prawie identyczne — mówi dumnie Sandra. — Ja jestem tobą w pomniejszeniu.

— A ja tobą w powiększeniu.

Wycierają się nawzajem, śmiejąc się ze swej zaczerwienionej skóry.

— No, gotowe — mówi Nana. — Teraz rriogę iść sprzedawać te cholerne stare meble.

5

Od strony muru okalającego park, wzdłuż ulicy Wer-cyngetoryksa, słycać rozpaczliwe szczekanie Tristana. Momentami jest ono tak rozdzierające, jak krzyk ptaków w bezksiężycowe noce w filmach grozy. Skargi Tristana stają się coraz głośniejsze, coraz bardziej nieznośne, w miarę jak mijają minuty, a z domu nikt nie wychodzi.

Jan Ludwik zajęty jest przycinaniem żywopłotu po drugiej stronie parku. Jego żona Fernanda jest w pralni i wszystkie dźwięki zagłusza pracująca pralka. Antonina poszła na targ. To ona właśnie jako ostatnia wyszła z domu, wszyscy inni byli już w szkole lub w sklepie. Z wyjątkiem Wawrzyńca, który, co za pech!, nabawił się w maju kataru. Antonina pozwoliła mu się bawić z Tristanem na słonecznej części trawnika. Amandyna z troską wybrała mu dość lekki sweter, by nie było mu ani za ciepło, ani za zimno. Nigdy nie zrozumie, jak mogła, wychodząc z domu, zostawić otwartą bramkę. I to ona właśnie pierwsza odkrywa dramat, za który jest odpowiedzialna.

Idąc w górę ulicy Wercyngetoryksa z dwoma tradycyjnymi koszykami w rękach Amandyna przyspiesza kroku. Niepokoi ją szczekanie Tristana. Ta ulica jest bardzo stroma, jak zresztą wszystkie inne, które prowadzą do domu państwa Pontevaux, ongiś twierdzy wznoszącej się pośrodku dawnego miasta.

Rzuca koszyki i krzyczy: „Mój Boże"! Widzi leżącego na jezdni Wawrzyńca. Zaczyna jej się kręcić w głowie, zamyka na chwilę oczy, ale mimo wszystko biegnie, potykając się o kostki bruku. Tristan, jak tylko ją zobaczył, przestał szczekać. Stoi nieruchomy, czujny, przy dziecku, które wydaje się martwe.

— Ten człowiek sam przyszedł na posterunek — opowiada Franciszek Pontevaux. — Był kompletnie pijany. Ale dlaczego właśnie Wawrzyniec, który stale gdzieś biega i nigdy nie miał najmniejszego wypadku, musiał się znaleźć pod kołami największego pijaka w okolicy?

— Bawił się z Tristanem — mówi Sandra. — Wyszedł przez bramkę, a potem...

— No, już dobrze — przerywa Wilhelm — nie będziemy przecież tego rozpamiętywać bez końca. Jutro Wawrzyniec wychodzi ze szpitala. Rozmawiałem z lekarzami. Poza złamaną nogą nie stało się nic poważnego. Żadnych urazów czaszki ani innych złamań... Przeżył potworny szok, to wszystko. Na wieść o wypadku Wawrzyńca zarówno Wilhelm, jak i Sylwia natychmiast przyjechali do domu. Cała rodzina zebrała się w kuchni domu szczęścia, wstrząśnięta wypadkiem wątłego Wawrzyńca. Amandyna nie przestaje płakać, obwiniając się o wszystkie możliwe zbrodnie. Nana bez skutku próbuje ją już od dłuższego czasu pocieszyć, powtarzając w koło, że to przecież nie pierwszy raz furtka została pozostawiona przez kogoś nie zamknięta...

Obecność całej rodziny w kuchni, która jest sercem tego domu, przywodzi na myśl czuwanie przed bitwą. A niewiele brakowało, by przypominała ona czuwanie przy zmarłym. Gdyby Wawrzyniec „bardziej źle upadł", jak mówi ogrodnik, którego wszyscy starają się za wszelką cenę uciszyć, „jego czaszka rozprysłaby się jak przejrzały arbuz".

Franciszek Pontevaux czule głaszcze Antoninę po gło-

wie. Tak jak i Wilhelm powtarza ciągle, że niebezpieczeństwo już minęło. Wróci do domu. Będzie leżał w swoim pokoju, do którego lato wchodzić będzie przez otwarte okna, albo na szezlongu w parku. Złamana noga, to doprawdy najmniejsze z możliwych nieszczęść.

— Byliśmy tacy szczęśliwi — szepcze Antonina.

— Przecież w tym względzie nic się nie zmieniło — mówi Franciszek. — Najważniejsze jest to, co widzisz tutaj...

Szerokim, trochę teatralnym gestem wskazuje na rodzinę Pontevaux, swój klan zebrany w obszernej kuchni, której odbite w miedzianych garnkach światło nadaje ciepłą tonację flamandzkich obrazów. I chociaż dzieci rosną, to przecież wszystkie pozostają im wierne. Wilhelm, Nana, Sylwia, i ten straszny Wawrzyniec, którego blady uśmiech na białej poduszce wszyscy przed chwilą widzieli w szpitalu...

Wawrzyniec, wokół którego zebrali się wszyscy, jakby chcąc go strzec przed przeznaczeniem.

— Masz rację, że jesteś z nich dumny — mówi łagodnie Antonina. — Rodzina Pontevaux to nie byle co.

Każde z nich patrzy teraz na resztę, jakby wszyscy nawzajem odkrywali się na nowo. Chcą w ten sposób dodać sobie otuchy po chwilach potwornego niepokoju. Z wolna zaczyna toczyć się rozmowa na temat powrotu Wawrzyńca do zdrowia. Dom oraz okalający go park stają się magicznym miejscem, gdzie dobre bóstwa zawsze zwyciężą złe siły, które złamały Wawrzyńcowi nogę i o mało co go nie zabiły. W tym wspólnym marzeniu snutym na głos, niczym zbiorowa modlitwa, pojawia się jakaś mistyczna egzaltacja. Kuchnia staje się nagle miejscem, gdzie celebrowany jest kult kamieni i drzew oraz tego szczęśliwego domu, do którego wróci jutro, po wyjściu ze szpitala, mały chłopiec. Podczas tego tygodnia, kiedy w domu panowała niepodzielnie czarna rozpacz i zanim oznajmiono, że Wawrzyniec wróci do zdrowia, Sandra spędzała w szpitalnym

pokoju swego brata wszystkie godziny dozwolone na wizyty. Zmuszała Franciszka Pontevaux, by pisał jej do szkoły usprawiedliwienia.

Odkąd Wawrzyniec wrócił do domu i przenosi się go z pokoju do parku i z parku do jadalni, Sandra nie opuszcza go ani na moment. Do szpitala przynosiła mu czekoladki i świeżo zerwane w parku kwiaty. Tutaj natomiast zaopatruje go tylko w smakołyki. I kupuje mu także ilustrowane magazyny. Czytają oboje, siedząc obok siebie. Od czasu do czasu zamieniają kilka słów.

Kiedy Wawrzyniec pochłonał już wszystkie komiksy, poprosił Sandrę, by przynosiła mu książki z biblioteki ojca. Przede wszystkim Juliusza Verne'a. Co prawda wszystkie je już przeczytał, ale jakie to mogło mieć znaczenie. Pograża się w świat książek z taką radością, że Sandrze ogromną przyjemność sprawia dźwiganie z drugiego piętra aż na trawnik ciężkich tomów cennej kolekcji Metzela.

Franciszek Pontevaux nakazał jej, by obchodziła się z nimi bardzo ostrożnie:

— Popatrz, można by pomyśleć, że są zupełnie nowe, a przecież mają już ponad sto lat... Szkoda by było, gdyby zostały teraz zniszczone!

Wieczorem, gdy mały rekonwalescent jest już zmęczony, Sandra osobiście przynosi mu do pokoju tacę z kolacją, na której Amandyna ustawiła wszystko to, co Wawrzyniec lubi najbardziej. Czasami Wawrzyniec prosi siostrę, by przeczytała mu fragment rozdziału, którego sam nie zdążył skończyć.

— Nie czytasz zbyt dobrze jak na swój wiek — mówi. — Czytasz tak bezbarwnie. Za mało w tym intonacji...

— Ty natomiast śpiewasz czytając - odpowiada Sandra. — Nie lubię tego...

Dokuczając sobie w ten niegroźny sposób, wymieniają równocześnie porozumiewawcze spojrzenia.

— Jestem szczęśliwa, że wracasz do zdrowia — mówi w końcu Sandra.

— Jestem prawie pewny, że Sandra jest dobrą wróżką — mówi doktor Marlaud. — To dzięki niej Wawrzyniec tak szybko wraca do zdrowia...

Na strychu, w kufrze ze strojami, Sandra znalazła wyszywany cekinami kostium i różdżkę, na której końcu przymocowana jest gwiazdka. Tak ubrana pojawiła się któregoś dnia podczas niedzielnego obiadu i stanęła za krzesłem Wawrzyńca.

— Jestem wróżką-uzdrowicielką. Ogłaszam słońce po burzy.

CZĘŚĆ TRZECIA

1

Mały bedford w kolorze ciemnej zieleni zatrzymuje się na skraju kasztanowej alejki, gdzie w każdą niedzielę spotykają się amatorzy gry w kule z całego Foussy. Pojazd ten, przez swego posiadacza ochrzczony na amerykańską modłę „motorhome”, jest także całkowicie przez niego urządzony. Wiszą w nim bardzo przyzwoite zasłonki w kratkę, które przypominają domek krasnoludków, ukryty w głębi lasu.

Fabrycy Villard, nauczyciel rosyjskiego, został zatrudniony w liceum w Foussy na rok szkolny 1976-77. Teraz wysiada ze swego samochodu wprost na zmoczoną wrześnie deszczem trawę, przeciąga się i obserwuje smugi mgły nad polami. A przed nim pierwsze domy Foussy, o czym informuje go tablica, mocno zniszczona przez wprawiających się w strzelaniu z procy chłopców. „Wilgotny klimat, wzdycha Fabrycy Villard, z pewnością jednak nie gorszy niż w Limoges...” Mógł pojechać na Południe, ale sądził, że lepiej będzie pracować trochę bliżej Paryża i Sorbony, na której przygotowuje swój doktorat. Poprosił o pracę w Foussy ze względu na doskonałe połączenie z Paryżem — bezpośredni pociąg jedzie tam zaledwie dwie godziny. Nie zastanawia się jeszcze nad tym, jak zareagują miejscowi na widok nauczyciela mieszkające-

go cały rok w samochodzie kempingowym, choćby nawet nazwanym górnołotnie motorhome. Słyszysz już te słowa krytyki, zarzuty, które w końcu przerodzą się w pełne rozczarowanie westchnieniem:

— Cóż robić? To taki oryginał!

Fabrycy Villard zna dobrze ludzi z prowincji! On, paryżanin od trzech pokoleń, odkrywa Francję z wielkim zainteresowaniem. Trzy kolejne posady nauczyciela tak rzadkiego jeszcze przedmiotu, jakim jest rosyjski, dały mu okazję dogłębnego poznania Francji. Robił to z sympatią, której towarzyszyło jednak zawsze pewne zakłopotanie. W wieku dwudziestu ośmiu lat poznał już większość lokalnych tradycji, znacznie zresztą mniej zróżnicowanych pomiędzy Clermont-Ferrand, Poitiers i Limoges, niż można było sądzić.

Decydując się w zeszłym roku na mieszkanie w motor-homie, Fabrycym kierowała przede wszystkim chęć uniknięcia kolejnych obskurnych stacji dla kawalerów, które w każdym mieście sprawiają wrażenie, jakby tylko czekały na świeżo zatrudnionych nauczycieli. Samochód bedford, kupiony w dość podłym stanie od dwójki angielskich homoseksualistów zniechęconych niedawną, pełną żalonych incydentów podróżą po Europie Wschodniej, przez sześć miesięcy zabierał Fabrycemu cały jego wolny czas. Rezultatem godzin robót stolarskich, ślusarskich i elektrycznych stała się wspaniała chałupa na kółkach, no, może tylko trochę zbyt prymitywna. Właściwie brakuje w niej tylko prawdziwego ognia, ale ogrzewanie butanem działa bez zarzutu, tak samo zresztą jak małe prysznic, umywalka, W.C. i dwupalnikowa kuchenka. Oryginalność tego pojazdu z podnoszonym dachem, by uzyskać jak największą przestrzeń mieszkalną, polega na tym, że wszystkie jego ściany pokryte są regałami na książki. W ten sposób samochód upodabnia się do biblioteki do tego stopnia, iż czasami, gdy Fabrycy jedzie do miasteczka, podchodzą do niego grupki dzieci sądząc, że przyjechała objazdowa

biblioteka. Reszta urządzenia jest zupełnie klasyczna: chowany stół oraz kanapa-łóżko, w której są różne przydatne schowki.

Dzięki motorhome'owi Fabrycy łatwiej znosi trudy swego zawodu, który wybrał bynajmniej nie z miłości do nauczania, ale z wielkiej pasji do literatury rosyjskiej. „Skoro już trzeba zarabiać na życie, powiedział sobie, niech to będzie przynajmniej w dziedzinie, którą lubię. A poza tym, cóż innego mógłbym robić z dyplomem rusycysty? Skoro więc skazany już jestem zatrzymać się przynajmniej na jakiś czas w jednym i tym samym miejscu, to niech tym miejscem będzie skorupa ślimaka, która w każdej chwili może ruszyć z miejsca, ustawiać się w stronę wybranej części świata, na górze lub w dolinie, a nawet, skoro nie ma takiego zakazu, na ulicy. Motorhome nie ma nic wspólnego z turystycznymi samochodami, które mają obowiązek parkowania w określonych miejscach. W dodatku takie mieszkanie wymaga, by moim adresem była poczta, co ostatecznie podważa status zadomowionego urzędnika państwowego. Faktem jest, że ten pojazd stanowi pierwszy krok w organizowaniu sobie słodkiego kawalerskiego życia.”

Alejka do gry w kule oraz pobliska fontanna wydają się wymarzonym miejscem na postój, przynajmniej tymczasowy, domu na kółkach. Oczywiście trzeba będzie przesunąć się trochę w stronę lasu, by nie być w niedzielę narażonym na bliską obecność graczy. Chociaż jesień i tak wydaje się już zniechęcać sportowców swym orszakiem nadciągających zewsząd chmur oraz niespodziewanymi opadami deszczu. Deszczu, który on będzie witał z radością, wyciągnięty wygodnie na kanapie w swej skorupie ślimaka, czytając, pisząc, poprawiając klasówki, paląc fajkę... „Doprawdy, brakuje mi tu tylko prawdziwego ognia”, powtarza sobie często.

Od czasów dzieciństwa, kiedy to gorączkowo pożerał wszystkie książki, Fabrycy Yillard zawsze uważał się za

wędrowca. Motorhome jest więc realizacją dawnych marzeń małego, niezwykle samotnego jedynaka, mieszkającego z rozwiedzioną matką, nauczycielką angielskiego w liceum Fenelona, spędzającego niekiedy ponure niedziele u innego nauczyciela, jego ojca, brudnego matematyka z głową zawsze w chmurach. Ojca zawsze uważał za człowieka nieodpowiedzialnego. Przez wiele lat podróże Fa-brycego ograniczały się do przestrzeni pomiędzy małym mieszkaniem na ulicy Saint-Andre-des-Arts i Liceum Henryka W, odkrywania XV dzielnicy, kiedy to błądził w niedziele wokół mieszkania ojca, oraz spacerów po alejkach Parku Luksemburskiego, przede wszystkim po stronie cieplarni. Rośliny tam żyjące, oznakowane etykietkami z dziwnymi nazwami, przywoływały na myśl egzotyczne kraje.

Ofiara wakacji dzielonych pomiędzy dziadków ze strony matki — w Normandii — a dziadków ze strony ojca — w Sabaudii — jedyny, który potrafił podtrzymać na duchu matkę, uznany za niezdolnego do służby wojskowej z jakichś niejasnych powodów, Fabrycy musiał czekać aż do końca poważnie traktowanych studiów, by zacząć poszerzać horyzonty, uwolnić żywiołową seksualność dotychczas skazywaną na życiowe minimum oraz zafundować sobie na kredyt koczowniczy motorhome.

„Co mnie tu czeka?” — szepcze. Stoi na deszczu, który pada coraz mocniej i bezradnie przygląda się nowym domom na przedmieściach Foussy, tonącym teraz w deszczowej szarudze. Tymczasowa biel ich ścian — materiał nigdy długo nie wytrzymuje wpływów złej pogody — wydaje mu się niestosowna, zważywszy, iż w innych miasteczkach, które mijał po drodze, widywał tylko piękne, ale szare domy. Gdy przyjechał do Foussy latem, by zapoznać się ze sceną swych przyszłych wyczynów pedagogicznych, nie widział przedmieść. Oglądał tylko uliczki starego miasta, sklepienie dzwonnicy, budynki liceum, szare i ascetyczne, oraz imponującą fortecę na końcu głównej ulicy usianej kafejkami. W tych kafejkach z całą pewnością

miejscowi licealiści prześcigają się w ilości wypalonych papierosów i w jałowych dyskusjach. Tak, to właśnie było szlachetne stare miasto. Motorhome wpisuje więc Fab-rycego niejako z urzędu na listę mieszkańców przedmieść.

Deszcz pada coraz mocniej. „A przecież jest jeszcze lato”, myśli. Fabrycy. Fatalistycznym gestem zamyka za sobą drzwi motorhome'u od wewnątrz. Złożył łóżko i dzięki temu mógł porządnie ustawić dwie ławeczki i stół. Fabrycy robi listę rzeczy, które koniecznie musi zaraz kupić w mieście. Lubi patrzeć na mgiełkę, która pokrywa szyby, słuchać deszczu dzwoniącego o blaszany dach. Zapala lampę, nabija fajkę tytoniem, rozkoszuje się nastrojem intymności. Postanawia uczcić tę chwilę otwierając butelkę chablis, która od kilku dni wegetuje w jego małej lodówce.

Jest dopiero piąta po południu. Deszcz powoli ustaje. Fabrycy wchodzi na aluminiową drabinę i zdejmuje z dachu swego bedforda rower, umocowany tu wraz z innymi dużymi, zawadzającymi przedmiotami. Tak jak ponton na jachcie, rower ów pozwala mu poruszać się między swą rezydencją na czterech kółkach a niezdolnymi do przemieszczania się miastami. Bo gdy znajdzie już dla swego motorhome'u idealne miejsce, stara się już go stamtąd nie ruszać, chyba że w absolutnie wyjątkowych okolicznościach. Te nieliczne przejażdżki pozwalają akumulatorowi się naładować. Często także zdarza się, że Fabrycy włącza tylko silnik swego pojazdu, by ten sobie trochę popracował. W Foussy będzie jeździł jeszcze mniej niż zazwyczaj, jako że będzie mógł czerpać wodę z fontanny, znajdującej się tuż przy alejce do gry w kule.

Fabrycy, choć się do tego nie przyznaje, stara się opóźnić moment, gdy mieszkańcy Foussy, a przede wszystkim licealiści odkryją zadziwiający styl życia jedyne w liceum nauczyciela rosyjskiego, absolutnego mistrza tego języka w starszych klasach: „Motorhome to świetne

dla nauczyciela na wakacje. Potwierdzi on wobec tego opinię, że ciało pedagogiczne żyje od ferii do wakacji, i tak w koło..." Fabrycy ma sobie oczywiście za złe, że jest tak czuły na reakcje opinii publicznej, której dekretami jakoby pogardza. Zawsze doskonale potrafi przewidzieć jej nastroje. Od Clermont po Limoges, zaliczając po drodze Poitiers, wędrowiec Fabrycy zdołał oswoić mieszkańców głównie dzięki wielkiej pobłażliwości, z jaką stawiał uczniom stopnie, a także poprzez regularne, aczkolwiek nie przesadnie częste uczęszczanie do kawiarni, w których spotykali się zaci ni obywatele danego miasta.

— I dokładnie tak samo będzie w Foussy — mówi uroczyście na głos, jadąc rowerem po równej i prostej drodze w kierunku swego przyszłego królestwa, którego kilka kominów dymi już, jakby przewidując nadchodzącą jesień. Rozkoszuje się ogarniającym go poczuciem obcości, odkrywaniem nowej, nie znanej okolicy. Wkrótce już będzie mu ona tak bliska, że przestanie ją zauważać. Jakiś starzec na archaicznym motorowerze wyprzedza go z szyderczym i triumfalnym zarazem śmiechem. Nauczyciel-koczownik i cyklista zarazem błądzi w labiryncie wąskich romańskich uliczek starego miasta, wielokrotnie bezwiednie przemierzając najkrótszą drogę, dzielącą ukryty w murach obronnych sklep z antykami i dom państwa Pontevaux. Mur okalający park robi ogromne wrażenie na tym dziecku proletariatu, które zastanawia się, jakież to wybraniec losu może tam mieszkać. Fabrycy uwielbia błąkać się po nie znanych mu miastach, których mieszkańców niebawem ma poznać. Zanim jeszcze zacznie się rok szkolny, stara się określić mentalność i zwyczaje uczniów. Lubi powtarzać, że pedagogika zaczyna się od etnologii.

Zamknięte od strony doliny swymi solidnymi jeszcze murami obronnymi Foussy jawi mu się jako jedna z tych groźnych prowincjonalnych fortec, które zazwyczaj trudno

jest oswoić. „Ale, zwykł mawiać sobie na pocieszenie, nie ma fortec nie do zdobycia, są tylko fortece nieprawidłowo atakowane”.

Kilka krótkich dźwięków gwizdka dochodzących od strony dworca zapowiada odjazd pociągów w kierunku Dijon, Lyonu, Południa... Fabrycy opiera swój rower o fasadę jakiegoś domu i wchodzi do pierwszej z brzegu kawiarni, by móc w spokoju pomyśleć chwilę o Marsylii oraz o ciemnowłosej i gorącej Florence, która płakała cicho, gdy w zeszłym tygodniu motorhome wyruszał bez niej w kierunku Aix-en-Provence. A co do spokoju, którego szukał, znalazł się właśnie w „Cafe du Beffroi”. Panuje tu kompletne odrętwienie. Siwi mężczyźni z brudnymi czapkami na głowach drzemą nad kieliszkami czerwonego wina. Pomiedzy wypolerowanymi stołami, na których widać jednak trudne do usunięcia ślady małych kółek, krążą sporadycznie wymieniane słowa, krótkie rozmowy. Zgiełk nie dotarł jeszcze do „Cafe du Beffroi”. Fabrycy Villard zamawia kieliszek czerwonego wina, jak wszyscy tutaj. Po pierwszym łyku stara się ukryć swe rozczarowanie, tym większe, że chwilę wcześniej pił w swym domku na kółkach doskonałe chablis.

Prawdę mówiąc, wino mogło być jeszcze gorsze. Fabrycy wraca myślami do pełnych różowego wina prowansal-skich orgii, których wielką kapłanką była Florence Fabre. Odkrycie Florence w pełnej wczasowiczów zatoczce w Cassis, wyrwanie jej ze szponów tulońskiego włóczęgi, znacznie bardziej brudnego niż groźnego, wreszcie ułożenie na wólpijanej na łóżku w motorhomie — taki oto skromny, ale przyjemny wysiłek doprowadzić miał Fabrycego do krótkiego, acz najbardziej burzliwego związku w jego, w gruncie rzeczy, bardzo spokojnej egzystencji. Odjeżdżając swym pyrkającym motorem włóczęga rzucił na pożegnanie: — Ona ma w tyłku ogień, nie wytrzyma pan tego! Te gniewne słowa mogły jedynie pobudzić ciekawość Fabrycego. Uwielbiał bowiem nimfomanki. Po okresie

wczesnej młodości, którą całkowicie poświęcił nauce, Fabrycy został owładnięty jakimś dziwnym seksualnym szałem, który czasami niepokoił i jego samego. Ukrywał to dobrze, bowiem zawód ma swoje wymagania. Na szczęście wielkie korzyści przynosił mu stan kawalerski. Kolejne wynajmowane pokoje, a potem także motorhome były świadkami wizyt coraz to nowych koleżanek, matek jego uczniów, a nawet sprzedawczyń sklepowych, poderwanych przypadkiem, jakby od niechcienia, przy kasie. Fabrycy nie zadawał sobie nawet trudu, by zmieniać pościel. Co więcej, nawet starał się jak najdłużej zachować jedną i tę samą. Jego pożądanie wzrastało bowiem na myśl o ciałach, które wcześniej gnioły to samo prześcieradło, o pozostawionych na nim śladach pośladek.

Zauważył zresztą, że kobiety nigdy nie przyglądają się pościeli przed. Stawiają sobie natomiast za punkt honoru wzięcie odpowiedzialności, już po, za wszelkie ewentualne szkody, jakie pościel owa mogła ponieść. Nieprawdopodobny temperament Florence wystawił łóżko motorhome'u na ciężką próbę. Przestał również istnieć problem prania pościeli, ponieważ Florence spędzała w łóżku całe dni, by przypadkiem nie zostało ono zawładnięte przez jakąś inną. Fabrycy ruszył wraz z Florence do Prowansji, zatrzymując swój wóz w możliwie jak najbardziej odludnych miejscach. Uciekał od ludzkich zbiorowisk przede wszystkim z upodobania, ale także by nie drażnić ewentualnych sąsiadów: Florence bowiem tak głośno krzyczała podczas uprawiania miłości, że on sam był tym na początku przerażony.

Nagle robi mu się zimno. Patrzy niewidzącym wzrokiem na pomalowane na brązowo ściany, z których odpada już farba. Machinalnie zamawia drugi kieliszek wina. Lekki zawrót głowy wystarcza, by wrócić wspomnieniami do dni pełnych śpiewu cykad, prażącego słońca i gorących pocałunków Florence. Całymi godzinami pieścił jej ciemną skórę, na której rysował się wyzywającą bielą trójkątny znak po małym kostiumie kąpielowym... Mógł bez

końca lizać tea biały trójkąt, którego biel podkreślała jeszcze ciemna kępka włosów. Rozchyłał nogi dziewczyny, by móc głębiej włożyć język. Skóra Florence wydawała mu się jeszcze bardziej godna miłości, kiedy pachniała morzem. Ten zapach doprowadzał go do szaleństwa, kazał mu bełkotać jakieś miłosne wyznania, których chwilę potem już nie pamiętał.

Boczne drzwi motorhome'u były otwarte w kierunku jakiegoś odludzia, obojętne, czy było to morze, zarośla czy sosnowy las. Z tej strony nikt nie mógł ich zaskoczyć. Dla Florence było to bardzo ważne. Ta spontaniczna dziewczyna, zmysłowa o nieskrępowanym ciele i wolnej duszy niczego nie obawiała się tak bardzo, jak tego, że ktos zaskoczy ją w chwili miłosnego uniesienia. Dlatego też za każdym razem musiała dokładnie sprawdzić za pomocą lornetki całą najbliższą okolicę, ponieważ było zbyt gorąco, by zamykać drzwi bedforda. Kiedy wszystko było w porządku, szybko wyzbyła się wszelkich obaw, cała oddawała się rozkoszy, a nawet stawała się zaborcza. Fabry-cy myślał o tym zawsze z ironią, która znikwała dopiero w miarę, jak budziło się w nim pożądanie. Był zachwycony młodością Florence. Twierdziła, że ma osiemnaście lat, ale on był pewien, że nie ma więcej niż szesnaście. Wielu jego uczniów było starszych od niej, a także od tego tuloń-skiego faceta, którego porzuciła dla Fabrycego. On sam w wieku dwudziestu ośmiu lat czuł się tak młodo, że nie mógł zrozumieć, jakim sposobem znalazł się po drugiej stronie bariery, obarczony odpowiedzialnością i autorytetem. Słowa te pod wpływem pieszczot Florence wydawały mu się żalosne i śmieszne.

— Uwielbiam oddawać się rozkoszy — szeptał. Ich skromne posiłki nie wymagały snu podczas sjesty. Łączyli więc swe spotniałe ciała bez wytchnienia, aż do zupełnej utraty sił.

W miarę jak zbliżali się ku Alpom, nurt rzek stawał się coraz bardziej wartki. Lodowata woda dodawała im sił na

długie górskie wędrówki, podczas których trzymali się za ręce. Fabrycy z coraz większym trudem walczył z ogarniającym go wzruszeniem zakochanego uczniaka.

Do „Cafe du Beffroi” wchodzi właśnie trzy dziewczyny. Mają czternaście, piętnaście lat. Muszą więc być w jednej z tych klas, w których nabożeństwa odprawia Fabrycy Villard, autentyczny pop języka rosyjskiego. Wszystkie trzy przyglądają mu się ukradkiem. Nie należy bowiem do stałej klienteli. Fabrycy także kieruje ku nim zaciekawione spojrzenie. Dziewczęta odwracają głowy. Wybuchają głośnym śmiechem, licząc przy tym drobne. Przyszły kupić papierosy. Jedna z nich ma na sobie obcisłe dzinsy, które uwypuklają wspaniałe pośladki. Mimo wysiłku Fabrycy nie może oderwać od niej wzroku. Tym bardziej, że gdy dziewczyna odwraca się przodem, ukazuje mu się jej pleć bardziej wyraziście, niż gdyby była naga.

Atmosfera w kawiarni ulega wyraźnej zmianie. Starzy, spokojni pijacy unoszą głowy, wzrasta napięcie. Nic nie znaczące towarzyski dziewczyny w dzinsach śmieją się coraz głośniej, potem wszystkie już wychodzą, przepychając się i potrącając, jakby w jakimś ostatnim geście wyzwania. Drzwi zamykają się za nimi. Śmiechy oddalają się coraz bardziej. Do kawiarni powraca odrętwienie. Ponownie zjawia się Florence. Ale teraz ma ciało owej nieznajomej z Foussy, zapala gauloise'a, wydmuchuje dym prosto w twarz Fabrycemu, który ostrzega ją przed niebezpieczeństwem pożaru lasu. Fabrycy zastanawia się, czy owa nieznajoma w ogóle była ładna. Nie udało mu się przyglądać zbyt dokładnie jej twarzy. Kolor włosów nie zrobił na nim wrażenia. Kasztanowe, oczywiście. Natomiast jej długie nogi zafascynowały go do tego stopnia, że w jednej chwili zmobilizowały całą jego uwagę, rozbudziły całą moc pożądania.

Rozbiera w myślach nieznajomą, która stała się Florence. Odkrywa kolejne fragmenty jej ciała na łóżku

w motorhomie... Dopiero głośne rozmowy nowych gości sprowadzają go między ciemne ściany „Cafe du Beffroi”. Ponieważ pojawia się także właściciel, by przyjąć nowe zamówienia, Fabrycy daje mu znak, że chce zapłacić.

Rower jedzie wzdłuż pochyłej uliczki. Za cztery dni kończą się wakacje. Miasto wydaje się smutne. Trzeba zacząć je poznawać. Każde nie znane miasto wydaje mu się smutne przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. A potem smugi cienia rozjaśniają się jedna po drugiej, języki się rozwiązują, opór kobiet staje się coraz słabszy, mnożą się zwierzenia uczniów. Jak dotąd, Fabrycy Villard wszędzie bywał dobrze przyjęty.

Ale w oczekiwaniu na ten moment czuje się bardzo samotny. Nie ma ochoty wracać od razu do swego motor-home'u. Nie ma także ochoty wejść do sklepu, by kupić coś na kolację. Przyciąga go natomiast duża kawiarnia na placu, do którego doprowadziła go mała, wybrukowana uliczka. Na widok Domu Prasy nabiera ochoty, by wejść i poczytać gazety. Cóż za przyjemność wałęsać się tak bez celu, nie musząc jeszcze nikomu się kłaniać. Kiedy można usiąść, będąc równocześnie obiektem dyskretnej obserwacji, obok stolika licealistów, którzy udają mężczyzn. Za chwilę Fabrycy wyruszy na poszukiwanie jakiejś restauracji. Może sobie przecież pozwolić na zjedzenie uroczystej kolacji, by pogrzebać ostatecznie wspomnienia o wakacjach. Południu i Florence. Czas już zacząć myśleć o tym pocziwym miasteczku Foussy.

2

Sandra nigdy jeszcze nie czuła się tak dorosła jak teraz, gdy rozpoczął się rok szkolny. Jej jedenaste urodziny uczczone zostały może nawet za bardzo uroczyście. Park okalający dom szczęścia otworzył z tej okazji swe podwoje dla tłumu rodziców, przyjaciół i klientów zazwyczaj przyjmowanych tu oddzielnie, zgodnie z ostrożną strategią Franciszka Pontevaux, mającą na celu uniknięcie kompletnego pomieszania gości. Sandra czuje w sobie jakąś dziwną siłę, która budzi jej niepokój, zwłaszcza gdy zrozumiała, że szkoła, do której zaczęła chodzić, to coś zupełnie innego niż podstawówka.

Brakuje jej nawet dawnych wypraw na przedmieścia. Wielość nauczycieli, z którymi ma teraz do czynienia, zbija ją z tropu. Nie chce przyznać się nawet przed sobą, że się boi. To nie byłoby jej godne, a więc temu zaprzecza. Czwórka starszego rodzeństwa nie zastanawia się ani przez moment, dlaczego to z okazji ich urodzin nigdy nie urządzano podobnych uroczystości. Sandra ma prawo być wyjątkiem. Umacnia się także jej rola ładnej bogini. Podczas gdy spływają na nią rzesze komplementy kobiet:

— Jakaż ona śliczna!

— Jaka duża jak na swój wiek, i co za oczy!

— Z takimi oczami pośle wszystkich mężczyzn do piekła!

- Czy nie przeszkadza jej to w nauce?

Tak, podczas gdy leje się potok życzliwych lub perfidnych uwag kobiet, mężczyźni milczą, ograniczając się tylko do kilku uprzejmych westchnień.

Ta cisza i osłupiałe miny zdradzają rodzące się pożądanie.

Zazwyczaj każdy z nich gotów był oskarżać innych o tego typu skłonności. Małe dziewczynki, to dobre dla lubieżnych starców i nawiedzonych powieściopisarzy. Oni zaś, przykładni ojcowie rodzin, najchętniej wydaliby tych typów policji.

I oto ta dziewczynka o długich jasnych włosach, triumfująca pośród trawników w swej błękitnej sukience, stojąca nieruchomo jak jakiś dziwny kwiat, a w chwilę potem zwawa jak chochlik skupia całą ich uwagę na tym, czego tuzin innych dzieciaków płci żeńskiej pozwoliłoby im się tylko domyślać: białe skarpetki podkreślają rysunek kobiecych kostek poniżej kobiecych łydek, długie, piękne uda, które widać przy każdym jej ruchu, są zapowiedzią pośladeków, których doskonały kształt widać pod sukienką...

Bo Sandra już teraz, gdy idzie, wdzięcznie kołysze biodrami. Lecz czy można w ogóle użyć słowa „idzie” na to kołysanie dyskretne i jakże wyzywające zarazem. Sandra podchodzi do kobierca jesiennych róż, które sprawiają wrażenie, jakby chciały ją ukryć przed licznymi spojrzeniami. Spojrzeniami, które pozbawione są już jakiegokolwiek wstydu, do tego stopnia szampan rozgrzewa serca i trzewia. Spojrzeniami, które pod falującą na wietrze sukienką odgadują istnienie kobiecego łona. Jest jeszcze gładkie, czy też zaczyna już może ciemnieć?

Najbardziej odważni podchodzą do Sandry, by moc spojrzeć jej prosto w oczy. Widzą już tylko ją jedną. Sandra zaćmiła wszystkie inne dziewczęta bez względu na ich wiek. jawną bezwstydną i zbyt głośny momentami śmiech. Jej oczy, kolejno szare o odblasku błękitu, zielone

o odblasku szarości, wreszcie błękitnofiołkowe iskrzą się złościście świetlistą ironią, jakby domyślała się, jakie burze wywołuje w mózgach dorosłych, Tych samców, którzy piją, by zapomnieć. Sandra wyobraża sobie ich żalosne jęki w ciszy. Rozgląda się wokół i patrzy na otaczające ją dziewczęta i kobiety. One zapewne były już z mężczyznami. Ogarnia ją dawna melancholia. Chwyta za rękę ojca, który pojawił się tuż obok niej.

— Tatusiu, mogę się napić trochę szampana?

— No proszę! Pyta, jakby to było pierwszy raz!

Podaje jej swój dopiero co napoczęty kieliszek, Sandra z rozkoszą muska wargami pozostały na kieliszku ślad ust ojca.

Ponowne doświadczenie owej bliskości z ojcem następuje podczas ponurej uroczystości, na którą Franciszek zabiera Sandrę pewnej niedzieli już podczas roku szkolnego.

Mały zameczek stoi na wzgórzu na skraju osady górującej nad meandrami Kanału Burgundzkiego. Jest to właściwie dziewiętnastowieczna budowla, która z zamkiem, prócz nazwy oraz parku stanowiącego połączenie zaniedbanych łąk i lasu otoczonych wysokim murem, niewiele ma wspólnego. Sandra przygląda mu się z zachwytem, ale i odrobiną niepokoju.

Jej ojciec oddalił się wraz ze swymi kolegami antyk-wariuszami w stronę licytatora. Na licytacji sprzedawane będą meble. Publiczność jeszcze nie przyszła. Na skraju alejki, przed zamkiem, piętrzy się stos tandetnych, bezwartościowych przedmiotów. Natomiast przedmioty bardziej wartościowe zostaną wystawione wewnątrz. Na razie głównymi bohaterami tego miejsca są licytator, jego pomocnicy oraz grupa uprzywilejowanych antykwariuszy, którzy przybyli tu wyszukać co cenniejsze okazy, zanim jeszcze zjawi się motłoch.

— Nie oddalaj się zbytnio — powiedział Sandrze Franciszek Pontevaux. — I przychodź do mnie od czasu do czasu, żebym wiedział, gdzie jesteś.

Niepostrzeżenie dla siebie samego Franciszek zaczął zabierać swą córkę ze sobą wszędzie. A ona nie ma nic przeciwko tej miłej zabawie. Kiedyś to Wilhelm, najstarszy spośród rodzeństwa, odgrywał rolę osoby towarzyszącej, Sylwia nigdy. Ojciec zresztą nigdy jej tego nie zaproponował, bo zawsze go potwornie nudziła. Nana zazwyczaj miała co innego do roboty. Co do Wawrzyńca zaś, antyki i licytacje nie interesowały go nic a nic.

Dzisiaj Nana służbowo wyjechała na inną aukcję, w okolice Semur-en-Auxois. Towarzyszy jej Edward, służąc jej za przyzwoitkę, ale także przy okazji ucząc zawodu. Sandrze więc przypada w udziale przywilej towarzyszenia swemu ojcu.

— Nie martw się — mówi do niego — nie spuszczam z ciebie wzroku. Chcę tylko zobaczyć, czy w tym parku są wiewiórki.

Sandra obserwuje w parku dobrze znane jej z wizyt u doktora Klaudiusza widowisko: szukające się nawzajem i ścigające zgodnie z prawami gatunku ptaki. Stara się je rozpoznać.

Obserwuje kolory piór, długość skrzydeł, kształt dzioba. Ma wrażenie, że sama zdolna jest odkryć znacznie więcej tajemnic niż w szkole. A przecież tyle razy jej powtarzano, że nauka w wyższych klasach otwiera wrota wiedzy!

Zgniłe liście pachną jak grzyby. Niebo co prawda jest czyste, ale w powietrzu czuć już nadchodzącą zimą. Nad brzegiem strumyka pełno jest kamyków o dziwnych kształtach. Pod wielkim, pokrytym mchem dębem rosną jakieś grzyby, których Sandra nie zna. Nie dotyka ich nawet. Pochyla się tylko, by im się przyjrzeć. Są krostowate, krwistoczerwone i wzbudzają niepokój. Sięga po patyczek,

by móc nim dotknąć ich jak ślimaka, spróbować wycisnąć trochę cieczy. Z nóżki wypływa odrobina gęstego i lepkiego soku. Sandra rozdeptuje grzyba z pasją.

Nagle rozlega się jakiś chrapliwy okrzyk, jakby bólu. Czy to ptak? A może jakiś zwierz? Bo przecież nie krzyczały chyba grzyby! Posiekała je patykiem na drobne kawałeczki. Teraz nie mają już w sobie nic niepokojącego. Są żałosne.

— Dlaczego to zrobiłam? — mówi na głos. Absurdalność tego czynu wprawia ją w osłupienie. Jest bliska płaczu. Leśną ciszę odczuwa jako niemy wyrzut. Ogarnia ją niepokój, który przyjmuje z pokorą jako karę. I pomyśleć, że to ona to zrobiła! Ona, która zachwycając się każdego ranka rozwojem swego ciała postanawia sobie codziennie szanować życie w każdym jego przejawie!

Kiedy rano w łazience, niezupełnie jeszcze przytomna, obserwuje, jak jej maleńkie piersi stają się coraz bardziej jędrne. Pod wpływem wody, spływającej potem po wspaniale gładkim brzuchu, czuje się cudownie pełna życia, gotowa na tysiące przeobrażeń. Stąd właśnie rodzi się w niej każdego dnia na nowo chęć działania, radosnej zabawy, liczego towarzystwa. Cóż z tego, że te grzyby były czerwone, krostowate i odrażające? To jeszcze nie powód, by je zabijać.

Zawstydzona swym czynem rusza w dalszą drogę. Zapach jesieni jest teraz zapachem śmierci. Sandra jest tak wrażliwa na smutek, że przez wiele godzin nie będzie mogła się od niego uwolnić. Zna dobrze tę ogarniającą ją teraz chandrę. Nie ma ochoty ani śmiać się, ani śpiewać, ani nawet mówić. Ciało, serce i umysł wydają jej się beznadziejnie niepotrzebne.

— Jestem małym dzieckiem — wzdycha w końcu. — A to znaczy niczym.

Gdyby Sandra nie słyszała w oddali, po stronie alejek i zamku, rosnącego ciągle hałasu, który przerywa chwile ciszy oraz krótkie okrzyki („zaczęła się sprzedaż”, myśli),

mogłaby sądzić, że się zgubiła. To już nie jest zaniedbany park, lecz prawdziwy ogromny las. Ojciec tłumaczył jej dopiero co, że jednym z największych atutów przy sprzedaży budynków, która nastąpi kilka dni po licytacji mebli, jest właśnie ten otoczony murem piękny teren. Słowa te przywodzą jej na myśl bezpieczną, zamkniętą przestrzeń, gdzie mogłaby na wolności hodować różne zwierzęta, nie obawiając się, że uciekną lub że ktoś je skrzywdzi.

Czy to, co właśnie słyszy, jest jękiem zranionego zwierzęcia? Przyspiesza kroku w stronę słonecznej polany, którą widać na końcu ścieżki.

— Zwierzęta nie potrafią szlochać — mówi pewnym głosem. — To nie może być zwierzę.

Po czym dodaje zdanie jakby żywcem wyjęte z jakiejś bajki:

— To na pewno płacze jakieś małe dziecko.

I rzeczywiście, wkrótce już widzi małego, zalanego łzami chłopczyka, który siedzi smutny u stóp wielkiego pnia. Rękami oplata otarte-kolana. Głowę ma pochyloną. Dławi się łzami. Jasne loczki opadają mu na kark.

Zaskoczona Sandra zatrzymuje się o kilka kroków od niego.

Całkiem bezradna, zastanawia się, czy powinna kaszlnąć, by zwrócić na siebie uwagę, czy też podejść cichutko i zacząć mówić. A jeśli go przestraszy? Mały nie ma pewnie więcej niż siedem, osiem lat.

Nie mogąc się zdecydować wstrzymuje oddech. Wiatr wydaje się wiać coraz mocniej. Słysząc śpiew jakiegoś ptaka, który jakby chciał wyśmiać płaczące dziecko. Chłopczyk w końcu podnosi załzawione oczy i ze zdumieniem odkrywa obecność uśmiechającej się do niego przyjaźnie Sandry.

— Upadłeś? — pyta. — Boli cię coś?

Mały patrzy na nią nieufnie, potem niechętnie potrząsa przeczapę głową.

— A może się zgubiłeś?

Nie czekając dłużej siada obok niego, obejmuje ramie-

niem i czule przytula do siebie. Chłopczyk nie protestuje. Płacze teraz na jej ramieniu. Widać, że przynosi mu to wyraźną ulgę. Sandra gładzi jego jasne loki i szepcze:

— Uspokój się... Uspokój i opowiedz mi wszystko...

Bierze go za rękę i zmusza, by szedł tuż przy niej ścieżką, na której razem z trudem się mieszczą.

Chłopczyk sięga jej zaledwie do ramienia. Wygląda niezgrabnie w swych krótkich spodenkach.

Sandra czuje się niczym jego starsza siostra, powierniczka, przyjaciółka.

— Zawsze tu mieszkałeś, Tomku?

— Zawsze.

— Tutaj się urodziłeś?

— Nie wiem... Ale tutaj jest mój pokój, moje zabawki.

— Wzięłeś swoje zabawki ze sobą?

— Tak, ale tam, gdzie teraz mieszkamy, mój pokój jest bardzo malutki... To jest w mieście. Boję się...

Mama mówi, że oni sprzedadzą zamek kawałek po kawałku.

Sandra przerywa nowy atak płaczu pytaniem, czy rodzice Tomka uczestniczą w sprzedaży domu.

— Mama jest tam — mówi wskazując nieporadnie miejsce, z którego dochodzą hałasy.

— A tato?

— Nie wiem, gdzie jest.

Sandra potrafi odgadywać już tajemnice dorosłych, o których Tomek nie ma jeszcze najmniejszego pojęcia. Dla niej także są one jeszcze zbyt niejasne i trudne do zrozumienia, nawet jeśli w towarzystwie tego małego zapłakanego chłopczyka czuje się silna i odkrywa prawie swój instynkt macierzyński.

— Dziadek poszedł razem z mamą, żeby pilnować — mówi mały.

— Pilnować czego?

— Nie wiem.

— Tam jest mój tato — mówi Sandra. — Pójdę z nim porozmawiać. Poproszę go, żeby też pilnował.

— Ja tam nie pójdę — mówi Tomek stanowczo. Zatrzymuje się nagle i zaciska piąstki.

— Twoja mama pewnie wszędzie cię szuka.

— Ona wie, że jestem tutaj. Tutaj czuję się dobrze. Śmiesznym gestem wskazuje na drzewa, pokryte

mchem skałki oraz drgające pod wpływem przebiegających zwierząt krzewy.

Na widok młodej kobiety i dziarskiego starca o surowym spojrzeniu, którzy przyglądają się ocenianym, oglądanym i krytykowanym przedmiotom, Sandrę przeszywa dreszcz. Szukając ojca zapuściła się już w głąb domu, gdy tymczasem niestrudzony licytator wystawia kolejne przedmioty u stóp zewnętrznych schodów. Są to ogrodowe meble, stosy książek, skrzynie z pościelą, wiklinowe kufry pełne stołowych naczyń, lustra i zegary... Tylko najcenniejsze meble będą sprzedawane w domu.

W tym wszystkim, bacznie obserwowani przez kobietę i starca, szperają antykwariusze. W młodej kobiecie Sandra bez trudu rozpoznaje matkę Tomka. Mają identyczne oczy. Matka nie płacze, choć w jej oczach lśnią łzy. Sandra chciałaby podejść do niej i porozmawiać, ale nie ma odwagi. A poza tym, co mogłaby jej powiedzieć? Czemu posłużyłyby jej słowa, jeśli nie pogłębieniu jeszcze jej bólu?

Sandra podchodzi do ojca. Olbrzym pochyla się nad delikatną berżerą w stylu Ludwika XVI.

Szczególnie uważnie ogląda jej fabryczną pieczęć.

— Tato...

— Ach to ty — mówi roztargniony.

Potem z jakąś niezwykłą jak na niego gwałtownością dodaje:

— Idź się bawić... Nie mam teraz czasu.

— Mały chłopczyk płacze, ponieważ sprzedają jego dom.

— Jaki mały chłopczyk?

— Tomek, tam w parku... Synek tej pani.

Patrząc w inną stronę ruchem brody wskazuje młodą kobietę, która teraz przygląda się zaskoczona Sandrze: Co to dziecko tu robi?

— Rozumiem — mówi już łagodnie Franciszek Pontevaux.

— Czy nie można nic dla nich zrobić? — pyta poważnie Sandra.

— Nic.

— I wszystko zostanie sprzedane?

— Wszystko. Przynajmniej mam nadzieję. Ze względu na nich. Oni bardzo potrzebują tych pieniędzy. Idź do tego małego. Pobaw się z nim, żeby się tak nie zamartwiał.

I Franciszek Pontevaux ponownie pochyla się nad meblem.

— Naprawdę nic nie mogę zrobić, Sandro, pozwól mi pracować. Za chwilę do ciebie przyjdę...

Słyszysz? Sprzedaż na zewnątrz już się skończyła, zaraz zaczniesz się tutaj. Możesz zostać, jeśli chcesz, tylko proszę cię, nic nie mów.

I odchodzi w stronę małego stoliczka na jednej nóżce, który sprawia wrażenie, jakby był wystraszony swoją tutaj obecnością.

Sandra wraca do chłopca w parku. Siedzą obok siebie na kamiennej ławeczce pokrytej mchem. Nic nie mówią. Sandra czuje, że jej obecność dobrze na niego działa. Chłopczyk już nie płacze. Patrzy na Sandrę, na drzewa, na niebo. Wstaje, znika za drzewem. Sandra odgaduje, że poszedł się wysuszać. Rozbawia ją to. Mały, widząc jej uśmiech, sam też się uśmiecha.

— Chce mi się pić — mówi. — Znam tu źródło... Chcesz zobaczyć?

Prowadzi ją w stronę jakby altanki pokrytej zielenią i otoczonej skałkami. Sandrę zachwycają tajemnicze niespodzianki tego parku. Słyszy szum strumyka. Mały wskazuje czystą wodę, która bulgocze u stóp skały. Nabierają jej w dłonie i piją.

Sandra krzywi się z niesmakiem. Woda ma smak kamieni lub łupku. Potem jednak dochodzi do wniosku, że nie jest to takie nieprzyjemne.

— My nie mamy koło domu źródła — mówi z zalem. I natychmiast gryzie się w język: on przecież też już nie ma źródła...

„Czy nam także mogłoby się coś takiego zdarzyć?” — myśli spanikowana.

Zamyka oczy i próbuje wyobrazić sobie ten koszmar. Dom szczęścia otwarty jest dla kupców. Zalewa go publiczność. Ludzie śmieją się głośno, wychylają przez okna. Miedziane łóżko Sandry, jej biurko z tysiącem szufladek, czarny obraz i wiklinowy fotel są porzucane na trawniku. Kupcy z pogardą przesuwają je nogą. Inni oddalają się potajemnie niczym złodzieje, unosząc ze sobą znajome przedmioty. Zniknęły już drobiazgi z salonu, gitara Wilhelma, lalki Nany... Znieruchomiała Antonina przyglądając się temu w takiej samej co przed chwilą matka Tomka pozieść.

Sandra otwiera oczy. Tomek patrzy na nią ciekawie.

— Spałaś?

— Nie. Rozmyślałam.

Chwyta go za rękę i przyciska ją mocno do swego serca.

— Dom szczęścia, pozostanie na zawsze takim, jaki jest — szepcze. — Na zawsze.

— Co mówisz?

— Chłodno się robi. Chodź, pobiegamy trochę. Goń mnie!

3

— Zdumiewające, zdumiewające — powtarza Franciszek Pontevaux przeglądając dzienniczek swojej córki.

Zerkająca mu przez ramię Antonina przyznaje mu rację. Pochylają się oboje nad tym dzienniczkiem niczym para ptaków nad swym potomstwem, z którego są dumni. Już od jakiegoś czasu zauważyli, że Sandra zmieniła swoje podejście do nauki. Nie widać było co prawda, by spędzała nad książkami więcej czasu, a mimo to z dnia na dzień coraz bardziej zbliżała się do grona najlepszych uczniów w klasie.

— Widać wyraźnie, że co roku stara się być na czele — powtarza z podziwem Nana.

Wszystkie klasówki Sandra kończy pisać wcześniej niż inni, dużo przed czasem. Lekcje zazwyczaj zna na pamięć, choć nie widać, by się ich specjalnie uczyła. Kiedy musi posiedzieć wieczorem nieco dłużej, stara się utrzymać dobrą formę wypijając szklanekę coca-coli,

— Mam dopiero dwanaście lat — mówi, gdy Aman-dyna proponuje jej herbatę. — Coca jest wystarczającym narkotykiem.

Wilhelm zdecydowanie uważa, że jego siostra jest dzieckiem nieprzeciętnie zdolnym.

Ale Sandra dobrze wie, że jej powodzenia wynikają przede wszystkim z precyzyjnego rozplanowania czasu, którego stara się rygorystycznie przestrzegać. Zaraz po

szkole, o czwartej, biegnie do domu. Amandyna czeka już na nią z gotową filiżanką czekolady i posmarowanymi grzankami. Strzeże ona zazdrośnie swych praw do opieki i nad Sandrą, którą nazywa: „moje kochane maleństwo”. Wyrzuca sobie, że nie dość pomagała Nanie, czuje w sobie macierzyńską odpowiedzialność... Z ukrywanym niepokojem obserwuje Sandrę w chwilach, gdy pogrąża się w marzeniach. „Niedługo wyrośnie już na młodą dziewczynę, myśli, trzeba strzec tego-ziarna”.

Instynktownie przeczuwa, że w tym doskonałym dziecku tli się uśpiony na razie ogień.

Z niepokojem także obserwuje, jak lekkie podejście do nauki zmienia się u Sandry w coraz bardziej poważne jej traktowanie. Kiedy jednak chce o tym porozmawiać z Antoniną, ta ostatnia powtarza tylko w kółko: „To taki wiek, zobaczymy, co będzie dalej...”

Piękne ciało Sandry zdecydowanie wyróżnia się podczas meczów koszykówki, w których Sandra celuje. Tylko Bóg jeden wie, czy dziewczęta dyskretnie obserwują się nawzajem w szatni... Sandra jest jedną z najmłodszych. Niektóre dziewczęta mają już po trzynaście, a nawet więcej, lat. Ale dzięki swym długim nogom Sandra jest jedną z najwyższych zawodniczek.

— Jak tak dalej pójdzie — mówi ze śmiechem Barbara, przyjaciółka Sandry od pierwszych dni roku szkolnego — to z takimi nogami i biustem szybko dojdiesz do Bluebell Girls...

Sandra wzrusza tylko ramionami, ale w gruncie rzeczy doskonale zna swe ciało i jest z niego niezwykle dumna. Szczególnie od chwili, gdy na kilka dni przed końcem wakacji oświadczyła matce, że to już.

— Co, Sandro?

— Miesiączka, mamó.

Bezwstydna przecież Antonina doznała prawdziwego szoku po tej prostej i jasnej odpowiedzi. Tym bardziej, że

działo się to w kuchni, gdzie urzędowała Amandyna. Garnki wyleciały jej z rąk.

Oczywiście w czasach Amandyny taka mała dziewczynka, dziecko jeszcze, wyznawała takie rzeczy z tajemniczą i zawstydzoną miną. Amandyna zdążyła tylko westchnąć „już”, gdy Sandra wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Już! — powtórzyła katastroficznym tonem.

— No cóż, ze mną było tak samo — odrzekła rozdrażniona Antonina.

— Ale nie przejmuj się — dodała Sandra. — Dzięki Nanie mam, czego mi potrzeba.

Uważa bardzo, by nie dodać, że używała nawet tamponów O. B. tak sobie, tylko dlatego, by zobaczyć jak to jest.

— Masz szczęście — powiedziała jej wtedy poufale Nana, — Jestem bardzo wąska i używam najmniejszego rozmiaru...

Słuchając nie kończących się opowieści dziewcząt z klasy na ten temat, który wydaje się być w ich wieku najważniejszy, Sandra nie przestaje się dziwić, dlaczego poświęcają temu aż tyle czasu. Dla niej bowiem życie jej ciała postępuje zgodnie z naturą, tak jak życie roślin. Jego rozwój nigdy nie sprawiał jej żadnych problemów, a nawet wręcz przeciwnie. Szalała z radości. Czasami rano śmiała się do siebie, dziękując naturze za ten wspaniały dar. Jej ciało było już bowiem podziwiane, pożądane, a w szkole wśród dziewcząt wzbudzało zazdrość. Tak, Amandyna miała rację. Sandra była nieskończenie bardziej dojrzała, niż rrióżna by się było tego spodziewać. Dom szczęścia, niczym szklarnia, zapewnił jej niezależny od czasu rozwój. Była niczym mityczny kwiat. Jej stary przyjaciel Hieronim uważa, że pewnego dnia żaden mężczyzna nie ośmieli się już do niej zbliżyć.

— Wręcz przeciwnie — odpowiada zuchwale Sandra — chcę, żeby przyszli wszyscy.

Sandra nie rozumie, dlaczego Hieronim patrzy na nią wzrokiem zbitego psa.

Kiedy Sandra swym tanecznym krokiem przemierza szkolne boisko, chłopcy wpatrują się w nią z rozmarzeniem. Króciutkie szorty odsłaniają uda. Uda absolutnie wyjątkowe, jak bezwarunkowo stwierdzili chłopcy z wyższych klas. Poza tym Sandra nie poddaje się żadnym kwalifikacjom, wymyka im się, jest jakby z innego świata. Jest dzieckiem i kobietą równocześnie, nie przystaje do ich wieku. Jedynie ona nie wyzwala w nich chęci do sprośnych żartów. U jej stóp ginie wszelka wulgarność i rodzi się miłość. Jej piękne jasne włosy wyróżniają ją spośród wszystkich innych dziewcząt, będąc równocześnie przejawem jej niezwyklej zmysłowości. Czyż którykolwiek z nich zdobędzie się na odwagę sięgnięcia po Sandrę Pontevaux, gdy ta będzie trochę większa? Uważnie patrzą, jak jej ciało wyciąga się w stronę kosza, staje się jeszcze dłuższe niż poprzednio, a piersi sterczą wyraźnie pod błękitną koszulką. Piłka wpada do kosza. Sandra odwraca się na moment, jej włosy rozwiewa wiatr. W jasnych oczach zapala się na ułamek sekundy błysk triumfu. Sandra czuje na sobie ich spojrzenia, nie patrzy jednak w ich stronę. Tego dnia, gdy nauczyciel rosyjskiego, ten oryginał, który mieszka w samochodzie kempingowym, zatrzymał się na dłuższą chwilę na boisku, przyglądając się jej uważnie, poczuła, że w bezruchu tego trzydziestoletniego mężczyzny stojącego nieruchomo pośród swych uczniów jest coś niestosownego. Nie udało jej się wtedy zdobyć kosza. Miała mu to za złe. Czowała się tak, jakby gwałcił ją wzrokiem. Jego pełne wyższości spojrzenie "wprawiło ją w zakłopotanie, zmyliło krok, przeszkodziło w zdobyciu punktu... Mimo to Sandra obiecuje sobie, że w przyszłym roku będzie uczyć się rosyjskiego. Już teraz wie, że na równi z francuskim będzie to jej ulubiony przedmiot. Chociaż nic nie wiadomo, niedawno odkryła bowiem nowe dziwactwo swego umysłu, oto bez specjalnego wysiłku zaczyna celować w matematyce...

Co robi nauczyciel rosyjskiego na boisku szkolnym? Nie tędy' przecież droga do klasy. I dlaczego tak się jej przygląda? Tylko jej, żadnej innej dziewczynie, widać to wyraźnie...

I znowu pojawia się pytanie: co takiego jest we mnie, czego nie mają inne? To pytanie dręczy ją jeszcze w szatni, podczas gdy inne dziewczęta paplają przy rozbieraniu, piszczą pod prysznicami. Złocisty puszek, który czuje pod palcami w chwilach, gdy sprawdza czy rośnie, wydaje się bardziej delikatny niż czarny zarost większości koleżanek i bardziej tajemniczy, niż jeszcze naga płeć innych... Ale tego nauczyciel nie może wiedzieć. Czyżby się więc domyślał? Czyżby intrygowały go sekrety niewinnych dziewczynek? Czy domyślał się chociaż, jak wyglądają rodzące się dopiero piersi, on, który z całą pewnością sypia tylko z kobietami w swoim wieku? Chociaż Nana pewnego dnia...

— Wiesz — powiedziała pewnego dnia Nana — to nie takie proste określić wiek ciała.

Sandra swoim zwyczajem wyjęła z ojcowskiej biblioteki jakąś książkę. Z początku wydała jej się bardzo ekscytująca, szybko jednak ją znudziła. Pewien sześćdziesięciolatek żenił się w niej już po raz czwarty. Jak poprzednie żony, tak i obecna nie miała jeszcze dwudziestu lat.

— Rozumiesz coś z tego, Nana? Nie sądzę, żebym mogła zainteresować się kiedyś starcem.

— Tego nie można przewidzieć.

— A ty lubisz starych?

— Ach, ja i mężczyźni...

Sandra zamilkła na chwilę, zmieszana zażenowaniem Nany, która sprawiała wrażenie, jakby żałowała, że powiedziała za dużo. Potem zaś zapytała, zgodnie ze swą bezlitosną logiką:

— Ale dlaczego starcy, skoro istnieją młodzi?

— Zrozumiesz to, gdy dorośniesz.

— Mam wrażenie, że starzy faceci zawsze chcą wiedzieć za dużo. Na przykład przyjaciele taty, kiedy przy-

chodzą na aperitif... Zadają mi jakieś idiotyczne pytania tylko po to, by coś powiedzieć. Nigdy nie odpowiadam im od razu. To ich podnieca, i potem już zupełnie nie wiedzą, co mówić.

— Śmieszysz mnie, mała... Dobrze znam takie sytuacje. Ale kiedy się zakochasz, przestaniesz się tym wszystkim martwić;

— Jak to jest, gdy się jest zakochanym?

— Zupełnie nie tak jak w książkach. Za każdym razem, jak próbowałam, nic to nie dawało. W każdym razie nic wielkiego. Ale, ale, mówię tak, jakbyś była w moim wieku! Zrozumiesz to kiedyś, zobaczysz!

A mimo to Nana z ogromną przyjemnością zwierza się zazwyczaj Sandrze, głaszcząc równocześnie jej jasne włosy...

Ciekawość dziecka staje się coraz większa, niestrudzenie inicjuje więc coraz to nowe rozmowy. Nie kończące się pytania, czasami prowokujące, przeplatają się z wesołym śmiechem. Dziewczęta siedzą na świeżo przyciętym przez ogrodnika trawniku w kącie parku, który wydaje się zarezerwowany właśnie- na takie dwuznaczne rozmowy, szepty i chichoty.

Gdy ogrodnik przestaje się wreszcie kręcić w pobliżu dziewcząt, Nana kieruje na swą siostrę rozgorączkowane, pełne uwielbienia spojrzenie.

Nic tak bardzo nie ekscytuje tej pięknej, niespokojnej dziewczyny, nic tak nie zaspokaja jej wymagającego ciała, jak historie, które czyta Sandrze, gdy obie mają dość opowiadanych historyjek z życia codziennego. Wtedy właśnie sięgają po tajemnicze książki z ojcowskiej biblioteki. To Wilhelm jako pierwszy, w wieku dziesięciu lat, odkrył klucz do sekretnych półek zamkniętych za szybą, ukryty za posążkiem Buddy z zielonej porcelany. Od tego czasu rytuałem wszystkich dzieci stało * się wykradanie i odkładanie na miejsce tego klucza.

Rytuał ten wprawia w zachwyty Franciszka, który oczywiście wie o wszystkim. Nigdy nie krył swego przekonania, że każda inicjatywa jest czymś niezwykle pozytywnym. Nie dopuszcza jednak do siebie myśli, że ów rytuał ukrytego klucza, chroniąc co prawda jego autorytet, daje dzieciom okazję poznawania literatury kształcącej, to pewne, niemniej jednak bardziej odrażającej, niż można by myśleć.

Przekonany jednak o dobroczynnych skutkach takiego wtajemniczenia, przyzwala na nie, nie informując o tym nawet swej żony.

Nana wybrała już lekturę na wolne śródowe popołudnie. Przełknąwszy resztę deseru Sandra także wstaje od rodzinnego stołu. Wawrzyniec już wcześniej pobiegł na spotkanie z kumplami. Franciszek i Antonina zostają sami, rozmawiając, jak to mają w zwyczaju o tej porze, o interesach. Sandra biegnie tam, gdzie czekają na nią miłosne przygody, opowieści o cielesnych porywach i namiętnościach. Niejasno czuje, że czytane przez Nanę opowieści w jakiś sposób ją zmieniają. I każda kolejna łączy się z jej rozwojem. To wiosenne popołudnie jest szczególnie bogate w obietnice na przyszłość.

Wyciągnięta na świeżo ściętym trawniku Nana podciąga wysoko sukienkę, by poczuć przyjemną pieczęć delikatnej trawy, która pachnie życiem roślin. Wchłania w siebie ten zapach i rozkoszuje się nim. Muskająca jej uda trawa wywołuje delikatne dreszcze.

Nikt nie mógłby dostrzec dziewcząt w tym oddalonym zakątku parku. Ich śmiech budzą przycupnięte w krzakach ptaki. Potem Nana wraca do przerwanej lektury. Wyobraźnia autora staje się coraz bardziej rozbuchana. Brutalna pornografia gasi śmiech. Sandra czerwieni się coraz bardziej. Nana, jak przystało na starszą siostrę, usilnie stara się zachować zimną krew. Spojrzenia, jakie wymieniają między sobą, odsłaniają najgłębiej skrywane sekrety, informują o budzącej się rozkoszy.

Nagle, w samym środku kolejnej strony *Cielesnych ceremonii* Sandra zrywa się na równe nogi i zaczyna krążyć wokół kobierca róż. Prawie biegnie. Zbita z tropu Nana przerywa lekturę.

— Co robisz? — pyta siostrę. — Nie można tak przerywać. Posłuchaj, co będzie dalej...

Sandra jednak dalej krąży niczym koń w kieracie, a potem rusza biegiem wzdłuż alei. Teraz zaś Nana, trzymając w ręku książkę otwartą na nie dokończonej stronie, podnosi się z trawy.

Chce złapać Sandrę, ale długie nogi dziewczynki sprawiają, że dystans między nimi nie maleje."

Ten opis miłości był dla Nany niczym uządlenie szerszenia. Cała płonie. Sandra właśnie zaczyna biec. Nana rzuca się za nią w pościg.

Sandra znika za wyjątkowo gęstymi zaroślami. Nana nasłuchuje.

— No już, Sandro, wystarczy. Pokaż się.

Jej głos dźwięczy w ciszy. Serce jej bije głośno. Wszystko to za sprawą wysiłku i szalonego podniecenia. Upada na niewielki skrawek dziko rosnącej trawy. Teren jest spadzisty. Nana kładzie się na brzuchu. Gdy na nowo, już tylko dla siebie samej rozpoczyna lekturę, tworzy z ziemią jedną całość.

Podskakuje ze strachu, gdy Sandra przytula się do niej nagle szepcząc: „No, czytaj." Potem zaś rozpoczyna lekturę głuchym, namiętym głosem. Zaczyna czytać od miejsca, w którym przerwała.

Dziewczęta przytulają się do siebie teraz. Obie drżą. Biodra Nany falują rytmicznie. Wygląda to tak, jakby jej ciało chciało się wbić w ziemię. Sandra natomiast pogrąża się w marzeniach. Jest jej bardzo dobrze. Nana czyta cichym szeptem.

Jakakolwiek pieśczość nawet przelotna byłaby teraz zbyt cenna.

A potem Nana zamyka książkę, odwraca się i siada. Wzdycha głośno. Uśmiechem odpowiada na spojrzenie Sandry.

— No — mówi — skończyłam.

— Podobało ci się?

— Tak. A tobie?

— Było mi cudownie. Tak, jakbym śniła na jawie. Czy to już koniec *Cielesnych ceremonii*?

— Nie. To tylko koniec akapitu. Ale ten jest chyba najlepszy.

— Przeczytasz go jeszcze raz następnym razem?

— Oczywiście. To jest jeszcze lepsze, gdy się czyta po raz drugi.

— Wawrzyniec traci apetyt — wzdycha Antonina. — Ma dopiero piętnaście lat, a już się zakochał.

— No właśnie — mówi Nana — najwyższa pora.

— Nic już teraz nie robi.

— I tak jest ze wszystkim do przodu — stwierdza Franciszek Pontevaux, który nie cierpi tych rodzinnych narad. — Sądzę, że wystarczająco długo bawił się w skauta.

— Ależ Franciszku, ta dziewczyna ma dwadzieścia trzy lata! A w dodatku jest...

Foussy znowu żyje skandalem autorstwa przedstawiciela klanu Pontevaux. Paulinka, córka nauczyciela z Dijon, urzędniczka w miejscowym banku, ukrywa pod mało powabnym wyglądem, okularami, butami na niskich obcasach i długą spódnicą wulkaniczny temperament, długo tłumiony srogim wychowaniem. Ponieważ niepowodzenia na studiach dawały jej możliwość wykonywania tylko drugorzędnych zawodów, jej jedynym celem od tej pory było zaspokajanie nigdy nienasyconego pożądanego, będącego skutkiem ascetycznej młodości. Ciągłe nie dość jej młodych chłopców, takich, z jakimi nie mogła się spotykać, gdy była w ich wieku...

Licealiści z Foussy zawdzięczają jej bardzo wiele. Szybko przestali się z niej naśmiewać. Odnoszą się do niej z pewnego rodzaju szacunkiem, wynikającym z wdzięczności. Chociaż wiek nie pozwala im jeszcze otworzyć konta w banku, kręcą się wokół niego bezustannie. W dniu, w którym Wawrzyniec rzucił przed bank kilka petard, by zrobić trochę zamieszania, przestraszona twarz Paulinki wywarła na nim piorunujące wrażenie. Po raz pierwszy w życiu zaczął żałować swych wygłupów. Wawrzyniec jest jedynym facetem, który uważa, że Paulinka jest śliczna. Nieważne zresztą. Nigdy nie zmieni zdania. Kumple kpią sobie z niego. Ale on nie ustąpi.

— Przesadzasz, mały. To świetna dziewczyna. Jest miła i w ogóle, ale twarz...

— Daje każdemu, który chce, to prawda. Ale nigdy nie dostałaby nagrody za urodę.

— Ona jest najzwyczajniej w świecie brzydka.

— A bez okularów wygląda jeszcze gorzej. Tylko w łóżku nabiera trochę kolorków.

— Pontevaux ma to gdzieś. On nie chodzi do łóżka. W przeciwieństwie do swoich kumpli

Wawrzyniec nie

blefuje. I dlatego też uważany jest za największego prawiczka w klasie, wspólnie zresztą z Hieronimem, najwierniejszym przyjacielem Sandry. Figlarny Wawrzyniec i poważny Hieronim nie uczestniczą nigdy w przechwałkach i licytacjach. Chociaż trudno byłoby znaleźć między nimi jakieś analogie, to w jednym przynajmniej są do siebie podobni: im mniej się mówi o dziewczynach, tym lepiej. Bardzo inteligentnie odkryli obaj, że ich dyskrecja odnosi niespodziewane sukcesy. Tak więc Hieronim ze swym wyglądem romantycznego bohatera oraz Wawrzyniec ze swą miną figlarnego chochlika osiągają wielkie, aczkolwiek nigdzie nie potwierdzone sukcesy.

Dziwne jest to, że Paulince udało się pokonać seksualną bez troskę Wawrzyńca, tak charakterystyczną dla mieszkańców domu szczęścia. I to właśnie najbardziej niepokoi

Antoninę. Tak długo, jak Wawrzyniec nie tracił na wadze, mógł robić, co chciał. Ale on zaczyna chudnąć...

— Przynajmniej jedz trochę więcej — mówi do niego ze wzruszającą troską w głosie.

— Nie jestem głodny.

Poprzedniego dnia Paulinka nie zgodziła się przysiąc mu wierności, o co nieostrożnie poprosił.

— Sam rozumiesz — tłumaczyła — nie mogę takiej przysięgi dotrzymać, a więc nie ma sensu przysięgać...

Wawrzyniec sam już nie wie, czy Paulinka jest ładna, czy brzydka. Chce tylko jednego, by jej ciało należało wyłącznie do niego. To uczucie jest tak mocne; pieszcząc ją, czerwieni się na samą myśl o tym, który będzie następny. Franciszek Pontevaux tego wieczoru, gdy przyłapał Wawrzyńca, jak przyciskał dużą Paulinkę do muru, zrozumiał natychmiast, co oznacza jego obłądne spojrzenie. Od razu przypomniał sobie uczucie, jakiego sam doświadczył, gdy był w jego wieku, uczucie zwierzęcego przywiązania do aktualnie posiadanej samicy. Bez trudu odgaduje rozterki syna oraz tę potworną zazdrość, którą uleczyć może tylko czas. Gdyby nie powstrzymywała go jakaś dziwna skromność, nakazująca mu liczyć się przy dzieciach ze słowami, rzuciłby Wawrzyńcowi w twarz jedną ze swych podstawowych zasad:

— Jeśli chcesz, żeby wolała cię od innych, pieprz ją lepiej niż oni.

Albo:

— Przede wszystkim nie domagaj się wyłącznych do aiej praw, nie ma nic bardziej żalosnego.

4

— Dziwna rodzina... W życiu bym się nie spodziewał, że coś takiego spotkam na krańcach Burgundii...

Fabrycy Villard podnosi szklanę piwa i mruży oko, jakby chciał popatrzeć na Nanę poprzez napój. Prawdę mówiąc, tak bardzo jej pragnie, że nie wie już, jak ma na nią patrzeć. Bywalcy „Cafe du Beffroi” nastawiają uszu, ale słyszą tylko cichy szept, przerywany czasami krótkimi wybuchami śmiechu.

Kilkakrotnie już Fabrycy powtórzył z westchnieniem:

— A więc lubi pani tylko kobiety... Kto by pomyślał?

— Ja sama potrzebowałam niemało czasu, by sobie to uświadomić.

Fabrycy przywołuje z pamięci obraz jasnowłosej amazonki na motorze Yamaha Trial, którą zobaczył na zakręcie małej uliczki starego miasta. Ledwie udało mu się uniknąć katastrofy. Kierownica jego roweru uderzyła o mur pobliskiego domu. Obejrzał się wtedy wściekły, liżąc otartą dłoń, i zobaczył zjawę o rozwianych na wietrze włosach, znikającą w oddali z wyciem silnika. „Nawet nie ma kasku” — to była jedyna myśl, jaka przyszła mu wtedy do głowy.

Zobaczył ją ponownie w Domu Prasy. Stwierdził, że to świetna okazja. Dziewczyna przeglądała czasopisma i odkładała je z powrotem na półkę. Obcisłe dzinsy uwydat-

niały jej jędrne pośladki. Bardzo krótki sweterek odsłaniał dwa centymetry gołej skóry w okolicy zadziwiająco szczupłej talii. Jedynie trochę jakby zbyt szerokie ramiona uchodzić mogły za defekt tego nieprawdopodobnie pięknego ciała. Zostawiwszy oparty o ścianę rower, Fabrycy podszedł do niej. Stworzenie to było jakby żywcem wyjęte z jego marzeń. Marzeń kawalera pozbawionego rozkoszy śródziemnomorskiego lata, skazanego na samotne posiłki w podrzędnej restauracji w Foussy i na smutne noce w swym motorhomie. Przez chwilę sądził nawet, że to jego własne obsesje płatają mu figla. W dodatku zaczęło mu świtać jakieś wspomnienie: owa nieznajoma przypominała mu znaną, a może tylko przelotnie widzianą gdzieś twarz.

I stał tak nieruchomo, obserwując sylwetkę dziewczyny przeglądającej czasopisma. Przecież nie podejdzie do niej mówiąc: „Pani mi kogoś przypomina”. I wtem ona odwróciła głowę w jego stronę, jakby zażenowana jego upartym spojrzeniem. Starła się zachować surową minę, ale szybko na jej twarzy pojawił się mimowolny ciepły uśmiech. I wtedy Fabrycy pomyślał, że musi być wyjątkowo sympatyczna.

— O mało mnie pani nie zabiła — powiedział uśmiechając się szeroko.

— Ach! To pan... Zorientowałam się po czasie. Wie pan, jak to się dzieje... Pan był po lewej stronie, prawda?

— To nie ma żadnego znaczenia, skoro jestem tutaj i skoro pani także tutaj jest...

— No, no, no!

Śmiejąc się odsłoniła drobne białe zęby. Podobała mu się bardzo jej delikatna, jakby mało wyrazista twarz. Dodało mu to odwagi i zachęciło do kontynuowania rozmowy.

— Czy będę mógł zaprosić panią na drinka, gdy wybierze już pani gazety?

— A od kiedy to nauczyciele przychodzą na podryw do Domu Prasy?

— Wie pani. że jestem nauczycielem?

— Tak, nauczycielem rosyjskiego. Tutaj wszyscy wszystko wiedzą. A poza tym trudno by było nie zauważyć tego pańskiego luksusowego cygańskiego wozu...

Po czym, pod pretekstem konieczności powrotu do pracy w sklepie z antykami, przesunęła na wieczór owego drinka, którego z takim uporem chciał jej postawić.

— No to może wypijemy razem aperitif— zaproponowała w końcu. W Auberge des Cerisiers. To trzy kilometry za miastem. Będzie pan miał okazję trochę popedałować.

— O siódmej?

— Tak, o siódmej.

Dla przyjemności zrobienia jej na przekór Fabrycy nie wziął roweru, tylko pojechał swoim motorhome'em. Na parkingu przed zajazdem wcisnął się jakoś między piękne samochody stałych bogatych bywalców z okolicy. Bedford tak samo nie pasował do tego towarzystwa, jak stojąca już yamaha Nany. Właściciel zajazdu osobiście zaprowadził go do stolika, przy którym na niego czekała; miał wielki szacunek dla pieniędzy rodziny Pontevaux. Fabrycemu serce aż się ścisnęło na widok dziewczyny, piękniejszej jeszcze, tajemniczej i dzikiej w przytłumionym świetle.

— Jest pani zachwycająca.

Miała na sobie ubranie z miękkiej skóry, ni to kurtkę, ni tunikę, którą narzuciła na koronkową bluzkę niezbyt dokładnie zakrywającą piersi.

— Ma pan ochotę na wino?

— Na to, co pani...

— A więc wino!

Po głowie przelatywały mu już różne myśli. Dziękował Stwórcy za to, że przywiódł go do Foussy, by mógł spotkać, bohaterkę swoich marzeń.

— A więc przestraszył się pan jednak wzniesień — powiedziała z kpiną, która doprowadzała Fabrycego do szału.

W jej głosie brzmiała dziewczęca zmysłowość.

— Muszę czasami wprawić w ruch mój dom — odparł — inaczej rozładuje się akumulator. Bezmyślnie wypił całą zawartość kieliszka. Nanę bawiło jego zakłopotanie. Dała znak, by przyniesiono jeszcze dwa drinki. W ten sposób manifestowała swą spokojną pewność siebie: picie z mężczyzną ani trochę ją nie niepokoiło. Znajdowała w tym wyraźną przyjemność. Jej oczy iskrzyły się radością.

— Mimo wszystko — rzekła — taszczyć ze sobą łóżko, kuchnię i toaletę tylko po to, by wypić kieliszek... Bo przecież ma pan to wszystko tam w środku, prawda?

— Pokażę pani.

— No, z czymś takim jest pan w podrywaniu bezkonkurencyjny...

Fabrycy, zbity z tropu jej bezpośredniością, spojrział na nią z tak nieszczęśliwym wyrazem twarzy, że na sekundę wzięła go za rękę:

— Uwielbiam droczyć się z mężczyznami... Ćwiczyłam się w tym z moim starszym bratem. Z ojcem zresztą też.

Odprężona i pełna ufności zaczęła opowiadać mu różne historie. Potrafiła docenić subtelność urodę tego inteligentnego mężczyzny. Powoli, nie zwracając na to uwagi, oboje się upijali. Obrazy z burzliwego życia rodziny Pontevaux, uchodzącego w oczach mieszkańców Foussy za skandaliczne, przesuwają się przed oczyma Fabrycego tworząc wielką powieść.

Namalowany z wielką czułością portret Sandry był niczym olśnienie. To ją właśnie przypominała mu Nana, gdy zobaczył ją kilka godzin temu na placu. Ją właśnie, tę dziewczynę i dziecko zarazem, od której nie mógł oderwać oczu przechodząc przez szkolne boisko. Pontevaux, tak, to na pewno ona. W przyszłym roku mogłaby już właściwie zacząć chodzić na rosyjski. Już teraz Fabrycy zaczął planować strategię, mającą przekonać jej rodziców o słuszności tego wyboru. Szybko jednak wrócił na ziemię: jedną

z jego naczelnych zasad było wystrzeżenie się romansów z własnymi uczennicami. Była to bodaj jedyna zawodowa reguła, jakiej zawsze przestrzegał...

— ...Znacznie wyższa niż dziewczęta w jej wieku — kontynuowała Nana. — Nigdy nie zwrócił pan na nią uwagi w szkole?

— Wie pani, tam jest tyle dziewcząt...

— Nie kręci się panu od tego w głowie?

— Widzę w nich tylko dzieci o mózgach, które trzeba napełnić wiedzą.

— Kłamca!

Ponieważ jej okrzyk poderwał z krzesła barmana, a trzech czekających na wolny stolik w restauracji konsumentów zaczęło im się uważnie przyglądać, Fabrycy zdecydowanym gestem poprosił o dwa następne drinki.

— Kłamca — powtórzyła już ciszej Nana. — Dziewczęta, które uczy pan rosyjskiego, mają piersi jak inne, nie? Czy nie czuje pan zapachu ich włosów, gdy przechodzi pan między ławkami?

Fabrycy w milczeniu przyglądał się rozmarzonym oczom Nany. Uważnie śledził każdą zmianę tonu w jej głosie. Denerwował się, gdy przestawała mówić, by się napić. Jej urok zniewalał go całkowicie, wzbudzał jakąś niezwykłą ekscytację, która zbijała go z tropu i w niczym nie przypominała wzruszeń, jakie znał dotychczas. Ta piękna dziewczyna naprzeciw niego stawała się coraz bardziej podniecająca, w miarę jak opisywała uczucia, które rzeczywiście wzbudzał w nim widok uczennic, uczucia, z którymi walczył jednak z całych sił i których istnieniu kategorycznie zaprzeczał. Nana nieubłaganie rozwijała swą opowieść pełną zmysłowości i niepokoju. Fabrycy nie starał się już nawet wtrącać. Jakiegokolwiek protesty byłyby całkowicie zbyteczne.

Bo w gruncie rzeczy dobrze czuł na sobie ufne lub wrogie spojrzenia dziewcząt w klasie, odgadywał ich komentarze. Wdychał zapach tych młodych kobiet. Diabels-

ka Nana opisywała tę irytującą żądzę, jaka ogarniała go podczas lekcji. Żądzę, nad którą starał się zapanować, zniweczyć ją, lecz która w końcu pchała go w ramiona kobiet zdobywanych bez trudu, bez trudu zaliczanych. Ukradkowe spojrzenia, kokieteryjne lub wyzywające miny, unoszące się podczas siadania spódniczki, nogi założone jedna na drugą w pierwszym rzędzie... Szalone fryzury, którymi potrząsają, gdy nie potrafią odpowiedzieć na zadawane im pytania, dzinsy opięte na pośladkach do granic możliwości, łzy w oczach, gdy dostają złą ocenę, westchnienia, które mogą równie dobrze oznaczać znudzenie lub pożądanie, nowa, rozchylająca się niebezpiecznie bluzka, kupiona być może poprzedniego dnia specjalnie po to, by jej właścicielka mogła na siebie zwrócić uwagę pana profesora...

— Nagie dziewczęta, drogi profesorze, ma pan przed sobą zupełnie nagie dziewczyny!

— Dobrze wiedziałam, że to był tylko pretekst — mówiła, gdy wyjmował ze swej małej lodówki butelkę schłodzonego chablis. — Widzi pan, ja wcale nie jestem pijana. Mogłabym całkiem spokojnie wrócić do domu na motorze. A jestem w tym cygańskim wozie, który wrócił już na swe stałe miejsce pod kasztanowcami otaczającymi teren do gry w kule...

— To nie było zbyt ostrożne z pani strony... Powiedział to automatycznie, wstrząśnięty kontaktem z jej udem. Nana siedziała tuż przy nim na ławeczce w bedfordzie.

Zaraz potem dodał niezręcznie:

— Jeśli wysunie się drugą ławkę, robi się z tego prawdziwe łóżko.

A ona:

— Tak jest bardzo dobrze...

— Będę musiał kupić krem z czarnej porzeczki... Białe wino może nam się teraz wydać zbyt wytrawne.

— To nie ma żadnego znaczenia. Zresztą powinien pan być odwiedzić mnie od razu do domu. Po co przyjechaliśmy tutaj?

— Bedford jest zbyt szeroki, by stać na wąskich uliczkach. A ja chciałem jeszcze przez chwilę zostać z panią.

Nana nie zniechęcała go wcale. Wręcz przeciwnie. Z uśmiechem opadła na poduszki komentując wnętrze motorhome'u. Przeszył ją dreszcz rozkoszy, gdy Fabrycy położył jej rękę na spodniach z miękkiej skóry, delikatnej niczym nagie ciało.

Przestała już mówić. Pozwalała mu działać. Rozłożyła nawet ręce, by ułatwić mu rozpięcie tuniki, a potem bluzki i odkrycie nagich, sterczących wyzywająco piersi. Nagle Fabrycy ugryzł najpierw jedną, a potem drugą z nich. Nana podskoczyła szepcząc gardłowym głosem: „Delikatnie!”, a ręka Fabrycego między jej udami poczuła, jak miękka skóra spodni staje się coraz bardziej gorąca. Jej wilgoć, której istnienia się domyślił, wyrwała mu z gardła jęk jakby cierpienia. Usta zaczęły zsuwać się w dół brzucha.

Kłęcząc na podłodze z ustami na szerokim pasku, z rękami wyciągniętymi w górę i dłońmi na piersiach Nany, Fabrycy znieruchomiał nagle, by zahamować przyływ rozkoszy. Potem wsunął delikatnie rękę pod tunikę i pieszcząc biodra zaatakował przeszkodę w postaci klamry od paska. Nana oddychała tak szybko i głęboko, że spodnie napinały się mocno pod wpływem naprężonego ciała. Fabrycy stał się brutalny i niezręczny. Kiedy w końcu udało mu się rozpiąć tę skomplikowaną klamrę, Nana podniosła się lekko i stanowczym, dziwnie bezbarwnym głosem powiedziała: „Nie!” A gdy Fabrycy, obstając przy swoim, wzrokiem wyraził swój sprzeciw, Nana dodała tym samym pewnym i nie znośnym sprzeciwu tonem:

— Chyba, że mi przyrzekniesz, że we mnie nie wejdziesz.

Na Fabrycego, który był już w stanie mocnej ekscytacji, jej zimna obojętność podziałała jak kubek wody. Zdołał tylko wybełkotać głupio:

— Jesteś dziewicą?

— Niezupełnie, ale potwornie tego nie lubię.

— A poza tym mogę robić wszystko, co chcesz?

— Wszystko, co chcesz.

Kiedy indziej czułby się poniżony koniecznością pytania* w pewnym sensie o zgodę. Ale teraz doprowadzało go to do szczytu podniecenia. I znowu Nana oddawała mu się, pozwalała robić, co tylko chciał. Całe jej ciało wibrowało, falowało, poddane dłoniom Fabrycego, który zdejmował Z niej spodnie dopasowane jak rękawiczka do jej pięknych kształtów; Nana nie miała w zwyczaju robić użytku ani ze stanika, ani z majtek. Tak więc Fabrycy miał wrażenie, że odkleja z niej skórę, która zasłaniała wilgotne wargi.

Kiedy pasek został już zsunięty do połowy ud, Fabrycy przestał zawracać nim sobie głowę. Zresztą bardzo lubił pozory gwałtu czy też miłości na szybko, które stwarzała ta niezupełna nagość. Lecz gdy tylko jego ręka zbyt szybko zaczęła błędzić we wgłębieniu między udami, usłyszał jakby z oddali sprzeciw Nany.

— Nie... Najpierw ustami... I zostań ubrany... Fabrycy jęczał. Jego napęczniały członek uwięziony w spodniach sprawiał mu ból. Lecz potem, w miarę jak jego usta doprowadzały Nanę do szaleństwa, powodowały gwałtowne drgawki i coraz głośniejsze jęki, ból uwięzionego członka zamienił się w rozkosz. Gdy głowa opadła mu w końcu między jej uda nasączone wilgocią, wchłaniając mocny zapach, ciało Nany zaczęło z wolna uspokajać się, jakby na nowo stawało się poddane woli, traciło swą niezależność. Nana z pełną wdzięczności czułością gładziła jego włosy.

— Teraz możemy zostać przyjaciółmi — powiedziała. — Mam do ciebie zaufanie.

— Ależ oczywiście, że będziemy się jeszcze kochać tak jak wtedy — mówi mierząc wzrokiem weterana pijaków z „Cafe du Beffroi”, który zwałił się na krzesło przy sąsiednim stoliku. — Już ci mówiłam, Fabrycy, że jesteśmy przecież przyjaciółmi. A dla mnie przyjaźń bez rozkoszy nie istnieje. Ale mogę kochać się z tobą tylko tak jak z kobietą...

— Albo po prostu z kobietą.

— Oczywiście. Ale lubię także mężczyzn, którzy potrafią zachowywać się jak kobiety, zapomnieć o swoim... No, a teraz, skoro już wszystko wiesz, porozmawiajmy o czymś innym. Czy nie zakochałeś się jeszcze w jednej ze swych uczennic podczas tego tygodnia, gdy się nie widzieliśmy?

— Nie. Jeszcze nie.

— Przyuważyłeś już w końcu Sandrę na podwórku?

— Twoją siostrę? Nie...

— Łajdak, kłamca, hipokryta, masz natychmiast zamówić dwa drinki, bym ci przebaczyła.

— 'Co?

— Sandra wszystko mi opowiedziała. Sądzisz, że małe dziewczynki są ślepe? Od dawna już przecież przychodzisz sterczeć na boisku... Wygląda na to, że masz słabość do koszykówki, czyż nie? Kiedy myślę o tym, jak mówiłeś mi wtedy wieczorem, że dziewczęta ze szkoły są dla ciebie tylko mózgami, które trzeba napełnić wiedzą! Dosłownie! Akurat!

Fabrycy robi na wpół skruszoną, na wpół rozbawioną minę chłopca, który nic zamierza się specjalnie bronić. — Przecież mówiłem tylko o moich uczennicach mówi dając jednocześnie znak kelnerce, żeby napełniła kieliszki.

— Tak... A więc teraz już wiesz, jak wygląda Sandra?

— Uhm...

— Co o niej myślisz?

— Wspaniała.

— Lepsza ode mnie?

— Ciało masz znacznie lepsze ty.

— Ale twarz ona, tak, wiem o tym. Bardziej delikatna? Piękniej wykrojone usta, bardziej wydatne, bardziej zmysłowe i pełne zdecydowania... Na pewno też zauważyłeś, że jest bardziej kobieca, ma węższe ramiona. Oczywiście, ma dopiero dwanaście lat, ale już teraz widać doskonale, co z niej wyrośnie. Uwielbiam ją od czasów, gdy była zupełnie maleńka, jestem w niej zakochana. Jeśli będziesz miły, to zaproszę cię kiedyś do nas do domu... Czemu się śmiejesz?

— Dobrze mi z tobą, Nano.

— Mnie też. Jestem strasznie leniwa, w ogóle nie byłam w liceum, ale lubię inteligentnych mężczyzn. Sandra ma wielkie szczęście, że będziesz ją w przyszłym roku uczył.

— Musiałaby zapisać się na rosyjski.

— Zrobi to. To się bardzo spodoba memu ojcu. Rosyjski to w Foussy coś całkiem nowego. A ponieważ mój ojciec jest, co tu dużo mówić, snobem... Wiesz, my naprawdę jesteśmy w tym mieście jakimiś odmieńcami. Spójrz!

Mściwym gestem wskazuje na klientelę „Cafe du Beffroi”: licealiści obojga płci, stłoczeni przy drzwiach w licznych, hałaśliwych grupach, rzucający w stronę Fabrycego i Nany posepne lub szydercze spojrzenia, drobni rentierzy siedzący przy pustych kufiach, w których wysycha piana, rolnicy, którym nie chce się wracać na fermę, więc odurzają się kolejnymi butelkami wina, poklepując od czasu do czasu dla spokoju sumienia wielką torbę, pełną artykułów żelaznych, usprawiedliwiających wyprawę do miasta...

— To strasznie zniechęca — mówi Nana. — Ale staram się tym nie przejmować. My, rodzina Pontevaux, tak naprawdę jesteśmy znikąd. Jesteśmy Pontevaux po prostu. To wszystko.

— Dumna jesteś ze swej rodziny...

— To najwspanialsza rodzina na świecie.

I widząc, jak uśmiecha się, wzruszony tym naiwnym wyznaniem, Nana dodaje:

- Wiesz, jak my, dzieci, nazywamy ten dom? Dom szczęścia!
- To piękne — mówi Fabrycy poważnie.
- Można by także powiedzieć „dom wolności”. Ale gdyby mój ojciec nie prowadził poważnych interesów, nikt w okolicy pewnie by z nami nie rozmawiał. Wszędzie powtarzano by tylko, że moja matka sypia z kim popadnie, co nie jest do końca prawdą, że mój ojciec jest starym łajdakiem, że Wilhelm, mój brat, zrobił dzieci wszystkim studentkom w Dijon, że moja starsza siostra Sylwia w tym samym mieście jest prostytutką, że mój brat Wawrzyniec onanizuje się w miejscach publicznych i że Sandra pozuje do pornograficznych zdjęć, czemu nie? Ludzie nie cierpią ani wolności, ani szczęścia.
- Mam coraz większą ochotę poznać twoją rodzinę.
- Tak, tak... możesz być spokojny, Sandra będzie się uczyć rosyjskiego.

5

„Delikatna — z pozoru krucha — w głębi zaś silna — zabawna — zuchwała — figlarna — marzycielska.

Ciekawa swego ciała i ciał innych.

Ale przede wszystkim PIĘKNA, PIĘKNA, PIĘKNA."

Sandra obraca w dłoniach połówkę kartki, jak gdyby jej błękitna powierzchnia, prosta linia przedarcia, trochę pochyłe w lewo pismo i czarny atrament pióra o szerokiej stalówce mogły jej odsłonić tę niewiarygodną tajemnicę, wziętą jakby żywcem z najbardziej dziwacznych opowieści znajdujących się za zielonym Buddą.

Czy ma pokazać ten dziwny liścik swej najlepszej przyjaciółce Zofii? Trzeba się nad tym dobrze zastanowić. To może być przecież także jej dowcip. Ona byłaby do tego zdolna. Któż inny wpadłby na pomysł, by przykleić kartkę pod stolikiem Sandry za pomocą miętowej gumy do żucia? Ale prawdą też jest, że podczas przerwy byle kto może wejść do klasy...

— Ogarnia mnie jakiś cudowny niepokój — szepce przywołując z pamięci zdanie przeczytane w książce, która wypada jej właśnie z rąk.

Jest to jedna z licznych książek znajdujących się na półkach oficjalnych — klucz więc jest do nich niepotrzebny — ogromnej biblioteki Franciszka Pontevaux. Właściciel prawie nigdy z nich nie korzysta.

— ...Cudowny niepokój, tak. — W końcu dochodzi do wniosku, że liścik może pochodzić tylko od chłopca. Chociaż, jak mawia Nana, wielkimi kochankami często bywają kobiety. Instynkt jednak podpowiada jej, że musi to być mężczyzna.

Zna już ten tekst na pamięć. Każde słowo rozpala jej ciało. Czerwieni się przy każdym powtórzeniu przymiotnika „piękna”.

W zeszłą niedzielę została w domu sama z rodzicami. Po spojrzeniach, jakie między sobą wymieniali, domyśliła się, że mają zamiar po obiedzie iść do łóżka. Kiedy byli już w swojej sypialni, Sandra wyraźnie usłyszała adresowane do Antoniny słowa Franciszka: „Jesteś piękna”. W oczach zakreśliły jej się łzy na myśl o ich ciągłym, nie gasnącym, wzajemnym pożądaniu. Chciała uścisnąć ich oboje, by podziękować im za atmosferę i styl życia domu, w którym wzrastała...

Hieronim! Dlaczego nie pomyślała o nim wcześniej? Naturalnie, ten liścik może pochodzić tylko od Hieronima. Od pewnego czasu jej przyjaciel z dzieciństwa wygląda i zachowuje się dziwnie podczas spotkań na korytarzu lub gdy podchodzi do niej na przerwie, opuszczając przedtem grupę głośno śmiejących się chłopców ze starszych klas. Poza szkołą zaś nie widują się wcale. Nie mają już wspólnych zabaw. Jest tak, jakby niewiele mieli sobie do powiedzenia. Sandra czasami tego żałuje. Ale Hieronim wygląda już teraz jak młody mężczyzna, w dodatku dandys, w tych swoich czarnych spodniach, szarej marynarce i czerwonym krawacie na tle błękitnej koszuli... Ona czuje się przy nim jak dziecko. Co z tego, że wszyscy jej mówią, że wygląda na starszą, niż jest, skoro i tak nie może sobie wyobrazić wspólnej z Hieronimem przechadzki po starym mieście, podczas której trzymaliby się za ręce. Wyglądałoby to tak, jakby spacerował z młodszą siostrą. Nawet Franciszek przestał się już droczyć ze swą córką, mówiąc

o nim „twój narzeczony” i żartując o „weterynarzach, którzy pomagają przy porodach krowom i robią ładne dzieci, jak ten twój Hieronim...”

Jeszcze raz Sandra powtarza sobie w pamięci treść tajemniczego listu. Czuje się cudownie. Dobrze jest czuć się rozumianą i kochaną...

— A więc podsumujmy — mówi Sandra sama do siebie — założmy, że ktoś stara się mnie zrozumieć i pokochać... Czy rzeczywiście taka jestem piękna? A reszta, subtelna, silna i tak dalej? Tak, wszystko to musi być bez wątpienia prawdą...

— Dostałaś miłosny liścik?

Sandra podrywa się z miejsca. Oparta o filar na korytarzu nie usłyszała zbliżającej się Zofii.

— Czytaj — mówi, decydując się nagle na wyjawienie przyjaciółce tajemnicy.

— To może być tylko Hieronim — mówi natychmiast Zofia.

— Wszystko dokładnie przeczytałaś?

— Tak...

Potrząsa swymi ciemnymi lokami. Jej czarne oczy błyszczą z podniecenia.

— Idzie wiosna. Budzą się gorące uczucia.

— Gdzie to przeczytałaś?

— Sama wymyśliłam.

— A więc jak, budzą się w tobie gorące uczucia, jak mawia Zofia?

Hieronim kładzie rękę na ramieniu Sandry:

— Rośniesz tak szybko...

— Weź tę rękę, przypominasz mi pana Marshalla.

— Co to za jeden?

— Klient mojego ojca. Zawsze, gdy przychodzi do sklepu, jest oparty na swojej żonie, jak na .lasce.

Ona jest bez znaczenia, nikt jej nie zauważa, przedmiot po prostu... On jest gruby, czerwony i strasznie ciężki. Posługuje się

swoją żoną niczym laską. Zresztą wszystkie małżeństwa stają się takie po jakimś czasie, nie? Albo uciekają od siebie.

— Twoi rodzice przecież wcale tacy nie są. Moi także nie.

— A moi owszem — wtrąca idąca za nimi Zofia. Ścieżka biegnąca wzdłuż strumienia zwięża się. Na brzegu rosną drzewa. Wkrótce Sandra i Hieronim także muszą iść gęsiego.

— Średnio zabawne, taka przechadzka jeden za drugim.

— Już prawie jesteśmy na miejscu — mówi Hieronim. Rzeczywiście, widać już sterczące skały, które schodzą

aż do strumienia tworząc płaską, gładką powierzchnię.

— Czuć już nadchodzące lato — mówi Sandra. — Kamienie są już ciepłe.

Kładzie się na brzuchu i wyciąga ramiona. Dłonie opiera na gładkim kamieniu. Nagimi nogami pociera o delikatną szarą skalę.

Siedzący obok niej Hieronim przygląda się wodzie.

— Im jesteś starszy, tym mniej mówisz — odzywa się leniwie Sandra, patrząc w jego kierunku.

— Czyżby kiedyś mówił więcej? — pyta cierpko Zofia.

— To był prawdziwy gaduła. Jak młyn do mielenia słów.

— Raczej do mielenia legend. Opowiadałem ci przecież ciągle historyjki małych dziewczynek...

— Historyjki dla małych dziewczynek — poprawia Zofia.

Wybuchają głośnym śmiechem. Sandra wtóruje jej. Obie ni z tego, ni z owego śmieją się jak szalone, zostawiając Hieronima samemu sobie.

— No, nie rób już takiej miny — mówi w końcu Zofia. — Zresztą ja już idę. Zostawiam was samych. Przyszłam tylko po to, by uniknąć niedzielnego spaceru z rodziną. Teraz, gdy już sobie poszli, wracam do domu.

— Nie, zostań — mówi rozkazująco Sandra. Po czym dodaje, uśmiechając się rozbrajająco do Hieronima: — On nie ma mi już więcej nic do powiedzenia, wszystko napisał.

— No właśnie — mówi Zofia — może teraz chce przejść do czynów.

Szalony śmiech wybucha na nowo. Zofia kładzie się obok Sandry. Oczarowany zestawieniem kolorystycznym ich włosów Hieronim mówi cicho:

— Można by powiedzieć kruk na tle zboża.

— Urocze! — wykrzykują chórem dziewczęta.

Ich głośny śmiech sprawia, że przestraszone ptaki milkną w trzcinach, wydają się cicho snuć jakieś plany, po czym odlatują głośno trzepocząc skrzydłami.

— Hieronim — wzdycha Sandra — powiedz mi, że mnie kochasz.

Oddycha spokojnie. Nie śmieje się już. Duży czternastoletni chłopiec nigdy tak mocno jak w tej chwili nie czuł się przy niej jak małe dziecko.

— Gdy tylko dwie dziewczyny zejdą się razem, zawsze jest to samo — mruczy zażenowany.

Potem dodaje:

— I dlatego właśnie jestem sam.

— Oto uroczysty Hieronim — mówi Sandra. — Hieronim na wielkie okazje. Zawsze w takich momentach robi na mnie duże wrażenie.

Podnosi się trochę, chwytą go za ramię, przyciąga do siebie i mówi, naśladowując ironiczny ton głosu Marii Dubois z filmu, który widziała wczoraj:

— W twoim wieku zawsze jest się samotnym. Jesteś za młody, żeby się ożenić.

— Ale mógłbym mieć dziewczynę.

— Masz duży wybór?

— Niemały.

— Ale żadna nie jest tak piękna jak ja, prawda?

— Owszem — odzywa się Zofia — ja. Ale ja nie jestem do wzięcia.

— A poza tym brakuje ci mojej wyzywającej zmysłowości.

— Powiedziałabym nawet zmysłowości orgiastycznej.

— To słówko też sama wymyśliłaś?

— Nie. Znalazłam je w książce pod tytułem: *Od ust po pleć, od śmiechu do orgazmu*.

— Kiedy sobie myślę, że masz dopiero dwanaście lat — wzdycha Hieronim. — Żebyś choć była taka duża jak Sandra...

Hieronim obraca się twarzą do słońca. Wsuwa rękę pomiędzy skałę a piersi Sandry, która nie protestuje. Czarne oczy Zofii uważnie śledzą każdy jego ruch. Po południowe słońce zapowiada już nadejście lata. Sandra oddycha coraz szybciej i głośniejsze. Hieronim zamyka oczy, by poddać się czarowi chwili.

Jego dłoń zsunęła się aż do brzucha. Sandra jęczy cichutko. Z niezwykłą, nierzeczywistą czułością, która jakby zjawiała się gdzieś z oddali, Hieronim recytuje:

— Delikatna — z pozorów krucha — w głębi zaś silna — zabawna — zuchwała — figlarna — marzycielska — ciekawa swego ciała i ciał innych...

Zofia uśmiecha się porozumiewawczo. Zespolona ze skałą, na której leży, wkłada sobie rękę między uda. Pieści się. Hieronim patrzy na nią ciekawie. Jej podniesiona spódnica lepiej jeszcze odsłania uda niż szorty Sandry. Hieronim wstrzymuje oddech, by nie stracić ani sekundy z widoku rozkoszy swoich przyjaciółek. Kamienny okrąg i spokojna woda, czarna, tajemnicza, lecz nie budząca niepokoju znaczą granice tego ogromnego łóżka pod gołym niebem, na którym budzą się pragnienia dziewcząt.

— Wystarczy — szepcze.

— To ty powiedziałeś — replikuje tym samym tonem Sandra.

— Niech ci będzie — dorzuca Zofia.

I dziewczęta znowu zaczynają się śmiać, jakby wyzywa¹ jąco tym razem.

Trzy ciała między skałami a niebem rozkoszują się słońcem.

— Oto mamy wakacje — mówi Hieronim.

Ziewa, drapie się po głowie, odgarnia do tyłu włosy, po czym pyta tragicznym tonem:

— Co robimy?

— Kto „my” — pyta Sandra. — Ty, ja, Zofia? Kto?

— My troje.

— Bo ja ci już nie wystarczam?

— Sandro, jesteś piękna, piękna, piękna, kocham cię. Kładzie się na niej, by gestem tym podkreślić, znaczenie

słów, po czym zrywa się, biegnie w stronę rzeki i rzuca się do niej w ubraniu.

— Ratujmy go! — krzyczy Sandra. Tak, jakby się naprawdę topił!

Trzymając się za ręce dziewczęta biegną do czarnej wody, z której wynurza się, unosząc w górę ramiona, Hieronim, ciężki od kompletnie przemoczonego ubrania.

— Proszę bardzo — mówi. — Dżinsy, koszula, i już waży się trzy tony!

— Rozbieraj się. Trzeba to wysuszyć!

I razem, śmiejąc się ze swej nad nim przewagi, rozbierają swego mokrego mężczyznę.

Rozkładają jego mokre ubrania na ciepłych kamieniach z minami zaaferowanych gospodyń domowych. — Co robi teraz twoja matka? — pyta Sandra.

— Dlaczego?

— Byłaby zadowolona widząc, jak się tobą opiekujemy.

Słońce grzeje coraz słabiej, a oni ciągle jeszcze mają sobie do powiedzenia tysiące głupstewek.

Latające dotychczas kruki zaczynają siadać na czarnym drzewie.

— To drzewo uschło — mówi Hieronim. — To widać.

— A poza tym — podśpiewuje Sandra w rytm wyliczanki — kruki są ptakami śmierci i sprawiają wrażenie smutnych nawet wtedy, gdy świeci słońce...

— To głupie — mówi Hieronim. — Ja bardzo lubię kruki.

— A ja wolę sroki.

I znowu powiedziały to obie jednocześnie.

— Mój ojciec ma trzy gadające sroki — mówi Hieronim.

— Nigdy mi ich nie pokazywałeś — odzywa się Sandra.

— Bo nie przychodzisz już do nas. Nie wiesz nawet, że mamy szympansy bliźniaki.

— Przyjdę zobaczyć.

— Zofia też może przyjść, jeśli chce.

— Chcesz? — pyta Sandra.

— Chcę tego, co ty.

— Mnie jest obojętne.

— No to nie obejrzycie małp.

— Widziałyśmy ciebie, to wystarczy — mówi Sandra. RzUCA mu się w ramiona i mruży oczy:

— Jesteś piękniejszy od najpiękniejszej małpy!

— I nie ma czerwonego tyłka — dodaje Zofia. Obejmuje ich obydwójce i zanurza twarz we włosach Sandry:

— Ty nie nadajesz się na małpę. Jesteś blondynką i ładnie pachniesz.

— To dlatego, że w dzieciństwie jadłam dużo karmelków.

— Nie jest jeszcze tak późno — mówi Hieronim. — Wrócimy, jak słońce zajdzie za wzgórze.

— Ale tu nie ma żadnego wzgórza. — No właśnie. Wrócimy, jak nie będzie już słońca.

— Uważasz, że jesteś sprytny? Bo mnie się wydaje, że mówisz od rzeczy

— To dlatego, że jestem zakochany.

— We mnie? — pyta Zofia.

— W Sandrze przede wszystkim. W tobie też, jeśli ona się na to zgodzi. Opowiem wam historyjkę.

— Niezbyt długą?

- Bardzo krótką. Jest dziewczyna, która w klasie ciągle za mną łązi: Nie żartuję, tak wykombinowała, żeby na każdej lekcji siedzieć ze mną.
- To ta duża, która trochę zezuje?
- Tak, to ona. Kiedy zapytałem ją pewnego dnia, dlaczego chce za wszelką cenę siedzieć koło mnie, zważywszy, że nie mamy sobie wiele do powiedzenia, ani ze sobą nie chodzimy, ani nic...
- No i co?
- Ona wtedy odpowiedziała mi: „Z tobą nic nie ryzykuję. Jesteś taki jak ja, też czekasz na wielką miłość”.
- Być może wielka miłość rzeczywiście istnieje — mówi Sandra.

CZĘŚĆ CZWARTA

1

— To niewiarygodne, że mając już tyle lat po raz pierwszy lecę samolotem — mówi Sandra. Z nosem przyklepionym do okienka przesuwam się trochę, by pokazać przyjacielom cudowny krajobraz w dole.

— I właśnie dlatego dostałaś miejsce przy oknie — mówi Hieronim.

Siedzi dumnie, niczym turecki pasza, pomiędzy siedzącą tuż przy przejściu Zofią a przyklepioną do okna Sandrą. Patrzy z zachwytem na olśniewająco białe chmury i przygląda się morzu, do którego samolot zbliża się coraz bardziej.

— Widzisz — mówi do Sandry — Antibes to już tutaj. Dom powinien być gdzieś, o tu, między drzewami.

— Na skraju przylądka?

— Prawie.

— No, to jesteśmy już na miejscu.

— Nie, nie! Najpierw wylądujemy w Nicei. Potem weźmiemy taksówkę, bo żadne z nas nie może jeszcze prowadzić samochodu.

— A potem, przez te trzy tygodnie?

— Będziemy jeździć na rowerach. W garażu jest ich co najmniej kilka. Lokatorzy korzystają z nich w sierpniu. Na pewno są w dobrym stanie...

Doktor Paul otrzymał dom w Antibes w spadku po swojej ciotce. Spędza tu, wraz ze swą żoną, cały lipiec. W sierpniu natomiast wynajmuje go, by zwróciły mu się koszty utrzymania domu. A we wrześniu, gdy słońce jest najpiękniejsze, wypożycza go Hieronimowi i jego przyjaciołom:

— Opalisz się trochę przed powrotem do szkoły. Ale po wakacjach w Anglii dom z pewnością nie wyda ci się zbyt ekskluzywny.

Franciszek Pontevaux, by nie być gorszym, zafundował Hieronimowi i Zofii bilety lotnicze.

Julek, kolega Hieronima ze wspólnych wakacji w Anglii, dołączy do nich bezpośrednio z Aixen-Provence, gdzie mieszka na stałe. Sandra, która wkrótce skończy trzynaście lat, czuje się odurzona myślą o czekających ją wielkich odkryciach.

Odkryciach nowych aspektów życia, po prostu.

Poprzedni miesiąc spędziła z matką i Naną w Bretanii. Wawrzyniec w ostatniej chwili wystawił je do wiatru, zapisując się na obóz alpinistyczny. Gdy tylko zaczynało świecić słońce, Sandra biegła do morza, rzucała się na fale niczym delfin, szalała w wodzie krzycząc z radości, a potem biegała aż do utraty tchu po plaży pełnej białego piasku. Nana odkryła w pobliżu stadninę koni. Obie z wielką radością przemierzały więc konno wrzosowiska. Wiatr rozwiewał im włosy, a jego słone podmuchy drażniły im nozdrza.

Natomiast od Morza Śródziemnego Sandra oczekiwała innych przyjemności. Stare afisze P. L. M., które niedawno znowu zaczęły być modne, mówiły jej o lazurowym niebie i egzotycznych palmach. W samolocie do Nicei Sandra nie czuła się ani odrobinę bardziej obco niż w pociągu wiozącym ją do Quimper.

— Jak tylko opuszczę Foussy, wszystko gra.

— Będziesz zadowolona, gdy tam wrócisz — odpowiada nagle, jakby rozmarzony Hieronim. —

Istnieje tysiące

dróg, którymi odejść można od swego dzieciństwa, ale zbyt gwałtowne odjazdy nie są spośród nich drogą najlepszą...

Franciszek Pontevaux, który skorzystał z okazji spotkania ze swym paryskim klientem, by odwiedzić Sandrę i jej przyjaciół na Orły, pomyślał, że Hieronim jest niezwykle rozsądnym chłopcem.

— Gdy będziemy wracać, zatrzymamy się na dwa, trzy dni w Paryżu — oświadczyła Sandra. — Przyjedziesz po nas. tatusiu, prawda'⁷

— jeszcze nawet nie jesteś w samolocie do Nicei, a już myślisz o Paryżu w drodze powrotnej.

- Bo tak rzadko tam jeździmy. I zawsze jak po ogień.

Peugeot 504 diesel, który niedawno zastąpił swego starszego brata, wykończonego tonami transportowanych starzejących mebli, mijał sznur starych samochodów jadących na konkurs przedwojennych pojazdów w Dijon. Sandra zaczęła rozmyślać o ówczesnych strojnisiach. dzisiaj już babciach, które prowadziły te antyki iub przynajmniej dumnie siedziały u boku nadzianych forsów dżentelmenów, i nagle posmutniała, ogarnięta jakąś dziwną, niewytłumaczalną melancholią.

Lotnisko w Nicei przesiąknięte jest egzotyką w równym stopniu co nazwy na mapach, które zawsze rozbudzały w Sandrze marzenia: Valparaiso, Caracas, Kalkuta... Huk odrzutowych silników zdaje się wprawiać w kołysanie rosnące tu palmy. Hieronim, całkiem tu rozluźniony, pcha wózek z bagażami i prowadzi dwie malc-duże dziewczynki do taksówki, którą przywołuje władczym gestem.

Dziewczęta patrzą na to z podziwem.

— Facet to całkiem praktyczny wynalazek — mówi Zofia.

— Ten zawsze był dla nas miły — dodaje Sandra.

— I skuteczny w działaniu.

Aż do samego Antibes Sandra nie odzywa się już słowem. W powietrzu odnajduje nowe, nieznane jej dotychczas-

czas zapachy. Taksówkarz wygląda na starego alkoholika. Rzuca w lustro wrogie spojrzenia skierowane na tę trójkę szaleńców, których bierze za paryżan, i to w dodatku, zważywszy podany adres, pochodzących z bogatych rodzin. Nie lubi dzieci w ogóle, a ci tutaj są w dodatku śliczni i grzeczni, wyzywający aż tą swoją cichą uprzejmością.

Jedynie nadzieja na wysoki napiwek nie pozwala mu zrzucić walizek na ziemię przed wejściowymi drzwiami.

Są to wysokie drzwi z drewna pokrytego lakierem i ozdobionego czarnymi gwoździami o dużych kwadratowych główkach. Wysoki mur wokół domu najeżony jest pikami przerobionymi na ornament z kutego żelaza.

— Więzienie albo harem — mówi Sandra. Po czym dodaje:

— Śmieszne, że do tego wszystkiego jest taki mały kluczyk.

Jest to złoty klucz, który Hieronim zawiesił sobie na szyi na złotym łańcuszku.

— Moglibyśmy zadzwonić, bo przez cały rok mieszka tutaj stróż — mówi. — Ale lepiej dać im od razu do zrozumienia, że jesteśmy tu u siebie i możemy się bez nich obejść. I że potrzebujemy ich właściwie tylko do sprzątnięcia.

— Jak ty to robisz, że udaje ci się myśleć o tym wszystkim naraz? — zachwyca się Sandra.

Dozorczyńni wita ich gorąco. Pan dzwonił przed chwilą z Foussy sądząc, że dzieci już przyjechały. Jej mąż jest gdzieś w parku. Ma masę pracy przy kwiatkach. Dzieci sierpniowych lokatorów wyrządziły dużo szkód. Trzeba to wszystko teraz doprowadzić do porządku.

— Ale wy, na szczęście, jesteście już duzi — mówi śmiejąc się nienaturalnie — niczego więc nie zepsujecie.

— Mamy co innego do roboty, niż niszczenie kwiatów — mówi Sandra.

Kobieta chce wziąć walizki Zofii i Sandry, ale dziewczęta chwyciły już za nie dziarsko. Idą za Hieronimem

wzdłuż zwirowanej alejki, która toruje sobie drogę pomiędzy niezwykle bujną tu roślinnością. Widać już biały dom. Jest to dwupiętrowy budynek z lat dwudziestych, z wieloma tarasami oraz pergolą. Jego staroświecki wygląd wprawia Sandrę w zachwyt.

— Basen wybudowany jest niedawno — mówi Hieronim. — Kazał go zrobić mój tato, gdy odziedziczyliśmy ten dom.

— Czy to twój dziadek tutaj mieszkał?

— Nie, moja ciocia-babcia. Ale ona nie miała żadnych innych spadkobierców... Mieliśmy szczęście. Domy takie jak ten już prawie nie istnieją... Zostawimy walizki w przedpokoju, bierzemy stroje kąpielowe i biegniemy do basenu! Pokoje obejrzymy później. Poprosiłem, by przygotowano nam pokoje wychodzące na ten sam taras. Z widokiem na morze.

— A gdzie ono właściwie jest?

— Tam, w dole. Trzeba zejść tymi stromymi schodkami.

— Jest tam piasek?

— Nie, płaskie skały. Jak wokół naszej rzeczki. Śmieją się bezwstydnie, jak dorośli. Nagle Hieronim mówi poważnie:

— To nie jest najlepsze miejsce. Często kotwiczą tu jachty, by oglądać krajobraz. A w wodzie jest pełno jeżowców. Zresztą same zobaczycie. W każdym razie lepiej korzystać z basenu.

— Mimo to pójdę popływać w morzu — mówi Sandra. — Czy w basenie możemy kąpać się nago?

— To trochę krępujące ze względu na dozorców. Biust jeszcze ujdzie, ale reszta...

— On jest bardziej surowy niż prawdziwy ojciec — mówi Zofia.

Obie dziewczyny mają takie same błękitne majteczki od strojów kąpielowych. Porównują swoje opalenizny. Hieronim, który jest zupełnie biały, mówi, że wrzesień pokona skutki lata spędzonego w Anglii.

— Będziemy całkiem czarni, zobaczycie, z jednym tylko miejscem białym, tam, gdzie trzeba...

Jednym i tym samym, skoro nie zamierzacie nosić staników...

Zanurzają się w wodzie, która z początku wydaje im się bardzo zimna. Potem gorące lato ponownie bierze w posiadanie ich ciała, a oni, płynąc na wznak z zamkniętymi oczami, dryfują ku sobie.

Ocierają się o siebie bezwolnie, niczym unoszone falami szczątki rozbitego statku. Starają się nie ruszać czekając, aż kolejna lekka fala rozdzieli ich ciała. Nie starają się nawet odgadywać, kto jest kto. Wiedzą.

Skacząc niczym kozica po ścieżce biegnącej wzdłuż stromego brzegu, która następnie zmienia się w schodki prowadzące do morza, Sandra odkrywa skalistą plażę. Pokryta prawie idealnie płaskimi kamiennymi płytami w niczym nie przypomina opisu Hieronima pesymisty. Błękitna woda, niezwykle przejrzysta jak na Lazurowe Wybrzeże, jest kryjówką niewielu, jak widać, perfidnych jeźowców. Zakamarki w skałach tworzą kryjówki, w których schronić się można nawet przed morzem.

Skalista plaża jawi się Sandrze jako szeroki taras twierdzy nie do zdobycia. Oby tylko można było się uchronić od marynarzy amatorów. Skała bowiem, na której stoi dom, wystarczająco zniechęca do tych okolic spacerowiczów.

Sandra, w swych maleńkich majteczkach kąpielowych, rozkłada się na skałach. Nagie piersi wystawia do słońca. Żałuje bardzo, że nie może otworzyć zardzewiałych drzwi do składziku na łódki, mieszczącego się w skalnej jaskini, do której dobudowano betonową ścianę. Koniecznie musi pamiętać, by poprosić dozorcę o klucz. Co tam można znaleźć? Już zwykły kajak nie byłby zły.

Wyobraża sobie, jak siedzi na dziobie, dowodząc wiosłującymi przyjaciółmi, Zofią i Hieronimem...

W stronę plaży płynie łódź. Sternik zwalnia najpierw, potem całkiem się zatrzymuje, ale kotwicy nie zarzuca.

Jego towarzysz reguluje marynarską lornetkę i bez cienia zażenowania zaczyna przyglądać się Sandrze. Onieśmielona dziewczyna sama nie wie, czy ma schować się za skałę, czy też zostać na miejscu, sprawiając tym przyjemność mężczyźnie z lornetką. **Ze** zdumieniem uświadamia sobie, że kocha swe piersi i jest szczęśliwa, gdy inni je podziwiają. Lornetka jest ogromna. Jak też może wyglądać jej młodzieńcze ciało przez te iskrzące się szkła?

Jacht zaczyna zbliżać się powoli do skalistej plaży. Podpływa tak blisko, że śruby napędowe są ledwie zanurzone w wodzie. Jeszcze trochę, a osiadą na dnie. Wysoki blondyn opuszcza w dół wiszącą mu na szyi lornetkę.

— Hello!

— Hello — odpowiada Sandra starając się nadać temu banalnemu pozdrowieniu jak najbardziej angielski akcent.

— Dasz się namówić na przejażdżkę?

Ten człowiek mówi bardzo dobrze po francusku, ale z akcentem, który rozśmiesza Sandrę. Tak bowiem mówią Laurel i Hardy.

— Popłyniemy do Antibes, a potem cię odwieziemy z powrotem, zgoda?

— Muszę najpierw zawiadomić moich przyjaciół.

— Nie warto. Wrócimy najpóźniej za kwadrans... Następnym razem ich także zabierzemy.

Jacht kołysze się tuż przy skale. Nie przejmując się ani przez moment swą półnagością, Sandra wskakuje na ławeczkę z niebieskiego plastiku. Zaraz po opuszczeniu płytkiego dna, sternik dodaje gazu. Dziewczyna kurczowo trzyma się uchwytu przymocowanego do tablicy rozdzielczej. Blondyn stoi tuż przy niej. Sandra czuje chwilami jego członek tuż przy swoich pośladkach. On nazywa się Dermott. Jest Irlandczykiem jak i jego przyjaciel. John, milczący sternik, arogancki albo nieśmiały, spojrział na Sandrę tylko raz. W jego spojrzeniu odczytać można było, iż wydaje mu się, że Sandra jest bardzo młoda.

Sandra zastanawia się, dlaczego przyszło jej do głowy,

że oni muszą być homoseksualistami. I, co dziwne, myśl ta, zamiast dodać jej odwagi, wprawia ją w niepokój. Przychodzi jej na myśl stary żart opowiadany podczas przerw: co z tyłu najbardziej przypomina czternastoletniego chłopca? Odpowiedź: trzynastoletnia dziewczynka.

A jednak John bierze kurs na Antibes właśnie, a nie na jakieś bezludne wybrzeże, których pewnie tu pełno. Większość jachtów we wrześniu stoi już na przystani. Ustawione w rzędzie ciągną się hen w dal, mieszają się ze sobą, wydaje się, że zachodzą jeden na drugi.

— Złudzenie optyczne — ponuro wyjaśnia John.

— Podoba ci się? — pyta Dermott.

Sandra zastanawia się, czy pyta o szybkość jachtu, piękno lazurowych pejzaży, czy też o nacisk swego członka na prawie nagie pośladki Sandry. Na pytanie, dlaczego się śmieje, nie może przecież odpowiedzieć, że dlatego, bo zastanawia się, czy jego nabrzmiały członek wystaje już poza kąpielówki, czy nie... „Kolejny żart źle wychowanej uczennicy, zarzuca sobie samej. Co się ze mną dzisiaj dzieje? Czyżby szkodziło mi śródziemnomorskie powietrze?”

Przesuwa się jeszcze bliżej tablicy rozdzielczej, by wyzwolić się z nacisków Dermotta, ale wszystko to na nic.

Młodzi mężczyźni z wyraźnym rozbawieniem przedstawiają Sandrze w jednym ze sklepów z antykami na starym mieście seniora homoseksualistów z Antibes,

Zgodziła się z nimi napić, mimo iż obiecali jej, że najpóźniej za pół godziny odstawią ją na maleńką plażę należącą do willi.

— Mój ojciec także sprzedaje antyki — mówi do ubranego na biało staruszka, którego wychudzona postać przystrojona jest fantazyjnym, szerokim krawatem w kolorze mocnego różu.

Marszand w niczym nie jest jednak podobny do Franciszka Pontevaux. Pełno w nim przebiegłości i obłudy. A także złośliwego humoru:

— To dziecko jest zachwycające — mówi — ale co właściwie chcecie z nią zrobić?

Wtedy do rozmowy włącza się Sandra mówiąc zdecydowanym tonem, że jakiegokolwiek inne zajęcia poza przejażdżką łodzią są całkowicie wykluczone.

Potem dodaje z naciskiem:

— Moi przyjaciele widzieli z tarasu, jak odpływam. Na pewno zapamiętali numery rejestracyjne...

— Można by rzeczywiście pomyśleć, że chcemy ci wyrzucić jakąś krzywdę — mówi starzec. — Nic z tego, bądź spokojna. Ci młodzi ludzie są zupełnie nieszkodliwi. Wzięli cię z sobą jedynie dlatego, że jesteś bardzo dekoracyjna.

Sandra, patrząc z wysokości murów obronnych Antibes na morze, zachwyca się pięknem niezwykle widowiska: uczestnicy regat rozwinęli już żagle. Nadęte, niczym olbrzymie kwiaty, żaglowce ruszają w drogę. Sandra popija wolno swoją oranżadę myśląc równocześnie, że na wybrzeżu znacznie łatwiej niż gdzie indziej zawiera się znajomości. Ale mimo wszystko nie czuje się zbyt dobrze z tymi młodymi ludźmi. Czy spodobaliby się Hieronimowi i Zofii?

Bardzo w to wątpi.

Z patio, które wychodzi na umieszczony na murach obronnych taras, wyszły dwie kobiety. Jedna, o ciemnej opaleniznie i ciemnych włosach, wysuszona przez nadmiar słońca, ma na sobie szerokie spodnie opinające agresywne pośladki oraz boalerko, które bynajmniej nie kryje szczątkowej postaci jej piersi. Druga zaś dla kontrastu ma szeroko rozpiętą, błękitną bluzkę odsłaniającą wspaniałą biust. Spod dzinsowej spódnicy wystają jakby zbyt chude nogi.

Ona właśnie zaczyna najbardziej nadszkakiwać Sandrze. Paula, bo tak wszyscy ją tu nazywają, chce za wszelką cenę zatrzymać ją na kolację. Proponuje, że zadzwoni do willi, by uspokoić przyjaciół. Aż wreszcie, gdy Sandra ciągle stawia opór, chce pojechać po Hieronima i Zofię.

Starzec i młodzi mężczyźni wymieniają spojrzenia, jakby przygotowywali jakiś spiszek.

— Chcę wracać — mówi Sandra.

Nagle ogarnia ją lęk. Przypominają jej się czytane historie o narkotyzowanej oranżadzie i innych pułapkach na dziewczęta. Dermott i John nie wydają się chętni do powrotu na łódź, która kołysze się lekko na wodzie u stóp muru. Szczyt idiotyzmu, nie ma przy sobie ani grosza. Nie może nawet wziąć taksówki. Tak więc propozycja Pauli, by jechać po Hieronima i Zofię wydaje jej się najbardziej sensowna. Tak, to najlepsze rozwiązanie. Gdy będą już na miejscu, Sandra wymyśli migrenę, by nie wracać do Antibes...

Gdy są już w małym samochodzie, Sandra czuje rękę Pauli na swoim udzie. Chce się cofnąć. Potem jednak rezygnuje z wykonania jakiegokolwiek ruchu, by zobaczyć, co będzie dalej. W rzeczywistości zaś czekała na jej nietaktowną ingerencję pod obcisłe majtki. Paula prowadzi samochód jedną ręką i uważnie patrzy na drogę. Jej prawa ręka stała się jakby całkowicie niezależna. Wsadza ją najgłębiej, jak tylko jest to możliwe, ale równocześnie z niezwykłą delikatnością, która wyrywa z Sandry westchnienie rozkoszy.

— Dobrze ci? — pyta Paula.

— Tak...

— Masz przyjaciółkę?

— Jesteśmy jeszcze bardzo młode.

— To świetny wiek, by się nauczyć... Wszystko ci pokażę.

— Nauczyć czego? — pyta Sandra. — Ta wiedza przychodzi sama.

— Nie cała... Czujesz, jaką ci to sprawia przyjemność? Sandra nie odpowiada. Przygryza wargi.

2

— Tęsknisz za rodziną, za Naną?

Zofia czule kładzie dłoń na ramieniu Sandry.

Wyciągnięci tuż obok dziewcząt na wypłowiałych szez-longach Hieronim i Julek rozgrywają partię Master Minda. Hangar na łodzie, cokolwiek już przestarzały, okazał się bogaty w różne cudenka. Poza łódką z ciężkimi wiosłami była tam masa plażowych mebli, dzięki którym ich maleńka skalna zatoczka wygląda teraz jak taras pięknego nadmorskiego hotelu.

-- To wszystko pochodzi jeszcze z czasów mojej cioci-babci — powiedział Hieronim. — Teraz nie robi się już takich rzeczy... Te wielkie szezlongi na kółeczkach, które ważą chyba trzy tony...

Z początku Sandra rozkoszowała się zapachem dawnych czasów, jakim przesiąknięte były te wszystkie starocie. Potem odnalazła w tym zapachu z przeszłości wspomnienie domu szczęścia.

Foussy odżyło w jej pamięci. Tymczasem to burgundzkie miasteczko wydawało się tak daleko od tego dziwnego świata, w którym się teraz znajdowała...

— Dlaczego nie napiszesz do Nany, żeby do nas przyjechała?

— Bo pracuje.

— To żaden powód...

— Mylisz się. Tato we wrześnie bardzo jej potrzebuje. Zresztą wcale nie o niej myślałam. To nie ona jest powodem mojej chandry. Myślę o tym, że tak strasznie szybko rośniemy... Niedługo trzeba wracać do szkoły...

— Dopiero za dwa tygodnie!

— A cóż to jest, dwa tygodnie. Wkrótce skończę trzynaście lat, i nawet nie zauważę, jak minie mi dzieciństwo!

— Przecież masz je właśnie w ręku, to swoje dzieciństwo. Spójrz na tę dwójkę niedorajdów obok nas i tego ich Master Minda... Gra dla młodych inteligentów, gdy tymczasem oni mają dopiero po piętnaście lat.

Wczoraj poznałam starych ludzi. Pełno w nich wad i złych przyzwyczajęń. Przygnębia mnie to.

Masz na myśli tę kobietę, która cię wczoraj przywiozła? Paulę?

Przyjdzie do nas dziś wieczorem — wzdycha Sandra.

— Jest całkiem sympatyczna.

— Uhm. Ale ja wieczorem pilnuję domu. Zabierzesz się do Pauli z Hieronimem i Julkiem. Będzie tam pewnie pełno rozbawionego towarzystwa. A ja mam ochotę trochę poczytać albo wcześniej pójść spać. W każdym razie za nic w świecie się stąd nie ruszę.

Sandra ześlizguje się ze swego szezlongu na rozgrzane słońcem kamienie. Wystawia na działanie promieni plecy i uda, już zresztą złociste, na które maleńki kostium kąpielowy rzuca lekkie turkusowe światło. Chowa głowę w ramionach.

Przez sekundę Zofia ma wrażenie, że Sandra płacze. Przysuwa się więc bliżej niej.

Sandra podnosi się na łokciu, na jej twarzy jaśnieje uśmiech.

— Trudno mi to wytłumaczyć — mówi. — Dziwnie się czuję. Masę myśli przewija mi się przez głowę. I brzuch mnie trochę boli. Być może zbliża mi się okres. Czuję się zupełnie tak, jak te rozmarzone dziewczęta w powieściach.

Przecież nie jest mi tutaj wcale źle, a mimo to chciałabym być gdzieś indziej, rozumiesz?

— Mnie też się to często zdarza. Patrzymy na słońce, cieszymy się, że świeci, korzystamy z niego do woli...

— I nagle zaczynamy marzyć o deszczowym dniu, o ognisku, które sprawia radość, zdejmujemy przed kominkiem spódnicę, zapominamy o słońcu i myślimy już tylko o zimowych rozkoszach, o odgłosach kroków na stwardniałym śniegu, o długich, gorących kąpielach i oknach pokrytych parą... Mój bokser, na przykład. Przecież ma zupełnie krótką sierść, a mimo to uwielbia zimę.

— Psy w ogóle nie lubią upałów, Sandro...

— Pamiętasz tę piosenkę: „Królewscy strzelcy idą przez miasto”, i tak dalej...

— „A psy się chronią w cieniu fontanny...” Ile mogłyśmy mieć wtedy lat? To było w zeszłym roku?

— Nie mam pojęcia — mówi Sandra. — Ale jak oni mogli uczyć nas takich idiotyzmów?

Zofia dochodzi do wniosku, że w gruncie rzeczy dobrze jest być dorosłym, bo można wreszcie przestać udawać; ma się w końcu takie prawo.

— Ja zawsze miałam takie same prawa jak dorośli — mówi Sandra w rozmarzeniu i obraca się na plecy, by móc patrzeć w niebo, na którym huczy samolot przemieszczający się niczym jakiś dziwny okaz. owada, który pozostawia smugę białego nic wiadomo czego na błękitnej sukience.

— Zaledwie półtorej godziny Icmu len samolol był jeszcze w Paryżu mówi Zolla. Potem musiał przelatywać prawie dokładnie nad naszym Foussy.

W Master Minda wygrał Hieronim. Julek odkłada pudełko z taką miną, jakby miał to w nosie.

— Tak czy inaczej to strasznie głupia gra — mówi. — Dowód: nigdy jeszcze nie udało mi się wygrać. Hieronim wchodzi do wody, która, w miarę jak zbliża się wieczór, zaczyna przybierać białawy odcień.

— Wygląda tak, jakby płynął prosto w paszczę reki-

na — mówi Sandra. — Łodzie z podglądaczami na pokładzie wróciły już do swoich portów. Nareszcie może być sam. Nie musi zajmować się nami. Julek nie może go już męczyć tymi idiotycznymi grami. On nie cierpi skał, a jednak płynie w ich stronę, i to w dodatku crawlmem.

— Podziwiasz go — mówi Zofia.

— On jest znacznie bardziej dojrzały niż my. Przy nim czuję, że jesteśmy dziećmi. Czasami wydaje mi się, że z tego wychodzę, ale dzieje się tak tylko wtedy, gdy moje ciało doznaje rozkoszy. A ja chciałabym umieć rozkoszować się także książkami, tak jak to było kiedyś. Uczepić się książki niczym koła ratunkowego. Ale na razie nie mam na to najmniejszej ochoty. Co się ze mną dzieje? Dom szczęścia nie może przyjść do siebie po wyjeździe Sandry. Franciszek Pontevaux powtarza ciągle swe ulubione powiedzonko, że w tym domu już nawet boazeria zaczyna rdzewieć.

— To niby my jesteśmy tą boazerią? — pyta Antonina.

— I w dodatku starociami. Wilhelm wraca do Francji dopiero we wrześniu. Sylwia przysłała pocztówki z różnych miejsc. Wawrzyniec upodobał sobie, zastanawiam się dlaczego, pobyt u ciotki... W dodatku nad kanałem La Manche!

— Zostaje jeszcze Nana.

— Tak, ale cały czas siedzi w sklepie. Nigdy bym się tego nie spodziewał, to prawda. Ma u mnie duży plus. Ale...

— Wiem, brakuje ci Sandry...

Antonina przytuliła się do niego w ich wielkim łóżku, w którym tak wiele razy już się kochali. Opowiadała mu właśnie całkiem niedawną paryską przygodę, jęczał, przeżywał rozkosze, a potem popadł w smutne otepienie. Przypomniała mu, że to on właśnie, nikt inny, nauczył ją tego wolnego życia, życia seksualnej swobody.

— I dzięki ci za to stokrotne. Gdyby nie to, byłibyśmy tacy sami jak wszystkie pary wokół nas. Przyjrzyj się im.

Masz czterdzieści osiem lat, Franciszku. A ja czterdzieści trzy. Nie szukam kochanków, by od ciebie uciec. To właśnie dlatego, że tyłu ich już miałam, zawsze do ciebie wracam.

— To szczęście, które mi dajesz, które ja daję tobie, zastanawiam się...

— Nad czym, Franciszku?

Zgniatą ramiona tej drobnej kobiety. Jego olbrzymie ciało chyba po raz pierwszy w życiu ogarnia paniczny strach. Przez okna wychodzące na park wpada wiatr, który mówi mu o wieku drzew w parku, domu, w którym mieszkają, wreszcie o tym, ile on sam przeżył już lat.

Sandra, jego prawie trzynastoletnia córeczka, jest budzącą się do życia kobietą, w której Franciszek odnajdywał swą młodość. Ale dzisiaj ta świadomość sprawia mu ból. Widzi swoje dzieci stojące jedno obok drugiego na kolejnych stopniach schodów domu szczęścia, wizja urasta do wielkich rozmiarów, znacznie przesadzonych wobec jego niewielkiej rodziny... a jednak!

Przypomina sobie głośną muzykę dochodzącą z pokoju Sandry. Zawsze zapomina jej nazwy. Często, ogarnięty jakimś dziwnym zmieszaniem, myśli o rodzącej się w ciele Sandry żądzy. Sandry, która, cokolwiek by się działo, na zawsze pozostanie jego małą córeczką.

Antonina kładzie się na nim, jej wilgotna skóra lepi się do jego ciała. Czyżby chciała go w ten sposób pocieszyć? Łączy się z nim, robi to bardzo delikatnie, szepcząc:

— Sandra jest szczęśliwa. Morze Śródziemne, przyjaciele...

— Przyjaciele z dzieciństwa, zgoda. Ale inni?

— Inni?

— No, nieznajomi.

Antonina odsuwa się od niego, obraca na plecy, wolno powtarza: nieznajomi...

Przez kilka minut trwają tak bez ruchu. Cisza im ciąży, ale nie potrafią jej przerwać. Jan Ludwik walczy dzielnie ze swą kosiarką po trawnikach w parku.

Oboje chcieliby się podnieść, zburzyć intymny nastrój -popołudnia spędzanego w łóżku, zamknąć okno. Ale ani Antonina, ani Franciszek nie mogą zdecydować się na jakikolwiek ruch. Oboje dobrze wiedzą, że trzeba będzie wiele czasu, by zniknęła ojcowska zazdrość, by przyjemności Sandry, gdziekolwiek by je znajdowała, stały mu się bliskie, bo to ona właśnie jest ważna, bo to on chciał, by życie jego bliskich było takie właśnie...

— Chyba nie masz zamiaru wypierać się teraz swych poglądów...

To nie jest pytanie. To raczej stwierdzenie matki, mające ojcu dodać pewności siebie. Antonina patrzy na niego z kilkucentymetrowego zaledwie dystansu, tak jakby chciała go osądzić z bardzo daleka, z głębi swojej do niego miłości.

Franciszek odpowiada po prostu:

— Będę musiał przyzwyczać się do szczęścia wszystkich. Nawet w nim nie uczestnicząc.

— Jestem z tobą. Przecież to ty właśnie nas wszystkich stworzyłeś.

— Ty także. Pięciokrotnie swym łonem.

— Wiesz, byłam głupia przypominając ci, ile mamy lat. To co, że oni rosną, my pozostajemy przecież tacy sami, my...

— Wcale nie pozostajemy tacy sami, jesteśmy coraz lepsi! Napina mięśnie, podnosi się, jego wielkie ciało przysłania całe okno.

— Drzewa nie mają wieku — mówi.

Wiatr przyznaje mu rację. Drzewa mówią do niego. Przez rozsunięte zasłony Franciszek wdycha wrześniowe powietrze swej ziemi, zapach grzybów i usychających już liści.

— Boazeria nigdy nie rdzewieje — mówi Antonina.

— Jaki piękny złocisty kolor — szepcze Paula pieszcząc delikatnie kark Zofii, na którym jej ciemne, bardzo krótko ścięte włosy zwijają się w małe loczki. — Sandra musi być szczęśliwa mając taką przyjaciółkę.

Dwaj chłopcy, wyciągnięci na błękitnej posadzce okalającej basen, bacznie obserwują fortele tej trzydziestoletniej kobiety, której obaj beznadziejnie pożądamy:

— Jaka szkoda, że ona lubi tylko kobiety. Sandra leży bez ruchu na wodzie. Ma zamknięte oczy, a jej twarz okalają włosy-wodorosty. Przeżywa właśnie jeden z tych dni, które Hieronim żartobliwie nazywa „jedną z tych twoich faz ciszy”. Jeśli tylko ktoś się do niej odezwie, od razu zaczyna się denerwować. Jeśli natomiast nic się do niej nie mówi, zaczyna odmierzać czas, by wiedzieć, jak długo trwa milczenie innych.

Ni stąd, ni zowąd Sandra zmienia kurs i podpływa do chłopców. Ci zaś natychmiast milkną. Ale gdy tylko Sandra wraca na środek basenu, Hieronim odzywa się z żalem:

— Ani do łóżka, ani do rozmowy...

— Prawdziwa wakacyjna przyjaciółka — mówi Julek. — Ale ty i tak wszystko jej wybaczysz. Jesteś po uszy zakochany.

— Zakochany bez nadziei.

— Nie mów tak. Przecież ona stroi miny, odkąd ja tutaj jestem. Pewnie nie dlatego, że jest zazdrosna, ale denerwuje ją, że spędzamy czas na grze w Master Minda, w tenisa, w kule... A ją to kompletnie nie interesuje!

— Przedtem interesowało ją wszystko.

— Przed czym?

— Zanim zaczęła dorastać...

— My jesteśmy bardziej zaawansowani na tej drodze. Mamy po piętnaście lat...

— Ale z dziewczynami nie jest tak samo.

Obaj zaczynają zastanawiać się nad tajemnicą kobiecości, której nigdy nie uda im się do końca pojąć. Obecność Pauli krępuje ich wyraźnie. Zawsze zjawia się zniecka. Czuje się tu coraz bardziej swojsko. Hieronim grzecznie wyprosił kiedyś całą watahę, którą próbowała wprowadzić do willi: Dermotta, Johna i innych. Ale ona potrafiła go

sobie zjednać, powtarzając mu, że ma zupełną rację nie chcąc znosić obecności osób niepożądanych:

— W pana wieku trzeba już pokazać swą męską osobowość!

Później to lato pozostanie w pamięci Sandry jako ciąg beczynności i nadzwyczajnej ospałości, bez specjalnych zabaw ani uciech. Lato poprzedzające rok szkolny, który pełen będzie całkiem nowych rozterek i niepokojów.

Wiele się spodziewała po tych wakacjach bez rodziców, w obcym domu, pośród kwiatów i w blasku słońca. Nie potrafi więc wytłumaczyć ogarniającej ją apatii. Nostalgia za Foussy? Zastanawiała się już nad tym, i nie mogła znaleźć odpowiedzi. A dlaczegoż by nie, właściwie?

Zawsze czuła się przecież bardzo przywiązana do swego domu szczęścia i okolic wokół niego.

Tych wakacji Sandra nie potrafiła przeżyć w poczuciu wolności. Czuła się prawie na wygnaniu.

„Nie, nie brakuje mi tak bardzo rodzinnych stron, mówiła sobie — bo tylko z sobą samą chciała rozmawiać o tym dziwnym, ogarniającym ją stanie ducha — nie tyle brakuje mi zapachu drzew, pejzażu, ile bliskich memu sercu osób, taty, Nany, mamy, Wawrzyńca. Ani Hieronim, ani Zofia nie są w stanie mi ich zastąpić. Tęsknię za nimi. Za ich twarzami, gestami.

Za Naną szczególnie, jej czułością, doświadczeniem w miłości. To nie jest żadna kazirodcza miłość.

Ale mam wrażenie, że moja skóra przypomina sobie właśnie jej pieśczoć, gdy pieśczo ją i dotykają inni... Jestem mniej niezależna, niż można by sądzić.

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Po to, bym odnalazła w sobie to uczucie, które sprawia, że na dźwięk głosu ojca czy śmiechu Nany krew płynie mi w żyłach szybciej, muszę się po prostu zakochać.

Ale zakochać naprawdę. Moje ciało buntuje się przeciwko flirtom Zofii, Hieronima i Julka. W Foussy zgoda, tam czuję się swojsko. To było

wpisane w krajobraz rodzinnych stron. Ale tutaj wszystko wydaje mi się sztuczne, przesadzone. Zbyt oczywiste, być może. Tutaj wszystko tak naprawdę istnieje tylko dla przyjemności zmysłów, od obłudnego uśmiechu dozorczyń począwszy, skończywszy na obłudnych spojrzeniach podglądacza jej męża.

To następny, który źle na mnie działa. Gdy w dodatku pomyślę o naszym starym, dobrym .lanie Ludwiku, opiekunie naszego pięknego parku w Foussy! Ten tutaj czatuje w krzakach i obserwuje bacznie basen, gdzie nie dzieje się przecież nic wielkiego. Włóczy się po skalach, by móc .patrzeć z góry na nasze materace na skalnym tarasie, gdzie zresztą dzieje się jeszcze mniej. Jakie to wszystko okropne!"

W taki to sposób rozmyśla to dziecko-kobieta. Wsłuchuje się w porywy serca, gdy cichną, by potem z większą jeszcze siłą dojść do głosu, porywy jej ciała. Z nostalgii; wraz z jej ihi/oryczna beczynnością tworzy sobie uczucie straszliwego przygnębienia, pełnego niepewności i niecierpliwości. Ciągłe zmieniające się morze i pozostający w bezruchu basen przestają mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Podobnie zresztą, jak do niczego nic prowadzące zabiegi Pauli i innych. Obserwuje to wszystko w szybko po sobie następujących kadrach z życia, które albo może jeszcze nic jest, stworzone dla niej.

Co do przyjaciół z dzieciństwa, tego starego Hieronima i mniej starej Zofii, owego bagażu, jaki przywiozła ze sobą z Foussy, oni wcale nie czują nostalgii, która objawia się choćby w gromadzeniu wspomnień, oznaczającym powolne przemijanie lat dzieciennych.

— Co robimy dzisiaj? — pyta Hieronim. Meszek nad jego ustami zapowiadający wasy umazany jest czekoladą.

Sandra uwielbia parzyć sobie wargi gorącą herbatą. Pozwala odpowiedzieć Julkowi:

— Przejazdźka łódką, jeśli wiatr nie będzie zbyt silny...

Albo Zofii:

— Wycieczka rowerami w głąb lądu.

Nikt natomiast nie pyta o zdanie Sandry. Wiedzą dobrze, że ona podejmie decyzję bez wstępnych dyskusji. Nie zaproponuje nic. Zgodzi się z nimi albo zostanie w domu, szukając pośród książek z tutejszej biblioteki chwil odosobnienia w cieniu cedrów lub na brzegu nareszcie pustego basenu. I tylko zapachy różnego gatunku drzew staną się dla niej równie cennym źródłem zapachów, co wilgotne lasy Burgundii, pełne grzybów i suchych już liści. Rudy i tajemniczy kot dozorców, który nigdy nie zbliża się do domu właścicieli i znika zawsze w krzewach mimozy, gdy tylko ktoś chce się do niego zbliżyć, przypomina lisa z lasu w Foussy. O tym lisie mówiono, że jest wściekły, a mimo to nikt nie zdecydował się go zabić, aż wreszcie znikł, jakby znudzony faktem, iż stał się głównym przedmiotem wszelkich plotek *i* celem wszystkich okolicznych myśliwych.

Jakie słowa unosi z sobą wiatr, gdy Sandra śpiewa sobie cichutko podczas spaceru? Zlizuje z warg sól. Obojętność horyzontu mówi jej o przewrotności ludzi, którą, zdaje się, już powoli odkrywa. Chwilami przypomina sobie, że niedługo skończy już trzynaście lat. Że zbliża się rok szkolny. Ogarnia ją jakiś niewiarygodny zapał do pracy. Ochota, by uczyć się jak najlepiej. Dla własnej przyjemności. Ani dla taty, ani dla Boga, ani dla diabła. Dla siebie. W uniesieniu widzi już poprzez to zbyt błękitne niebo jesienny bezkres o zapachu szkolnej kredy.

3

Na Fabrycego nie działa już ta wielka cisza następująca zaraz po tym, jak milknie odgłos kroków przechodzącego przez korytarz dyrektora. Wie, że totalny rozgardiasz na początku roku szkolnego zmieni się w ponurą, tłumioną agresję, gdy tylko opustoszeją korytarze, gdy drzwi klas zostaną zamknięte. Ileż to jesiennych powrotów do szkoły doprowadziło małego Fabrycego Villarda do dyplomu! Ileż letnich dni pełnych było cudownego niepokoju na myśl o tym, co zdarzy się wkrótce. Wiedza, która istniała gdzieś poza nim, nie mogła być objawiona, musiała być zdobywana konsekwentnie kroczonek po kroczoneku...

„Kiedyś w to wierzyłem, myśli. A teraz? Czyżbym przestał już wierzyć?”

Wiele patrzących na niego w tej chwili twarzy zaprzecza tym wątpliwościom. Początek roku szkolnego zawsze jest taki.

„W czasach, gdy umierają wielkie uczucia, są jeszcze młode dusze gotowe się otworzyć”.

A gdy dziewczęta i chłopcy, wszyscy pełni szacunku, siadają w nieładzie, Fabrycy myśli:

„Nauczono ich mówić, ale mówić nie umieją. Zabroniono im krzyczeć, nie krzyczą. Siedemnastu uczniów chętnych do nauki rosyjskiego. Pięciu chłopców, dwanaście dziewcząt. Ilu z nich wytrzyma?”

— Usiądźcie.

Sandra Pontevaux, w pierwszym rzędzie, obciąga spódnicę aż do podkolanówek z białej wełny, które podkreślają ślady blizn na kolanach.

— Mój kolega dał wam plan lekcji...

Szeleszczą wyciągane i rozkładane kartki. Wzruszający porządek. Skoro wybrało się rosyjski, to wcale nie znaczy, że się ma ojca w partii, ale na pewno, że jest się poważnym człowiekiem.

— Może ty, w pierwszym rzędzie, przeczytasz nam rozkład zajęć, bardzo proszę.

„Gotów jestem rozplakać się z radości w obecności całej klasy, bo ona jest tutaj, tuż przede mną, o półtora, może dwa metry zaledwie... Rozkoszować się tym dziecinnym, ale pełnym powagi głosem, który wymienia kolejne godziny katorgi...

Matematyka zobowiązuje do wczesnego wstawania. Podobnie jak fizyka. Te koszmarne, niedopieczzone baby nauczycielki zarezerwowały sobie lekcje na pierwszych godzinach... Czytaj dalej, jasnowłosa Sandro, w nie kończących się podkolanówkach. Za chwilę powiem wam wszystkim, patrząc tobie w oczy, jaki podręcznik macie kupić. Nie można go znaleźć u- nikogo ze starszych, bo to ja wprowadzam rosyjski do Foussy...

Wychowanie fizyczne... sport... Nie przestanę przypadkowo przechodzić obok boiska, jak to robię, odkąd zobaczyłem cię po raz pierwszy, Sandro Pontevaux, o długich nogach, które sprawiają wrażenie, jakbyś dzięki nim mogła z góry dostrzec swą przyszłość...

Dlaczego przestajesz czytać, Sandro? Skąd ta cisza? Te ciche chrząknięcia, te siedemnaście par oczu, a twoje w szczególności, te pośladki, które kręcą się na krzesłach, te ławki, które skrzypią, wszystko to zdaje się zadawać mi pytanie, co będziemy teraz robić."

— Dziękuję. Jak się nazywasz?

— Sandra Pontevaux.

— Dziękuję, Sandro. Ponieważ jestem tu nowy w tej dobrze wam znanej szkole, muszę podzielić się z wami pewnym przyzwyczajeniem, byśmy się lepiej poznali: otóż zawsze nazywam swoich uczniów po imieniu...

„Nikt nie pyta dlaczego. To posłuszna młodzież. Muszę im to jednak wyjaśnić.”

— Nie jesteśmy przecież w wojsku — mówi. Wtedy podnosi rękę wysoki rudzielec:

— Proszę pana, a jak my się mamy do pana zwracać?

— Jak chcecie. Proponuję wam: „Proszę pana”. Jak się nazywasz?

— Roblat. Piotr Roblat.

— A więc, Piotrze, zrobisz mi plan swojej klasy. Niech każdy usiądzie tam, gdzie będzie siedział już na stałe. Narysujesz prostokąt z imieniem i nazwiskiem każdej osoby. Na moim miejscu wpiszesz Fabrycy Villard.

— Dobrze, proszę pana.

Sandra nie widzi ani swych klasowych kolegów, spośród których kilku znalazło się w klasie Fabrycego Villar-da, ani swej przyjaciółki Zofii, która natychmiast natknęła się na przeszkodę w postaci liter znacznie gorszych od greckich, jak sama mówi.

Sandra widzi tylko Fabrycego Viilarda.

Czuje się tak, jakby od niepamiętnych czasów to wysokie czoło, ponad którym unosi się czupryna gęstych włosów, pochylało się nad parą białych podkolanówek w pierwszym rzędzie. Jakby od niepamiętnych czasów samotny widz zauważony w przelocie podczas meczu koszykówki (Co on tu robi?) zmieniał się w czarodzieja, maga, władcę.

Nikt w klasie nie zakwestionował jej miejsca w pierwszym rzędzie, gdy postanowiła wystawić się na pokaz, tak, właśnie tak, tuż przed Fabrycem Villardem. Patrząc na jego szare oczy powtarzała sobie: „Imię piękne. Nazwisko okropne. Połączenie romantyzmu z brudnym przedmiem-

ciem przesiąkniętym zapachem słoniny. Fabrycy Stendhala i to uwłaczające nazwisko." A zaraz potem:

„Nie mam prawa krytykować najmniejszej jego cząstki, nawet nazwiska. Przecież na niego właśnie czekałam." I dalej:

„Uspokój się. Nawet jeśli posiada iskrę geniuszu (a trzeba ją mieć, by móc powiedzieć choćby tych parę słów o Dostojewskim, które rzucił wczoraj, ot, tak sobie, od niechcienia), nawet jeśli ma tę iskrę, a może skoro ją ma, nie zwróci na ciebie najmniejszej uwagi."

— Nana, czy to dobrze, że uczę się rosyjskiego?

— Moja mała, nie mogło cię spotkać nic lepszego.

— Oczywiście — potwierdza Franciszek Pontevaux — porozumienie między narodami...

Antonina patrzy z czułością na swe córki. Kocha je całym swym ciałem. Ciągle na nowo je odkrywa. Czuje ich obecność w swym ciele, tak jak odczuwa obecność samolotów, które, przelatując i znacząc na niebie biały ślad, wprawiają jej ciało w drzenie. Czym byłby bez nich dom szczęścia teraz, gdy niedzielne wizyty Wilhelma stają się coraz rzadsze, gdy Wawrzyniec robi wszystko, by, ku rozpaczy ojca, dostać stypendium w Dijon?

— W szkole wszystko w porządku? — pyta Franciszek charakterystycznym dla niego tonem, jakby chciał wymóc odpowiedź negatywną.

— Jak zwykle — odpowiada Sandra.

— Niezupełnie tak jak zwykle... Jest przecież ten nowy nauczyciel rosyjskiego, który mieszka w swoim samochodzie, jakże on się nazywa?

— Patrycy — mówi Nana — Patrycy Villard.

— Fabrycy — poprawia ją Sandra.

— Zawsze, jak przechodzę koło tego domu na kółkach, to zwalniam i patrzę.

— Nie jesteś dość dyskretny — mówi Sandra.

— Kiedy ktoś żyje jak linoskoczek, to tym samym wystawia się na spojrzenia innych.

— Mówisz tak dlatego, bo nie ma wielkiego, porządnego domu w burgundzkim stylu, otoczonego parkiem?

Nana potrząsa swą uwodzicielską blond fryzurą, szturcha kolanem ojca. Ten wydaje się jakby budzić z rozmarzenia, bierze ją bezceremonialnie za szyję, przyciąga do siebie, całuje w czoło i wzdycha:

— Kiedyś marzyłem o tym, by mieszkać tak jak on...

— Kiedyś?

Amandyna przynosi bezy z bitą śmietaną. Ale nikt jakoś nie klaszcze na widok deseru. Tradycje znikają. Amandyna mruczy:

— Gdyby pan Wilhelm był tutaj...

1 znowu zapada cisza. Tylko zegar bezlitośnie odmierza kolejne uderzenia. Fala wspomnień, które snują dorastające już dzieci, zalewa jadalnię. Wszyscy obecni poddają się czarowi tej chwili.

„Mój ojciec rzeczywiście podobny jest do byka, gdy potrząsa głową”, myśli Nana.

— Tato — mówi Sandra — gdy skrobiesz posadzkę pod stołem swoimi wielkimi butami i gdy potrząsasz głową z góry na dół lub na odwrót, to zaczynasz przypominać byka.

— Dziękuję, moja mała krówko.

Wszyscy czworo patrzą na siebie. Słuchają odgłosów dobiegających z kuchni. Amandyna jest zajęta.

— Opowiedzcie mi o tym nauczycielu w domu na kółkach — prosi Franciszek Pontevaux.

— On jest trochę tobą — mówi Nana — gdybyś nie przestał się włóczyć nie wiadomo gdzie, kiedy nas jeszcze nie było na świecie...

— Nie byłeś jeszcze naszym ojcem — mówi Sandra — ale myśmy już cię wtedy kochali.

— Był sobie raz — mówi Franciszek Pontevaux — nauczyciel rosyjskiego, który mieszkał w trojce zaprzężonej w konie mechaniczne...

Podczas bezsennych nocy, których przyczyny nie potrafi wyjaśnić, Franciszek Pontevaux wyobraża sobie siebie jako starca o przerzedzonych włosach — gdy tymczasem jego gęsta, siwiejąca czupryna daje mu wygląd prawdziwego lwa. Skąd ten nagły brak pewności u tego umiającego się cieszyć życiem i zawsze pewnego siebie człowieka?

Franciszek nie chce przyznać się do tego, co Antonina wie równie dobrze jak on: nieobecność dwóch synów naruszyła rodzinny rytm życia, który utwierdzał go w roli niezniszczalnego patriarchy. Nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat i, jak chętnie powtarza, pośród lekarzy ma wielu klientów, lecz nie jest klientem żadnego z nich. Tylko wszystko toczy się zbyt szybko. Czemu te diabelskie dzieci z taką arogancją wspinają się po piramidzie lat?

Szpecially Sandra, najmłodsza, dziecko jeszcze...

W wieku trzynastu lat dogania już wzrostem Nanę, która przecież nie jest wcale mała. Franciszek zabrania sobie samemu myśleć o swej córce jak o kobiecie. Dlaczego drażni go ta działająca na zmysły dojrzałość?

Nana nigdy go tak nie onieśmielała. A przecież jeden Pan Bóg wie, że to stuprocentowa kobieta, za którą oglądają się wszyscy mężczyźni w Burgundii, nawet tacy jak on... Ale Sandra to zupełnie co innego. Z jej ciała oraz jasnych oczu, które stają się na zawołanie większe, z całą bezkarnością emanują fale, które Franciszek Pontevaux określa, z braku lepszych słów, jako bezczelne i wyzywające wibracje lub zmysłowość tak zabójczą, jak ekstrakt kawy pomieszany z alkoholem. Próbuje przypomnieć sobie czytanego w młodości Baudelaire'a, by znaleźć słowa, które mogłyby choć w przybliżeniu wyrazić jego uczucia. Boi się tego, bo nie chodzi tu przecież o obojętnie jaką dziewczynę, lecz o Sandrę.

Czujność Sandry słabnie. Nie można zapanować nad tym, by mieć pod ławką nogi zawsze złączone. Toteż Fabrycy dostrzega pojawiające się lub znikające, w zależ-

ności od pozycji uczennicy, majteczki z białej bawełny. Ale spojrzenia, jakie między sobą wymieniają, nie mówią mu, czy Sandra robi to specjalnie, by odkryć przed nim swe słodkie tajemnice, czy też po prostu jest to skutek jej nieuwagi. Najbardziej niewdzięczne podstawy gramatyki, aż do powstania językowych nawyków, sprawiają mu tyleż samo cierpienie, co jego uczniom. I choć nie okazuje, męczy się na równi z nimi.

Mały rudzielec, który siedzi na samym końcu klasy i nie chce się stamtąd ruszyć, jest obrazem nędzy i rozpaczki... Z oczami utkwionymi w sufit i trzęsącymi się dłońmi sprawia wrażenie, jakby błagał jakieś bóstwo, by wyprowadziło go z tej sali, i zawiodło gdzieś daleko od tego koszmaru.

— Patryku, nie słuchasz.

— Słucham, proszę pana, ale nic z tego nie rozumiem.

— To prawda, to nie chleb z masłem — mruczy Sandra wystarczająco głośno, by Fabrycy mógł ją usłyszeć.

Ten zaś powstrzymuje się od porozumiewawczego uśmiechu. Przez moment widzi siebie biegnącego z nią po plaży, ręka w rękę...

Kiedyś, zatrzymując swe myśli na pięknych udach Sandry, prowadził co prawda lekcję, ale jego wyobraźnia wiodła go w jakieś dyskretne miejsce, które nie miało nic wspólnego ze szkołą w Foussy... Jego uczennice zamieniły się w kurtyzany. Fabrycy, klient-pan, wszedł do domu, w którym pośród umiejętnie roznegliżowanych kobiet-dzieci królowała Sandra.

„Jak tak dalej pójdzie, powtarzał sobie, będę musiał zmienić zawód. Nie mam już głowy do rosyjskiego. Ta mała prześladowuje mnie dniem i nocą. Nie mogę spać. Czasem wydaje mi się, że mój motorhome rusza sam w drogę, by zawieźć nas, Sandrę Pontevaux i mnie, w jakieś miejsce, gdzie nie istnieje zima.

Ale Sandra ma zaledwie trzynaście lat!

A ja trzydzieści.

Jestem wychowawcą, mam obowiązki, mam...

...W gruncie rzeczy nie mam nic, bo nie mam jej..."

I tak bez końca. Fabrycy wstydzi się za siebie, gdy widzi pełne napięcia twarze dziewcząt i chłopców, którzy przychodzą na rosyjski. Nie wiedzą, na całe szczęście, co się dzieje w jego głowie. Tak jakby inny człowiek grał rolę nauczyciela na jego miejscu. Precyzyjny, przekonujący, dodający otuchy. Ich zaufanie do niego sprawia mu radość. Wie dobrze, że jest doskonałym nauczycielem. Lepszym bez wątpienia od większości kolegów, którzy w pokoju nauczycielskim mówią tylko o pensjach i awansie. Trzeba więc, by obraz Sandry przestał dominować nad całą resztą. Aby łokieć, niedbale oparty o ławkę, nie służył za oparcie ręce, której długa dłoń podpiera pochyloną głowę o najpiękniejszej twarzy, jaką Fabrycy kiedykolwiek widział. Aby oczy, tak, przede wszystkim one, przestały mrużyć się podczas deklinacji, tak jakby w grę wchodziła miłość mężczyzny. Mężczyzny, który przestaje panować nad sobą i który w dodatku zaczyna się bać.

4

Zawsze gdy w Burgundii spada pierwszy śnieg, Sandra odkrywa w sobie nową namiętność do lasu w Foussy. Najbardziej swojskie drzewa zamieniają się wtedy w dziwne czarne widma albo wirują niczym zwiewne giganty w lawinie śnieżnych płatków.

Długi, odziedziczony po Nanie kozuch obija jej się o łydki. W nogi jest jej przyjemnie ciepło dzięki trochę przyciężkawym, podbitym futerkiem botkom, które kupione zostały na targu z myślą o długich zimowych spacerach.

Butów tych Sandra za nic w świecie nie włożyłaby do szkoły. Kokieteria by jej na to nie pozwoliła. Ale tutaj, w leśnej samotni, lubi wsłuchiwać się w trzeszczący pod grubymi podeszwami śnieg. Widok wirujących płatków śniegu przypomina jej ogarniający ją lęk, gdy w dzieciństwie oglądała je zza szyb samochodu ojca. W świetle reflektorów wyglądały bowiem jak gromada żołnierzyków ruszających do ataku. Te miniaturowe stwory wyłaniały się z bezkresu nocy.

Powracają do niej także inne wspomnienia z dzieciństwa. Sandra otoczona ogromnymi drzewami, odchyła do tyłu głowę, a wirujące płatki śniegu spadają jej na nos i oczy...

Przywołuje z pamięci przełęcz w Alpach, przez którą przejeżdżali podczas świąt Bożego Narodzenia. Miała

wtedy może osiem lat. Pierwszy raz jechała na narty. W samochodzie starsze rodzeństwo prześcigało się w radach, tak jakby była już na stoku. Starła się ich nie słuchać. Słuchała natomiast dźwięków łańcuchów umocowanych na kołach. Samochód wspinał się wolno w górę przełęczy, której dwie lub trzy niedawne lawiny nadały niezwykle wygląd. Nie czuła w uszach zmiany ciśnienia. Ogarniała ją ogromna radość. Miała wrażenie, że krew w jej żyłach jest jakby oczyszczona, przefiltrowana. Aż do schroniska, przed którym stała tabliczka informująca

o wysokości nad poziomem morza, ta wspinaczka do nieba tak bardzo ją cieszyła, że śpiewała na całe gardło, bardziej dla własnej przyjemności niż dla wyrozumiałych uszu całej rodziny Pontevaux...

Ale gdy zarządzono postój i stanęli na ziemi, otrzepując ze śniegu buty przed wejściem do schroniska, w którym dorośli pili grog, a ona gorącą czekoladę, Sandra zauważyła w odległości kilkuset metrów drogę schodzącą w dół. Od tej chwili radosny nastrój zaczął znikać. Zawładnęły nią mroczne cienie doliny, przytłaczające niczym zawieszony zwały śniegu, które zdawały się być bezpieczne, ale sprawiały wrażenie, jakby podtrzymywały je tylko drzewa.

Potem przyszło /wspomnienie gęstej mgły, która zatrzymała rodzinę' Pontevaux w hotelu. Jedynie Wilhelm zaryzykował wtedy wyjście na trasę zjazdową, przystrojony w duże żółte okulary, które upodabniały go do Marsjanina.

— Ale właściwie co to takiego jest Marsjanin?

Nagle spostrzega, że powiedziała to bezwiednie na głos: płatki śniegu wpadły jej bowiem do otwartych ust. Przeszywa ją dreszcz. Biegnie schronić się za świerkami, które tworzą odporny na kaprysy pogody gęsty dach. Chroni się tu zawsze przed deszczem, śniegiem lub słońcem. Tutaj wyciąga z kieszeni paczkę papierosów Peter Stuyvesant i jednorazową zapalniczkę. Towarzyszy temu, charakterys-

tyczne dla pierwszych prób, miłe uczucie podniecenia. Od czasu pobytu w Antibes wypaliła zaledwie dziesięć papierosów. Nosi z sobą ciągle tę samą paczkę papierosów i tę samą zapalniczkę. Ukrywa je w torbie szkolnej, zrobionej z amerykańskiego żołnierskiego tornistra, albo w kieszeni płaszcza. Od czasu pierwszego papierosa, którego zapaliła latem tylko po to, by nie być gorszą od przyjaciół, nigdy nie udało jej się już odnaleźć tego gryzącego smaku ani dwóch lub trzech sekund lekkiego zawrotu głowy.

W śniegu, który pokrył zimowy las, Sandra odnajduje taniec morskich fal, melancholijne godziny spędzone na brzegu basenu, perlący się na całym ciele pot. Czuje się tak, jakby rozgrzewał ją dym papierosa. Zasłony ze śniegowych płatków, które wirują wokół świerków, tworzą rodzaj ścian pokoiku, w którym unoszą się niebieskawe kłęby dymu. Sandra czuje lekki zawrót głowy. Przyszła tutaj, by być sama. Tymczasem w intymną atmosferę świerkowego pokoiku wdziera się czyjaś obecność.

Sandra nie czuje strachu. A przecież fakt, że nie ma tutaj nikogo, absolutnie nikogo, a ona z taką siłą czuje tę Obecność, powinien wzbudzić w niej obawę przed czymś niepojętym. Ale ta Obecność to Fabrycy Villard, Poprzez filtr swego papierosa Sandra wdycha dym z fajki nauczyciela. To jego oddech zmienia się w powietrzu w parę, a potem w szron. W szkole w Foussy palą wszyscy. Zarówno nauczyciele, jak i uczniowie. Ale fajka pana od rosyjskiego pozostawia zawsze rozkoszny zapach, przy którym wszystko inne wydaje się smrodem.

Gdy dzwoni dzwonek na przerwę, Sandra przygląda się, jak Fabrycy starannie nabija fajkę. Wpatruje się w każdy jego gest, nic nie umyka jej uwagi. Mogłaby dokładnie opisać metalowe okrągłe pudełko, w którym leży tytoń podobny do stosiku zmielonych pierniczków. Ze swego miejsca w pierwszym rzędzie Sandra dostrzega czerwony statek, który ozdabia niebieską przykrywkę.

Biało-brązowy melanz o kolorze i zapachu pierników otacza, niczym kołnierzyk, lamówka ze sreberka. Sandra zamyka oczy. Czuje na sobie wzrok nauczyciela. Ubrała dzisiaj dzinsy. Antonina jak zwykle miała rację, są już na nią trochę za ciasne. Uwierają ją, ale na razie nie może ich poprawić. Musi poczekać na moment, gdy Fabrycy nie będzie na nią patrzył.

Bo mógłby pomyśleć, że jest wulgarna.

Fabrycy nie zapala fajki dopóty, dopóki wszyscy uczniowie nie opuszczą klasy, ale fajka jest już gotowa i czeka w jego ręce, która pieści to błyszczące drewno niczym ludzkie ciało.

Na korytarzu Sandra stara się zawsze być na końcu, by móc choć raz odetchnąć zapachem wreszcie zapalonego tytoniu. A w świerkowym lasku jej średniej klasy papieros odtwarza po części ten czar. Czyżby dym tak podrażnił jej oczy, że zaczęły płynąć łzy? Rzuca papierosa, który skwiercząc spada na śnieg. Sandra zapala następnego, by w pierwszych kilku zaciągnięciach odnaleźć choćby małą cząstkę okrągłego pudełka, wspomnienie angielskiego tytoniu Fabrycego Villarda.

Śnieg przestał padać. Świerkowe schronienie nie jest jej już potrzebne. Ściana ze śnieżnych płatków utraciła swą moc. Znowu jest tylko dziewczynką w dużym lecie. Małym kurczątkiem o długich nogach i ciężkich botkach. Ale ona nie jest sama. Ręka nauczyciela ścisnęła jej rękę w zeszły wtorek, kiedy spotkali się przy wyjściu z klubu filmowego. Wydawało jej się, że ma gorączkę, ale było tak chyba tylko dlatego, że podczas projekcji *Aleksandra Newskiego* było jej po prostu bardzo gorąco. — Choćby po to, by móc obejrzeć takie filmy, potrzebne są kluby filmowe — powiedział. —

Wspaniały, prawda?

Onieśmielona Sandra zdołała tylko wybąkać kilka banałów na temat cudownej bitwy na lodzie, potem jednak do głosu doszły prawdziwe uczucia:

— Tak bardzo lubię wszystko to, co dotyczy Rosji! I znowu czerwienieje na to wspomnienie. Być może

dlatego, że zbliża się już do drogi. Drogi, która prowadzi do Foussy, miejsca niewybaczalnego wtorkowego wyznania:

— Tak bardzo lubię wszystko to, co dotyczy Rosji! Nie ma już ochoty na papierosa, ale nie wyrzuca go

jednak. Patrzy na niego jak na amulet. Trzyma go między dwoma palcami. Zimno jej w rękę.

Chciałaby schować ją do kieszeni, nie może jednak oprzeć się urokowi małej, spalającej się rureczki...

Czy on palił w wieku trzynastu lat? Z pewnością nie. Mówią, że dopiero teraz można uczniom starszych klas palić w szkole.

— I żeby to chodziło tylko o tytoń! — westchnął pewnego wieczoru Franciszek Pontevaux.

Sandra odwraca się po raz ostatni, by spojrzeć na równo pokryte śniegiem pole, które znajduje się na granicy pomiędzy lasem a przedmieściem Foussy. Czarne drzewa wyglądają niczym groźne szeregi Krzyżaków przemierzających konno zamarznięte jezioro... Bitwa na lodzie, który niewątpliwie się pod nimi zapadnie... Jutro czwartek, a więc rosyjski.

Sandra zaczyna biec co tchu, jakby już bardzo spóźniona, do domu. Tam zamknie się w swoim pokoju, by ciężko pracować nad tymi dziwnymi literami, które układają się przed nią w tabele gramatyczne z magicznymi formułkami, dzięki którym pewnego dnia Dostojewski, Gorki i Tołstoj staną się tak samo zrozumiali jak Balzak. — Znasz Balzaka, Sandro?

Nauczyciel zadał jej to pytanie podczas przerwy. Sandra zapytała go bowiem, czy pani Hańska była Rosjanką, czy Polką.

— Polką... Ale jej władcą był car. Nic się więc nie zmieniło, jak widzisz.

Podczas tego zimowego kwadransa, pod jednym ze stojących na podwórku kasztanowców, Fabrycy opowiadał jej o Balzaku. On także przeczytał *Eugenię Grandel*

jako bardzo młody chłopak, miał zaledwie dziesięć lat. Bolesne rozczarowania tej młodej prowincjuszki o czystym sercu wzbudziły w nim bardzo wcześnie szacunek dla kobiecej wrażliwości. — Bardzo długo — mówił — wstydzilem się za Karola Grandet, kuzyna Eugenii, który wyrządził jej tyle krzywd. Wydawało mi się, że zarówno ja, jak i moi koledzy oraz wszyscy chłopcy należymy do jakiegoś wielkiego spisku, który ma na celu zadawanie kobietom cierpień... Trzeba było wiele czasu, abym zrozumiał, że wy, kobiety, jesteście równie dobrze jak my uzbrojone, a czasami o wiele bardziej okrutne.

Sandra zwróciła szczególną uwagę na to „wy, kobiety”, które w cudowny sposób dodawało jej lat. Uszczęśliwia ją fakt, że Fabrycy mówi o niej tak jak o prawdziwej kobiecie. Nie ma jednak dość odwagi, by mu powiedzieć, że czuje się niezdolna do okrucieństwa i równie bezbronna jak Eugenia Grandet.

„Czy gardziłby mną wiedząc o mojej wrażliwości” — zastanawiała się często.

Była zachwycona, że ich rozmowa trwała aż do chwili, gdy dzwonek wezwał wszystkich na kolejną lekcję. Bo Zofia przecież się nie liczy. Stała przy nich cały czas. Taka miła, uśmiechnięta statystka. Podwórko szkolne jest przecież dla wszystkich. Nauczyciel także. A więc należało już teraz dzielić się z innymi tym, którego nawet w marzeniach nie ośmieliła się jeszcze nazywać Fabrycym?

„On dobrze wie, że nie potrafię odpowiedzieć. Nie zapyta mnie.” Sandra w ten sposób dodaje sobie pewności i odwagi począwszy od dnia, gdy uświadomiła sobie tę oczywistość. W oczach Fabrycego Sandra czyta, że gramatyczne pułapki nie są przeznaczone dla niej. Wzruszają ją te szczególne wobec niej względy. Zastanawia się jednak, czy nie zaszkodzi to Fabrycemu.

„Co będzie, jeśli inni to zauważą?”

Nasłuchuje więc uważnie odgłosów klasy, ale żadne wrogie słowo do niej nie dociera. Uspokojona już uśmiecha się do swej sąsiadki w ławce, Zofii.

W niedzielę pieściły się po raz pierwszy. Zaczęły ot tak sobie, z nudów, potem zaś pojawiło się pożądanie. W pokoju Zofii, na samym końcu pustego — ze względu na niedzielny spacer braciszka — mieszkania narodziły się nowe więzy, nieskończenie słodsze od tych z czasów wakacji.

Wszystko zaczęło się jak oczekiwana już od wspólnego pobytu w Antibes zabawa. Zofia pożyczyła od swego starszego brata ostatni numer „Playboya”. Razem z Sandrą zaczęły porównywać swe ciała dużych dziewczynek z ciałami kobiet na zdjęciach. Wolniutko i z początku jakby przez nieuwagę zaczęły zbliżać się do siebie. Szarawe światło ponurego niedzielnego dnia wypełniało pokój słodką atmosferą zmysłowości.

— Jesteś coraz ładniejsza — powiedziała Sandra.

— A ty jesteś po prostu piękna.

Koniuszkiem palca Zofia zaczęła obrysowywać kontur twarzy przyjaciółki. Gdy dotarła do ust, Sandra leciutko ją ugryzła.

Od tego gestu zaczęła się gra.

— Już cię więcej nie ugryzę — obiecała Sandra. Położyła swe wargi na wargach Zofii wytrzeszczając przy tym potwornie oczy, by ją przestraszyć. Śmiały się z tego głośno. Zofii odsłoniły się uda. Sandra jako pierwsza, gestem naśladującym strip-tease, zdjęła swe dżinsy.

Obie miały na sobie błękitne majteczki. Obie poruszone były niewinnością swych wzajemnych pieszczot.

— Puszczę wodę do wanny — powiedziała Zofia, gdy odpoczywały blisko obok siebie. — Trzeba się spieszyć, bo niedługo już wrócą rodzice.

— Nie mam ochoty na kąpiel — odparła Sandra. — Zostań ze mną...

Skrecała się z chęci porozmawiania z Zofią o Fab-rycym Villardzie. Ale czy to był dobry moment?

Jeśli ta

rozmowa miałyby zniszczyć te cenne chwile intymności... Tak czy inaczej w małym pokoiku Zofii krążył duch nauczyciela. Co więcej, Sandra wyobrażała sobie, że przygląda się on ich dziewczęcym figlom. Czuła się tak, jakby Zofia i ona ofiarowały mu spektakl swych ciał.

— Już niedługo oszaleję — mówiła sobie często. — Ten facet opętał mnie zupełnie.

— O czym myślisz?

Skąd to pytanie? Czyżby Zofia domyślała się czegoś? Kto wie, może i ona czuła tutaj obecność nauczyciela? Czyżby jego duch im obu dał o sobie znać? Sandra postanowiła zwalczyć mogącą się narodzić z tego powodu zazdrość. „To mi dobrze zrobi na przyszłość. Trzeba umieć dzielić się myślami, tak samo jak ciałem.”

Tej samej niedzieli Sandra zastała w salonie domu szczęścia pochyloną nad swymi notatkami Nanę. Nana przyjrzała się siostrze uważnie.

— Nie wiem, co robiłaś — powiedziała — ale mogę się domyślić. Wzrok masz całkiem błędny.

— Naprawdę?

— Nawet nie pytam, z kim... Ale uspokój mnie szybko. Nie byłaś w okolicy terenu do gry w kule?

— W domu na kółkach? Skądże znowu.

— Sandro, jesteś jeszcze taka młoda. Bóg jeden wie, że nie chcę ci prawić morałów. Ale bardzo zależy mi na tym, żeby w życiu dobrze ci się wiodło. Z trzydziestoletnim mężczyzną, to już nie są dziecięce zabawy. To może was oboje zaprowadzić bardzo daleko. Masz do mnie zaufanie?

— Tak.

— A więc obiecaj mi, że o wszystkim będziesz mi mówić. Powiem ci coś, o czym nie wiesz.

Wielokrotnie rozmawiałam z twoim nauczycielem rosyjskiego, zanim go poznałaś...

Z nagle ściśniętym sercem i dobrą miną do złej gry Sandra stara się nadać swemu głosowi naturalny ton:

- Poderwał cię.
- Z początku próbował... Jeszcze przed rozpoczęciem roku szkolnego.
- Ale ty się nie zgodziłaś.
- Nie. Skończyło się na przyjacielskiej dyskusji.
- Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz?
- Wiem, że mu się bardzo podobasz. Już w zeszłym roku zwrócił na ciebie uwagę. Najpierw mnie to śmieszyło. Robiłam, co mogłam, aby pozwolono ci zapisać się na rosyjski...
- A teraz?
- Nie rób głupstw, to wszystko.

I widząc, że Sandra patrzy na nią prawie wrogo, szybko zmieniła temat. Oświadczyła jej, że kolację będą jadły dzisiaj same. Cała rodzina była bowiem w Dijon, a Amandyna spędzała niedzielny wieczór na rodzinnej farmie.

Potem, jakby dla zabawy, Nana uparła się, że sama będzie podawać do stołu.

— Tak jakbym była twoją mamą — powiedziała. — Ponieważ pozwoliłam sobie na prawienie ci morałów, powinnam to zrobić. Amandyna wszystko przygotowała. Trzeba to tylko podgrzać.

Ileż to razy to zdanie rozbrzmiewało wieczorami w kuchni, gdy zapalano zamiast bocznych kinkietów antyczną lampę, która była niczym symbol! „Trzeba to tylko podgrzać” przypominało Sandrze wieczory, gdy odrabiała zadania na stole w kuchni, by nie czuć się samotnie. Wszyscy duzi pracowali w swoich pokojach, a Amandyna tutaj właśnie przygotowywała posiłek.

— Coraz rzadziej widuję cię w domu — mówi Sandra.

— Bo cały czas siedzę w sklepie, zwłaszcza odkąd Edward stał się niewidzialny.

— Co się z nim właściwie dzieje?

— Wyobraź sobie, że w Vezelay kręca film. Jego pierwszą gwiazdą jest Jan Maria Riblais. Kiedyś przyszedł do sklepu, żeby kupić kieliszki, które chciał podarować

matce. No i zakochał się w Edwardzie. A ten drań zostawia nas teraz na całe dni i siedzi na planie filmowym, ot cała historia. Stara Berta ma już tylko mnie do pomocy.

— A Jan?

— Jan coraz więcej pije. Niedawno rozkwasił sobie na schodach twarz. Niósł mozaikowy nocny stolik.

— Chętnie bym ci pomogła po lekcjach, ale wiesz, że szkoła to nie przelewki.

— Tak, wiem. A przecież za moich czasów nie było jeszcze rosyjskiego... Chcesz papierosa?

Dziewczęta rozkoszują się atmosferą kuchni, po której snują się błękitne obłoczki dymu. Cicha rozmowa umacnia wzajemne więzy. Obie znużone są mijającym właśnie dniem. W pojedynczych słowach słychać ton długotrwałej przyjaźni. Dwudziestoletnia Nana w swej siostrze ciągle jeszcze widzi małą dziewczynkę, której zmysłowość sama .osobiście rozbudzała. Ale te czasy już minęły. Teraz ma przed sobą młodą dziewczynę, która bez wątpienia onieśmielałaby ją, gdyby Nana nie widziała, jak rośnie. Tak mocna jest w niej skłonność do kobiet. „Oby tylko była szczęśliwa”, myśli, gdy tymczasem ich banalne, ale pełne wzajemnego zaufania słowa płyną zgodnie z rytmem starego zegara, w którym zdaje się bić serce tego domu.

5

— A więc jest pan z Sandry zadowolony? Ona jest jeszcze bardzo młoda, a to taki trudny język!

— Sandra jest jedną z najmłodszych w klasie, to prawda. Ale to dobrze. Im bardziej chłonny jest umysł...

Fabrycy Villard z ogromnym zaciekawieniem przygląda się bardzo niskiej kobiecie, stojącej obok niego tuż przy drzwiach wejściowych do szkoły. Bardzo ładnej kobiecie w dodatku, która musi już być po czterdziestce, zważywszy wiek jej dzieci. Ale jakie to dziwne, że duża Sandra wyszła właśnie stąd. „Cóż za głupia myśl, strofuje się natychmiast. W rodzinie Pontevaux wszyscy oprócz niej są wysocy. Na te jej kokieteryjne oczy można by patrzeć bez końca. A usta! Ach! te usta...” Fabrycemu zaczyna dokuczać już północno-wschodni wiatr, który sprawia, że jest mu coraz bardziej zimno. Antonina natomiast zdaje się go w ogóle nie dostrzegać. Fabrycy zdecydowanie wolałby patrzeć na jej wyraziste usta w jakiejś dobrze ogrzewanej kawiarni.

— Jest pan tajemniczy niczym prawdziwy Rosjanin — mówi Antonina.

„I to cholernie przystojny Rosjanin, myśli. Zmysłowe usta, jak u Nuriejewa. Typ, który bez trudu doprowadza mnie do szaleństwa. A gdyby tak został przyjacielem domu, kto wie?”

— Tak, jest pan bardzo tajemniczy — powtarza, starając się za wszelką cenę zachować powagę. Fabrycy powstrzymuje się od śmiechu: taki język ciągle jeszcze robi wrażenie na kobietach jej pokolenia. I chyba wyłącznie na nich.

— Co we mnie jest tajemniczego?

— Pana sposób życia, ten kempingowy samochód.

— To motorhome.

— Nazwa bardziej elegancka, to prawda, ale w gruncie rzeczy to to samo... Ale panu pewnie jest zimno, nie będę pana zatrzymywać dłużej. Chciałabym tylko prosić, aby zgodził się pan poświęcić dwie, trzy godziny tygodniowo na prywatne lekcje dla Sandry.

— Przykro mi, ale nie udzielam lekcji. Mam bardzo mało czasu na napisanie doktoratu.

— Niech pan nie odmawia bez zastanowienia. Proszę przyjść do nas na herbatę, postaram się pana przekonać. Może jutro?

„Powinienem był powiedzieć nie”, myśli Fabrycy przekręcając kurek butli gazowej w swym samochodzie. Przygotowuje sobie właśnie szybki posiłek, by móc jak najszybciej zabrać się za poprawianie wypracowań. Rozmarzony, powtarza sobie to zdanie po wielekroć. Jaja skwierczą na patelni. Z dokładnością angielskiego kucharza Fabrycy wykrawa z plasterków bekonu tłuszcz. Do karafki wlewa resztkę czerwonego wina. Nie znosi widoku napoczętej butelki na stole. Wychodzi z założenia, że skoro żyje w warunkach kempingowych, musi przestrzegać pewnych zasad. Także błękitna serwetka dobrana jest do koloru talerzy. Fabrycy ma co prawda tylko cztery nakrycia, ale za to ze srebra. Ser zawsze znajduje się pod szklanym kloszem. Wytwornie ułożona sałata leży w kwiecistym fajansowym naczyniu.

Przed rozpoczęciem posiłku Fabrycy otwiera okno, by pozbyć się zapachu gotowania. Zimne powietrze szybko się z nim rozprawia. Następnie zapala kadzidelko. Wypija dla rozgrzewki kieliszek wina. „Twoje zdrowie, Fabrycy...”

Ciągle jeszcze nie jest pewien, czy powinien się cieszyć na myśl o jutrzejszym spotkaniu z rodziną Pontevaux. Przypomina sobie wszystko to, co mówiła mu na jej temat Nana. Prawdą jest, że ta wyjątkowa rodzina stanowi niezwykle łakomy kąsek dla człowieka tak jak on ciekawego życia. Ale nie w tym problem.

Problemem jest Sandra.

Jeśli rzeczywiście zniszczyć chce w sobie niepokój, jaki ona w nim wzbudza, to jest co najmniej odpowiedni moment na odkrywanie jej przeszłości, miejsc dzieciństwa, „domu szczęścia”, o którym opowiadała mu Nana. Tego domu, gdzie Sandra budziła się do życia. Cóż z tego, że Fabrycy setki razy powtarza sobie w kółko, iż Sandra jest zbyt młoda, aby mógł mieć z nią coś wspólnego. Od czasu do czasu jakiś głos, który Fabrycy uważa za diabelskie podszepty, mówi mu: „Poczekaj, aż dojrzeje, a potem się z nią ożeń!”

— To dziwne, pierwszy raz w życiu zdarza mi się myśleć o małżeństwie — mówi na głos. — I w dodatku o małżeństwie z dzieckiem.

Kończąc jeść jabłko Fabrycy wyciąga ze stosu siedemnastu wypracowań to, które zaopatrzone jest w podpis: Sandra Pontevaux.

— To jedna z moich najlepszych uczennic. Nie potrzebuje prywatnych lekcji.

Potem zaś, dopijając wino dodaje:

— Z drugiej strony moje życie ciągle toczy się pomiędzy szkołą, motorhome'em, „Cafe du Beffroi” oraz dwiema czy trzema knajpami tego samego sortu... Przyjemnie byłoby więc rozsiaść się wygodnie w głębokim fotelu, w salonie bogatej burgundzkiej burżuazji, szczególnie zimą... Kominiek z trzaskającymi w ogniu polanami jest wcale przyjemny, a taki luksus w moim samochodzie jest absolutnie wykluczony. Zresztą to nie ja przecież zacząłem rozmowę z panią Pontevaux. Czy to moja wina, że ona jest matką Sandry?

I dalej:

— W dodatku trzeba przyznać, że kilka prywatnych lekcji nie zaszkodziłoby moim finansom. Zresztą okłamałem tę kobietę... Dawałem już kiedyś lekcje tej strasznej latorośli aptekarza z Limoges, któremu w końcu poradziłem, by zaczął się raczej uczyć włoskiego. Ale ile właściwie powinienem zażądać?

A zaraz potem:

— Nie, nie chcę, żeby mi płacili za Sandrę! Nie pójdę tam!

I w końcu:

— Jutro środa. Jeśli tam nie pójdę, nie zobaczę jej w ogóle przez cały dzień, nawet na szkolnym podwórku... A więc idę!

Wypił co prawda bardzo niewiele, ale czuje się zamroczony. Nie udaje mu się skoncentrować na gramatycznych poprawkach. Wypracowania tańczą mu przed oczami. Wyobraża sobie Sandrę ubraną w książęcą suknię, która jest błękitna i mieni się złotem. Sandra czeka na niego w swoim pokoju. Fabrycy całuje ją w rękę. I nagle, zupełnie naga, jest już w jego ramionach. Potrząsa głową i wraca do wypracowań rozłożonych na ławeczce motorhome'u.

— Doprawdy, ta mała przyprawia mnie o utratę zmysłów!

Fabrycy dobrze wie, że i tej nocy Sandra nawiedzi jego sny, zapanuje całkowicie nad jego marzeniami. Nieważne, bedford jest wystarczająco duży dla nich dwojga. Tutaj właśnie czekał będzie na ten obraz Sandry, na którym płaczą się ze sobą nogi, oczy i usta z pierwszego rzędu, półna-gość znana mu z boiska oraz wymarzona całkowita nagość, która oddaje się jego żądzy zwielokrotnionej przez noc.

— Dawno się nie widzieliśmy — powiedziała Nana.

— Bardzo mi miło pana poznać — rzekł Franciszek Pontevaux. — Nauczyciel Sandry... Nauczyciel rosyjskiego, który mieszka w samochodzie.

— W motorhomie — poprawił machinalnie Fabrycy.

Antonina uśmiecha się do niego porozumiewawczo. Fabrycy czuje się tym zażenowany. Wizerunek Sandry ubranej w sztruksowe spodnie w kolorze ciemnej czerwieni zlewa się z ciemnoczerwoną kanapą, na której siedzi, jak gdyby w tym wszystkim nie chodziło wcale o nią. Ma założoną nogę na nogę. Ręce leżą na kolanach. Patrzy na ponury obraz przypisywany Rembrandtowi albo na pianino, z którego wydaje dźwięki przechadzający się po nim kot syjamski. Nie towarzyszyła mu nawet podczas obowiązkowego spaceru po parku. Nie ona także otworzyła butelkę szampana, która, jak powiedział jej ojciec, korzystnie zastępuje angielskie ziółka, to jest herbatę.

Sandra z uwagą obserwowała, jak matka zajmuje się gościem, bierze go czasami za ramię, kokietuje spojrzeniem.

Nany omal nie zabiła wzrokiem, gdy ta szepnęła jej do ucha:

_ Spójrz na tatę... można by powiedzieć, że chciałby zobaczyć mamę w jego ramionach.

Spacer obie siostry obserwowały z okna. Franciszek Pontevaux trzymał się z dala, był zawsze z tyłu. Co takiego mogła nauczycielowi opowiadać Antonina? Nie była to pora, by chwalić się kobiercami kwiatów, trawnikiem czy drzewami... Wszystko było ogołoczone i smutne, a niebo szare. A jednak dorośli, do których należał też nauczyciel, spacerowali.

— Pewnie rozmawiają o tobie — mówi Nana.

— O mnie?

— No, o lekcjach, o twojej przyszłości.

Teraz, gdy zmarznięci wrócili już do domu, gdy szampan musuje w kieliszkach i wpływa do gardeł, nie mówi się już o Sandrze. Wszystko zostało już ustalone. Nauczyciel będzie przychodził na godzinę lekcji w poniedziałki, środy i soboty o osiemnastej.

_ O zmierzchu — dopowiada rozbawiona Antonina.

Franciszek mówi:

— To dobrze. Nie będzie zbyt zmęczona, będzie uważnie pana słuchać. W środy nie ma szkoły. W soboty po południu także nie. W poniedziałek po południu natomiast są tylko zajęcia sportowe.

Zastanawiam się, dlaczego zaplanowano całe popołudnie na świeżym powietrzu zaraz po niedzieli.

— To zależy od rozkładu zajęć wszystkich nauczycieli — odpowiada machinalnie Fabrycy.

Natychmiast ożywa mu w pamięci obraz Sandry ubranej w szorty, T-shirt i bluzkę od dresu, gdy stara się maksymalnie naciągnąć swe ciało, napina mięśnie swych niesamowitych ud, by znaleźć się jak najbliżej kosza. Rozgorączkowany tą wizją połyka jednym haustem kolejny kieliszek szampana, dopiero co podanego mu przez ojca. Te niezwykle zuchwałe myśli gwałcą intymny, rodzinny nastrój mieszczańskiego salonu. Najmłodsza pociecha tego domu rozbiera się właśnie w szatni dla dziewcząt. Z jej ciała emanuje rozkoszny zapach potu. Już pod prysznicem ociera się lekko o jedną ze swych koleżanek, której ciała nie udaje się Fabrycemu wyobrazić, tak bardzo pochłonięty jest widokiem nagich pośladków Sandry. Pośladków, które zaczynają drżeć z powodu zmiany strumienia wody z ciepłego na zimny i odwrotnie. Sandra i jej sąsiadka piszczą z zachwyty.

— Będzie pan musiał kiedyś przyjść do sklepu...

Franciszek Pontevaux musiał prawdopodobnie powtórzyć to zdanie, bo Fabrycy ma wrażenie, że rezonuje ono dziwnie głośno w głębokiej ciszy. Szybko więc odpowiada: „Tak, tak, oczywiście”.

Wokół niego wszyscy uśmiechają się przyjaźnie. W tym domu uwielbia się marzycieli.

— Robi się późno — mówi Antonina. — Zechciałby pan zostać z nami na kolacji? Musi pan poznać kuchnię Amandyny...

— Och tak, proszę zostać — mówi Nana. — Będzie to dla pana pewna odmiana po naszych miejskich restauracjach.

Wtem rozlega się głos Sandry:

— Pan sobie sam gotuje w tym pańskim wozie?

— Jakoś sobie radzę...

— A więc postanowione, zostaje pan — mówi Franciszek Pontevaux. — Może poszedłby pan ze mną do piwnicy? Pomoże mi pan wybrać wino.

Fabrycy Villard wsłuchuje się w trzaski wydawane przez palące się polana. Antonina jest już w kuchni i wydaje polecenia Amandynie, Nana samowolnie napełnia kieliszek Fabrycego. Nauczyciel wstaje, by pójść za ojcem do piwnicy. Sandra patrzy za nimi. Przeciąga się leniwie na kanapie. Ma wrażenie, że znowu urosła.

„To będzie kolejna kolacja w jadalni domu szczęścia. Ale' ta jadalnia nigdy już nie będzie taka jak przedtem. Nauczyciel siedzi po prawej ręce mamy.”

„Jest przystojny, jest zabawny. Nie wiem, o czym mówi. Siedzę naprzeciw niego, grzecznie jak w klasie. Właściwie to wiem, o czym mówi, ale jego słowa to profanacja.

Dostojewski i Gorki to był przecież nasz sekret, czyż nie?

Ach, skłonna jestem podzielić się tą tajemnicą z szesnastoma uczniami z lekcji rosyjskiego.

Ale nie z rodziną. Nie z nimi. Nawet nie z Naną.

Nana patrzy na mnie. Uśmiecha się, szuka ze mną kontaktu.

Odmawiam wszystkiego.

Nigdy nie myślałam o wieku tych mebli. To muzeum. Franciszek Pontevaux, antykwariusz z Foussy. Krzesła wyślizgane są przez dziecięce pośladki. Przez nas wszystkich.

A on siedzi na najbardziej rozwalonym spośród krzeseł w stylu Ludwika XIII. Krzesło ma wysokie i proste oparcie i zostało zrobione chyba specjalnie w taki sposób, by zniechęcić do miłości. Sztywność ciała. Sztywność aktu.

Członka?

Głucha na przyjemności dyskusji, rozbieram Fabrycego Villarda. Nagi nauczyciel rozmawia z moim ojcem o Burgundii. Wiem, że go to wcale nie interesuje. Cierpliwie jednak znosi wywód ojca, a na mnie nawet nie spojrzy.

Puszy się przede mną, a ja mam wrażenie, jakby mnie tu nie było.

Hej, ty pyszałku, Piotrusiu Panie z moich bajek, denerwujesz mnie.

Dlaczego poprzez ten burgundzki kieliszek przyglądasz się lampie? Dlaczego dajesz złapać się w pułapkę słów, których nienawidzę od zawsze, odkąd pamiętam: rubin, ciepło, aksamit etc? / Milcz, proszę.

Zamilknij w końcu.

Spójrz na mnie.

Jestem bardzo grzeczna. Przygotowaną przez Aman-dynę solę po normandzku wsadzam delikatnie do ust. Na ustach zostaje trochę śmietankowego sosu. To taki dobry, odwieczny sos Amandyny... Zawsze pozwalała mi w kuchni wylizać drewnianą łyżkę.

A ON, na przekór dobrym manierom, oblizuje kawałek umoczonego w tym sosie chleba.

ON wdycha zapachy **mojego** domu, **moich** ścian.

A ojciec, matka, siostra są jego współnikami.

Przyklaskują człowiekowi, który pożre Sandrę Pon-tevaux.

Pojechał. Rower jedzie już prosto, widać odzyskał równowagę.

— Następnym razem niech pan przyjedzie tym swoim domem! — krzyknął ojciec.

— O.K.!

Nie spojrział nawet na mnie. Uścisnął moją dłoń, gdy pożegnał się już z tatą i mamą... Ucałował Nanę, bo jest

już w wieku, gdy można ją całować bez obawy o dwuznaczność tego gestu.

Tylne światło jego roweru kołysało się, gdy jechał w dół po bruku stromej uliczki. Mój ojciec dopiero co skończył opowieść o tym, jak Wawrzyniec został potrącony przez pijaka, gdy tylko wyszedł poza bramkę...

Wawrzyniec... W tym chaosie, jaki mnie ogarnął, kiedy czerwone światełko roweru zniknęło za zakrętem, myślę

o tym diabełku, który został z wyboru mieszkańcem internatu. Czyżby miał już dość tego domu szczęścia?

Płyną łzy.

Pojechał. Za mną — nie za nim — zamknęły się drzwi domu szczęścia. Ten cholerny pies Tristan nasikał na koło jego roweru.

Panie profesorze, zobaczymy się jutro?"

Zapach sztucznego tworzywa, z którego zrobiona jest gładka, żółta spódnica Zofii, dotarł chyba do nozdrzy nauczyciela, bo denerwuje się bez powodu, mówi od rzeczy

I ciągle spogląda na zegarek. Sandra Pontevaux nienawidzi tego prostokątnego zegarka na zniszczonym skórzanym pasku, który przesuwają mu się przy każdym ruchu ręki. Jest wściekła, że nie ma pieniędzy... Ale co by to zmieniło? Nie robi się takich prezentów nauczycielom.

Przed kominkiem w bibliotece domu szczęścia Sandra i Fabrycy rozmawiają o *Zbrodni i karze*.

Nauczyciel nie wyjechał na Boże Narodzenie z Foussy. Rodzina Pon-tevaux rozpostarła nad nim skrzydła. Z kieszeni tweedowej spódnicy Sandra wyciąga małe czarne pudełko owinięte śliczną białą wstążeczką.

— To już nie *Zbrodnia i kara* — mówi. — Nikogo nie zabiłam, by to zdobyć. Proszę, to dla pana...

Przerywa nagle i szybko chowa pudełko z powrotem do kieszeni. Do pokoju wchodzi gwałtownie Antonina.

— Mamo, nie będziesz przecież zachowywała się jak

mieszczka, która bierze udział w prywatnych lekcjach swej córki.

— Nie, to mnie po prostu bardzo interesuje. Siada na skraju stołu. Zażenowany Fabrycy nie wie, co ma powiedzieć. Jego wzrok mimowolnie kieruje się na spódnicę Sandry, która ukrywa tajemniczy podarunek. Od chwili, gdy zaczął przychodzić tu na lekcje, Fabrycy zmuszony jest grać z Antoniną w chowanego.

Pewnego wieczoru, bez wiedzy Sandry, Fabrycy ponownie zaprzyjaźnił się z Naną. Nana zobaczyła, jak stoi nieśmiało w towarzystwie swego stale wszędzie obecnego i gorliwego ucznia, jakim stała się Antonina, wzruszająca, ale i śmieszna w tej roli. Postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce. Pod pretekstem zakupów w mieście wyszła z domu z Fabrycym. Szli trzymając się pod rękę. Drugą ręką Fabrycy prowadził rower.

* — Jeśli chcesz mieć spokój — powiedziała Nana — musisz zrobić coś dla mojej matki. Znam ją dobrze. Kiedy o tym myśli, nie rezygnuje nigdy.

— Ależ, Nano, nie mam nic specjalnego do powiedzenia twojej matce...

— Nie udawaj głupiego.

Zatrzymali się na samym środku wybrukowanej uliczki, gardząc oblodzonym chodnikiem, i wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Bardzo cię lubię, jesteś taka zabawna.

— Dobrze wiesz, że tato nie widzi w tym nic złego.

— Wiem, ale to jeszcze nie powód...

Teraz uśmiecha się na myśl o przyjaźni z Naną.

— Co pana tak bawi? — pyta Antonina.

— Ogień, trzaskające polana, wszystko to jest bardzo wesołe.

Zapada cisza. Sandra robi minę przykładnej uczennicy czekającej na dalszy bieg wydarzeń.

— Widzę, że wam przeszkadzam — mówi Antonina.

I zaraz potem jest wściekła na siebie, że to powiedziała i że wyszła z pokoju w tak głupi sposób. Małe czarne pudełko ponownie wysuwa się z kieszeni Sandry. Fabrycy rozwiązuje kokardkę, rozwija papier, na którym- widać zagięcia robione paznokciem w sposób, w jaki staranna uczennica robi okładki na książki i zeszyty...

Gdy dociera wreszcie do zegarka, w oczach Sandry pojawia się jakiś radosny niepokój. To prosta kopia Rolexa. Ze zwykłego metalu.

— Złożyłam się do spółki z tatą — mówi szybko Sandra. — On także chciał panu coś podarować.

Fabrycy ze łzami w oczach wstaje i pochyla się nad swoją uczennicą.

Nigdy nie zapomni chwili, gdy po raz pierwszy złożył na jej ustach pocałunek.

CZEŚĆ PIĄTA

1

Prądem rzek obojętnych niesion w ujścia stronę, Czuję, że już nie wiedzie mnie dłoń holowników. Dla strzał swych za cel wzięły ich Skóry Czerwone I nagich do pstrych słupów przybiły wśród krzyków.

Nauczyciel i uczennica wspólnie recytują wiersz Rimbauda.

— Nie znam nic piękniejszego nad *Statek pijany* — mówi Sandra.

— Tak, panno Pontevaux, ale jesteśmy tutaj, żeby uczyć się rosyjskiego, nie należy o tym zapominać...

W gruncie rzeczy, gdy tylko udawało im się umknąć przed śledzącą ich ciągle Antoniną, oboje lubili unosić się na skrzydłach poezji, pogrążyć w marzeniach. Fabrycy Villard na nowo odkrywał swój młodzieńczy entuzjazm do Rimbauda. Sandra go odmładzała. Odtąd siadali zawsze obok siebie z gramatyką rosyjską w zasięgu ręki, na wypadek wtargnięcia Antoniny.

Odkrywanie tomu poezji Rimbauda pochłaniało ich bez reszty. Nauczyciel stracił już zupełnie swój autorytet. Stał się współnikiem. Ani się tego nie wstydził, ani nie czuł wyrzutów sumienia.

Ich miłość wszystko tłumaczyła.

Ich kolana dotykały się lekko pod masywnym machoniowym stołem. Fabrycy stawał się coraz bardziej zuchwały, ale nie było w tym cienia przemocy. Sandra zaczynała cała drżeć, gdy jego ręka pieściła jej udo. Poprosił ją pewnego dnia, by na lekcje nie zakładała spodni. Uwielbiał jej gołe, czekające na pieszczoty nogi. Do stanu najwyższego podniecenia doprowadzała Fabrycego świadomość, że może w każdej chwili dotrzeć do majteczek, które kryły puszyste owłosienie pomiędzy jedwabistymi udami.

Sandra uśmiechała się, jakby chciała zachęcić go do dalszego działania. Jej trochę rozsunięte siekacze — „zęby szczęścia” — mówiły mu o niewinności zupełnie nie przystającej do pragnień jej ciała, o których istnieniu Fabrycy dobrze wiedział. Jego ręka delikatnie odsuwała gumkę majteczek, nigdy jednak nie posuwała się dalej.

Czasami miał wrażenie, że jej oczy błagają go, by wszedł głębiej.

— Wszystko w swoim czasie — szeptał wtedy.

I cofał rękę.

Walczyły w nim, z jednej strony chęć, by nie przyspieszać naturalnego toku rzeczy, by zachować jej dziewictwo, z drugiej zaś cielesne namiętności, przed którymi musiał bronić się z największym trudem.

Antonina wcale nie stanowiła jedyne dla nich zagrożenia. Również Amandyna pojawiała się w czasie lekcji bez powodu. Sprawiała wrażenie, jakby wyczuwała emanujący z tych bardzo prywatnych lekcji niepokój. Oczywiście nie ośmieliła się nigdy na żadną uwagę pod adresem nauczyciela, ale szokował ją widok nauczyciela siedzącego obok Sandry, a nie naprzeciwko niej. Kochała jak córkę tę dziewczynę, którą nazywała „maleństwem”. Oryginalna uroda nauczyciela budziła jej niepokój. Dla niej Fabrycy był typem Złego Wilka.

Z uwagą przyglądał się twarzy Sandry, starając się

dostrzec na niej ślady ewentualnej rozwiązłości. W rzeczy samej, zaloty Fabrycego działały na młodą dziewczynę do tego stopnia, że po lekcjach zamykała się w swym pokoju lub w toalecie, by dokończyć jego dzieła we wprowadzaniu ją w tajniki rozkoszy.

Jedynym nieprzyjemnym momentem tych wizyt w domu szczęścia były dla Fabrycego soboty, kiedy to Antonina wręczała mu kopertę zawierającą trzy stufrankowe banknoty, zarobione podczas tygodnia.

W świecie namiętności, który odkrywał przed Sandrą, pieniądze wydawały się brudne. Wiele już razy, mimo próśb rodziców, odmawiał udzielania lekcji prywatnych. Nie potrzebował pieniędzy. Ale nie mógł przecież zaproponować, by Pontevaux mu nie płacili. Wkładał więc zarobione banknoty do pudełka po cygarach. Mógł je przeznaczyć jedynie na zakup prezentu dla Sandry.

Ale i tutaj obawiał się naruszyć protokół. Nauczyciel nie daje przecież prezentów swoim uczennicom. Jakież to wszystko było skomplikowane!

— Kiedy skończy piętnaście lat, poślubię ją — powtarzał sobie ciągle. Skończą się wreszcie te wybiegi, ciągłe kontrole, niepewność i niepokój... Ale czy ona zechce?

Nigdy w życiu nie czuł się tak onieśmielony.

Gdy chciał dotknąć jej piersi, czuł, jak się czerwieni niczym uczeń, bardziej nawet niż podczas pieszczot bardziej śmiałych. A działo się tak dlatego, że w czasach swej młodości często musiał zadowalać się właśnie biustem, który kojarzył mu się od tej pory z narodzinami zmysłowości. Ich hipnotyczna moc i czarodziejska magia pozostały nienaruszone.

Fabrycy Villard przegląda tłumaczenie *Dzieciństwa* Gorkiego, wydane w 1948 roku, które chce ofiarować Sandrze. Na zapleczu sklepu ojca Wilhelma, jedyne księgarni w Foussy, unosi się miły zapach starego papieru, skóry, atramentu i kurzu, który mimo ciągłej z nim walki

zawsze tu zwycięża... Nauczyciel czuje się tutaj znakomicie, pośród stosu papieru, gdzie spotyka czasami kilku pilnych licealistów szukających jakiejś cennej pozycji lub dziecko, które ściskając w rękę dziesięciofrankowy banknot szuka niezbyt drogich albumów.

— Młodzi są moimi najlepszymi klientami — mawia ojciec Wilhelm. — Czasami zjawiają się też tutaj pana koledzy, ale raczej rzadko. Mieszkańcy Foussy wolą Dom Prasy, z tym jego potwornym odorem nowości. Kupują tam wydania kieszonkowe i literackie nagrody danego roku... Ale i tam kupujących jest coraz mniej...

Fabrycy patrzy na pokryte ciemnymi plamami ręce ojca Wilhelma. Wyobraża sobie miliony stronic, jakie ten siedemdziesięciopięcioletni człowiek musiał przekartkować w ciągu pięćdziesięciu lat swej pracy.

— Och tak, pięćdziesiąt lat — rzekł mu kiedyś ojciec Wilhelm. — Zaczynałem w Dijon z moim ojcem. To było w 1930 roku, wtedy z łatwością znajdowało się oryginały Balzaka...

„Ten sklepik umrze wraz z jego siwym właścicielem, myśli Fabrycy. Kto wtedy będzie jeszcze umiał pieścić książki i wchłaniać ich zapach tak, jakby to były kobiety?”

Ręce starca drżą lekko, gdy zagina ozdobiony papier w kolorze pergaminu wokół książki Gorkiego. Natomiast kokarda z czerwonej wstążki zostaje wykonana z niespodziewaną zręcznością.

— To moja ostatnia rolka bawełnianej wstążki — mówi. — Teraz można kupić już tylko nylonowe. Ale one są nie nic warte, bo są śliskie.

Dzwonek u wejściowych drzwi dźwięczy w całym sklepiku.

— Jakiś klient — mówi ojciec Wilhelm. — Zostawiam pana...

Fabrycy lubi zostawać tu sam. Siada na taborecie przy stole uginającym się pod ciężarem dzieł, które właśnie są klasyfikowane. Zaczyna marzyć. On, który nigdy nie miał

najmniejszych pisarskich zapędów, czuje ogromny szacunek i wzruszenie na myśl o tych nieznanach rękach, które trzymały pióro pisząc kilometry słów.

Próbował wytłumaczyć to uczucie Sandrze podczas jednej z niedawnych lekcji. A potem dodał:

— Szkoda, że krytycy nie patrzą na to w ten sposób.

— Krytyk ma obowiązek być obiektywny. Spojrzał na nią zmieszany:

— Może masz rację...

Przypomina sobie tę rozmowę patrząc na skarby ojca Wilhelma, piętrzące się wokół niego. Nie może nie przyznać racji Sandrze. Wczesna młodość nie zna uczucia szacunku. A jednak... Czyżby tak wiele ich już dzieliło? — Fascynacja przeszłością — mówi do siebie na głos — miłość do tego, co stare, szacunek dla twórczości, co z tego wszystkiego zostanie, gdy Sandra będzie miała trzydzieści lat? To pewnie moje studia wykształciły we mnie mentalność z czasów dinozaurów!

Ostrożnie sięga po serię Waltera Scotta wydaną w 1844 roku. Nie może powstrzymać się od uwagi:

— Te dzieła mógł mieć w rękach Balzak...

— Dzień dobry, profesorze, ojciec Wilhelm powiedział mi, że zastanę pana tutaj. Pracuje pan?

Stos książek Waltera Scotta zwala się z łoskotem na ziemię niczym wieża obronna fortecy zaminowanej przez wrogą jednostkę. Fabrycy był bardzo daleko od Foussy i rodziny Pontevaux, zatopiony w marzeniach z dzieciństwa, na których marginesie szybowiała Sandra... Głos Antoniny Póntevaux zabrzmiał z ogromną siłą na zapleczu sklepu, gdzie ściany pokryte książkami stworzone były do szeptów oraz szmeru odwracanych kartek.

To był prawdziwy gwałt!

To nagłe wtargnięcie Antoniny wywołuje u Fabrycego natychmiastową migrenę. Niewiele brakowało, a byłby wykrzyczał pod jej adresem całe swe oburzenie. Czyż

bowiem ta część sklepu nie jest miejscem świętym, a czytelnik oddający się tu marzeniom — nietykalnym kapłanem?

Antonina nie zostawia mu czasu na gniew. Pochylając się, by pomóc mu zebrać książki, ociera się o niego. Udaje jej się w dodatku odpiąć górne guziki bluzki i podnieść spódnicę. Poły płaszcza z czarnej wełny unoszą się jak skrzydła drapieżnego ptaka. Gdy książki wracają już na swoje miejsce, wstaje, łagodnie opierając rękę na jego ramieniu.

W przeciwieństwie do gwałtownego jej wtargnięcia pieszczota, jaką czuje teraz Fabrycy na swej ręce leżącej na stole tuż obok oprawionych w zieloną skórę *Wyznań* Rousseau, jest nad wyraz delikatna. Antonina siada śmiało na stole, on ciągle stoi, spięty, ale czuły już na piżmowy zapach kobiety, która odświeża staroświecką atmosferę tego miejsca.

— Nigdy nie udaje mi się spotkać pana r»a osobności — mówi. — Ciągłe jest pan zajęty.

— Sandra powinna robić postępy — odpowiada w przystępie jakiejś głupiej asekuracji.

— Gdy byłam młodsza, zawsze marzyłam, żeby mieć takiego nauczyciela jak pan...

„Powiedziała młodsza, a nie po prostu młoda. Jaki dziwny zapach... Mieszanina piżma i seksu. Nie zgwałci mnie chyba przecież między dwoma stosami książek ojca Wilhelma. A on co właściwie robi? Mógłby mi przyjść z pomocą. Ale nie. Izoluje się w swoim sklepiku. Kto wie, czy nie zorganizował razem z nią tego spotkania na zapleczu sklepu, które zaczyna nabierać już zapachu alkowy?”

— Och nie — odpowiada machinalnie na pytanie, które ledwo co dosłyszał — nie wychodzę wieczorem.

— A kto panu mówi o wychodzeniu? Chciałabym po prostu zobaczyć, jak to jest, gdy się spędza noc w tym pańskim wozie...

— Nie wydaje się pani, że jest to zbyt obcesowa propozycja? — pyta odważnie Fabrycy.

Po czym oboje wybuchają głośnym, spontanicznym

śmiechem, który łagodzi napiętą atmosferę. Fabrycy Vil-lard czuje wzrastające pożądanie. Usilnie stara się odnaleźć w twarzy Antoniny ślad rysów Sandry...

— Nikt się o tym nie dowie — mówi Antonina, jakby wiedziała, o czym on myśli.

Przybliży swą twarz do ust nauczyciela, by mógł sobie sam wybrać miejsce pocałunku. Zapach jej skóry wydaje się coraz bardziej delikatny i zmysłowy zarazem. Antonina zsuwa się ze stołu i zatrzymuje tuż przy Fabrycy, nagle staje się jakby małą dziewczynką... Jest niska. Wyciąga rękę, by objąć go za szyję.

„Iście filmowy pocałunek”, myśli nauczyciel wyrzucając sobie własną słabość.

Chciałby jej powiedzieć, że nie chce, że nie dotknął żadnej kobiety, odkąd zakochał się w Sandrze. Ale słowa, które wychodzą z jego ust, oddalonych o milimetr zaledwie od ust Antoniny są zupełnie inne, coś w stylu:

— Ale u mnie nie jest zbyt wygodnie.

— Sądzisz, że to problem?

To nieszczęsne „ty” wyrywa go ze stanu odrętwienia. Myśli ironicznie: „Nie czeka nawet, aż to się stanie, by przejść na ty. Tradycje znikają...”

Odsuwa się od niej łagodnie i mówi:

— Nie, pewny jestem, że tam by się pani nie spodobało. Zdecydowany ton jego głosu odpycha ją od niego.

W jej oczach smutek walczy z uczuciem wściekłości.

Aby uniknąć ośmieszenia bezskutecznymi prośbami, Antonina wzdycha tylko:

— Może to i lepiej...

— Z pewnością — mówi z ulgą Fabrycy. Antonina wyciąga do niego rękę w przyjacielskim geście. W jej głosie słychać fałszywą nutkę, gdy wesoło oznajmia:

— A więc do jutra, w domu... Jutro ma pan przecież lekcję z Sandrą, prawda?

— Ach tak — odpowiada Fabrycy — jutro lekcja...

2

Lekcje prywatne wyznaczają rytm całego tygodnia zarówno Sandrze, jak i Fabrycemu. Teraz mogą być już sami w domu, który daje im poczucie bezpieczeństwa, jest pełen życia, ciepła i przyjaźni. Antonina przestała im przeszkadzać. Tylko Tristan jest tutaj, patrzy na nich, potem się kładzie. Oboje uśmiechają się, gdy wzdycha i warczy przez sen.

Rok szkolny płynie wolno.

Fabrycy zmusił się do, jak mawia, wyprowadzki z Foussy na Święta Wielkanocne. Moreau, przyjaciel z dzieciństwa, którego widuje raz do roku, zaprosił go do siebie, niedaleko Quimper.

Motorhome wraca na służbę.

Sandra schowała się za kasztanowcem. Fabrycy przyszedł rano do domu, by się z nią pożegnać. Ale gdy tylko wsiadł na rower, pojechała na swojej motorynce na alejki do gry w kule. Korzystała ze skrótów, których on nie zna. Z ukrycia bacznie przyglądała się, jak sprawdzał ciśnienie w oponach, poziom oleju, wodę w chłodnicy i płyn akumulatora.

„Można by pomyśleć, że przygotowuje się do jakiejś wielkiej wyprawy... Nawet nie zaproponował mi, żebym z nim pojechała!

...Czy byłoby to aż tak niemożliwe?

Tak, oczywiście. Wcale o tym nie rozmawialiśmy, bo nie miałyby to żadnego sensu. Nawet jeśli mama byłaby tak bardzo przychylna, na jaką wygląda... Ojciec od razu by sobie przypomniał, że mam dopiero trzynaście lat. Jego dusza rozpustnego liberała obnosiłaby się ze swą urażoną dumą...

No, gotowe, silnik zaczyna pracować.

Fabrycy patrzy prosto przed siebie, nawet nie spojrzy w moim kierunku, a więc nie czuje mojej obecności. Co też ja sobie wyobrażałam? Że podejdzie bez wahania do drzewa, za którym się ukryłam, by mnie zza niego wyprowadzić i wziąć w ramiona?

Kierunkowskaz już mruga, a więc rusza.

Najważniejsze to, żebym nie zaczęła płakać!"

„Dobry Boże, po raz pierwszy w życiu mam wrażenie, jakby mój stary ślimak-motorhome-bedford nie posuwał się wcale naprzód... Co z tego, że opuściłem autostradę, by poszaleć trochę na zwykłych drogach, kiedy mi się wydaje, że nigdy nie dojadę do Paryża... A co dopiero do Bretanii!

Na szczęście mogę zatrzymać się na noc tuż przy drodze. Nie muszę szukać kempingu.

Dlaczego nie starczyło mi odwagi, żeby pójść porozmawiać z ojcem Sandry? Zważywszy na to, co mówiła Nana, i wzięwszy pod uwagę jego pozycję patriarchy w domu szczęścia, sprawa wcale nie była z góry przegrana..."

W pobliżu Nemours zaskakuje go drobny deszczyk. W rytm pracujących wycieraczek Fabrycy tworzy na głos wyimaginowany dialog, który wprawia go w stan egzaltacji. Scena ma miejsce w bibliotece, w której zazwyczaj odbywają się prywatne lekcje. Ale ani on, ani Franciszek Pontevaux nie siedzą przy stole. Obaj zagłębieni są w wygodnych, skórzanych fotelach stojących po obu stronach kominka. Palą. W szerokich koniakówkach, które trzymają w rękach, odbija się światło.

— A więc — zaczyna Franciszek Pontevaux — chce pan zabrać moją córkę do Bretanii?
— Chcielibyśmy bardzo pojechać tam razem — odpowiada Fabrycy Villard. — Tak się składa, że mój przyjaciel, który uczy matematyki w Paryżu, ma w Bretanii dom...

Franciszek Pontevaux rozkoszowałby się chwilę kolejnym łykiem koniaku, a potem by odparł:

— Czy pomyślał pan o wieku mojej córki, drogi panie profesorze?

— Gdy w grę wchodzi miłość, wiek nie ma żadnego znaczenia, proszę pana.

— To piękne słowa. Gdyby miała piętnaście lat, nie powiem, może... Ale ona ma trzynaście i pół!

— Kiedy Sandra będzie miała piętnaście lat, poślubię ją!

Po tych słowach ponownie przed oczami Fabrycego pojawiają się wycieraczki, biblioteka zaś znika.

Fabrycy zaczyna zastanawiać się, czy rzeczywiście poślubiłby Sandrę teraz, natychmiast, gdyby miała już piętnaście lat...

— Mój Boże, czemu nie? Powiedział to znowu na głos.

— Nigdy się nie ożeniłem, przyrzekłem sobie nawet, że nigdy tego nie zrobię. Ale małżeństwo uprościłoby naszą sytuację. Tak. To może być początek wielkich problemów, ale na razie wszystko stałoby się prostsze...

Nie spostrzegł się nawet, jak dotarł do Paryża. Szczęśliwy, bierze kurs na autostradę zachodnią.

W ogrodzie doktora Paula, weterynarza z Foussy, dziecięcy domek, do którego Hieronim zaparasał Sandrę, ustąpił miejsca trawnikowi ozdobionemu różanymi krzewami, zasadzonymi tutaj przez panią Paul. Franciszek Pontevaux przyniósł starą skrzynię ze szlifowanych przez lata kamyków. Obrócona do góry dnem tworzy romantyczną ławeczkę. Sandra i Hieronim wymieniają na niej

zwierzenia. Czasami oboje mają wrażenie, jakby wznosiły się wokół nich ściany domku sprzeza lat, stare okiennice, stare obicia... Są jeszcze zbyt młodzi, by to wspomnienie ich wzruszało, ale oboje milkną na kilka chwil, nie bardzo wiedząc dlaczego. A potem:

— Jak tylko wróci — mówi Sandra — pójdę z nim do łóżka.

— Gadanie...

— Wiem, co mówię.

— Najważniejsze jest to, żebyś wiedziała, czego chcesz.

— Kotku, ja zawsze świetnie wiem, czego chcę.

— Wiesz także dobrze, że nie cierpię, jak do mnie tak mówisz. Już niedługo skończę szesnaście lat, do cholery, i mam metr siedemdziesiąt pięć wzrostu.

— Drogi Hieronimie, ja za pół roku będę miała czternaście lat i wszyscy się dziwią, że mam już metr sześćdziesiąt trzy.

— Czy to znaczy, że wiesz, czego chcesz?

— Chcę jego.

— Nauczyciela?

— Tak, głuptasie!

Przez chwilę znowu stają się dziećmi, przepychają się i szturchają na ławeczce.

— Zimno mi w pośladki — mówi Sandra.

— Jak wróci nauczyciel, będzie ci ciepło.

— Jesteś głupi!

— Na razie pozwól mi rozgrzać ci ramiona...

I znowu wybuchają śmiechem, tym razem nieco nerwowym. Hieronim otacza Sandrę ramieniem.

— Moglibyśmy być w sobie zakochani — mówi. — Mało brakowało, a tak by było...

Jego ręka wsuwa się powoli pod jej sweter, rozpina guziki bluzki. Sandra nie protestuje. Pieszczoty Hieronima są równie delikatne, jak delikatna jest jej skóra na czubkach piersi, do których napływa coraz więcej krwi. Jej serce bije coraz mocniej.

— Chcesz? — pyta trochę zdziwiony Hieronim.

— To tak, ale nic więcej.

— Jeszcze usta.

— Dobrze, ale więcej nic...

Powracają dziecięce zabawy. Wzdychając z rozkoszą Sandra szepcze:

— Kochać będę się z nim.

3

— Ponury jest ten dom Moreau — mówi Fabrycy. — A poza tym przez cały czas padało. W ogóle ta Bretania...

Poważny wyraz twarzy tego, który zawsze skłonny jest do żartów nawet z samego siebie, zachwyca Sandrę, która w pozycji grzecznej uczennicy siedzi obok niego na kanapie motorhome'u. Pochyliła się, by delikatnie pocałować go w policzek.

— Proszę już o tym nie myśleć — mówi. — Jest pan tutaj... Foussy bez pana było okropne. A poza tym, tutaj też ciągle padało... O, właśnie tak!

Kładzie palec na ustach, by tym gestem nakazać mu milczenie. Wsłuchują się w odgłos deszczu uderzającego

o blaszany dach. Dwie sikorki siedzące na ramie otwartego okna otrzepują swe piórka z deszczu.

— Tak, to prawda — mówi Fabrycy — przedwiośnie wszędzie jest okropne...

Sandra wybucha śmiechem na widok jego niezręczności

i onieśmienia, słysząc, jak mówi byle co, żeby tylko zapełnić czymś niepokojącą ciszę tego pierwszego po rozstaniu spotkania.

— Dlaczego się śmiejesz?

— Proszę, wrócił nauczyciel: „Uczennico Pontevaux, dlaczego się śmiejesz?” Bo dziwnie wyglądam w tym pańskim samochodowym lusterku...

Patrząc na kolejne miny Sandry w lustrze zawieszonym na lewo od okna, Fabrycy z kolei wybucha śmiechem. Sikorki na oknie wygładzają teraz swe piórka.

— Nie wiedziałem, że jesteś taka dobra w robieniu min.

— Chciałabym bardzo zapisać się do szkoły cyrkowej, aby zostać clownem!

Oszpecając swą twarz przed Fabrycym, który, wreszcie całkowicie rozluźniony, śmieje się z całego serca, Sandra stara się opóźnić moment, gdy on zrozumie wreszcie, że gotowa już jest na tę wielką chwilę. Jej zmieniająca się w kolejnych grymasach twarz jest maską. Naciągając policzki palcami, wysuwając brodę, marszcząc brwi tworzy zadziwiającą minę pitekantropusa.

— Czyż nie przypomina to człowieka z osad wodnych, profesorze?

— Trzeba by zapytać mojego kolegę historyka.

— Ach! A ten zupełnie jakby wyjęty z rewolucji 1789... W każdym razie przez ten deszcz motorhome na pewno przypomina dom na palach.

Fabrycy korzysta z tego stwierdzenia, by wstać ze swego miejsca, gdzie udo Sandry dotykało jego nogi, i wychylić się przez okno. Sikorki odlatują.

— To prawda — mówi — woda sięga już do połowy kół.

Sandra korzysta z opuszczonego miejsca, żeby ułożyć się wygodnie na poduszkach w na pół siedzącej, na pół leżącej pozycji.

— Co jest tam w środku? — pyta pukając w beżową narzutę. — To jest równie twarde jak łóżko fakira.

— Można się przyzwyczać — mówi Fabrycy. — Zamknę okno. Deszcz zaczyna już wpadać do środka.

Te słowa brzmią fałszywie, zdradzają, że czuje się nieswojo. Waha się przez chwilę, po czym opuszcza błękitną zasłonkę, która natychmiast stwarza intymny nastrój wnętrza. Sandra patrzy na ten błękit, jakby chciała poprzez niego dojrzeć nieobecne słońce.

— Przygotuję kawę — odzywa się Fabrycy. Rozsuwa harmonijkowe drzwi, które skrywają kuchenną szafkę.

— Ja mogę to zrobić, jeśli pan chce — mówi Sandra.

— Nie, nie. Tak ładnie wyglądasz na tym łóżku fakira!

Sandra przygląda się jego precyzyjnym gestom, obliczonym dokładnie na tę ograniczoną bardzo przestrzeń. Długie, trzymające krede lub podręcznik dłonie, którym tak często przyglądała się w szkole lub podczas lekcji prywatnych, gdy leżały na blacie stołu w bibliotece, krążą teraz między małym garnuszkiem do gotowania wody a cukiernicą, paczką kawy a ekspresem Melitta przeznaczonym na dwie filiżanki. Ten widok dziwi ją i rozbawia jednocześnie.

— Nic nie widzę — mówi Fabrycy — możesz nacisnąć przycisk, tu, obok ciebie?

Zapalona lampa, ukryta między dwiema książkami, tworzy cienie, które tańczą w błękitnym blasku zasłony. Sandra przymyka oczy. Widzi Fabrycego już tylko jako wysoką postać o rozmazanych konturach, wzniesioną aż pod niski sufit niczym ogromny, zamknięty w klatce goryl. Postać robi krok w stronę łóżka. Sandra otwiera oczy szeroko.

— Możesz się trochę posunąć?

Stawia pomiędzy nich na kanapie małą okrągłą tackę, na której stoją dwie filiżanki.

— Dwie kostki cukru?

— Tak.

Ich ręce, jak gdyby to „tak” odpowiadało na zupełnie inne pytanie, którego nie ośmielają się postawić, splatają się na moment ponad filiżankami. Piją nie patrząc na siebie.

— Nie ma tu muzyki? — pyta Sandra odstawiając filiżankę.

— Ależ tak, oczywiście, mam kasety...

Ze zręcznością człowieka przyzwyczajonego do życia

w niewielkiej przestrzeni, wkłada filiżanki do zlewu, chowa tacę w szufladzie i sięga po *Nokturny* Chopina, na co Sandra mówi:

— To nie jest zbyt nowoczesne, ale pasuje do nastroju.

Niszcząc w ten sposób, najlepiej jak tylko potrafiła, atmosferę wykreowaną przez światło i muzykę Sandra czeka, aż Fabrycy, skończywszy z zasłonką, kawą i Chopinem, pomyśli wreszcie o niej.

Tak naprawdę to nie przestawał o niej myśleć przez cały ten czas. W tej blaszanej chatce, która dzięki jej obecności stawała mu się coraz bardziej bliska, czuł, że Sandra nie traci z oczu ani jednego gestu. Czy udaje mu się zapanować nad drżeniem rąk? Odgłos przejeżdżających samochodów, licznych w to niedzielne popołudnie, gdy rodziny odwiedzają się nawzajem, sprawiał, że wydawało mu się, że oni także są w drodze, a motorhome, szalony pojazd bez kierowcy, wiezie ich gdzieś w nieznane. Nie pamięta już, czy kiedykolwiek kochał się z jakąś kobietą na tej kanapie, na której teraz siedzi wyzywająco Sandra w obcisłych džinsach i ze sterczącymi pod koszulką z napisem „LOVE” piersiami... Każdy pretekst był dobry, by odwrócić się do niej plecami: zasłonka, kawa, czy cokolwiek innego. Czuł się jak idiota, a jednak nie mógł zdecydować się spojrzeć jej w oczy i dać do zrozumienia, że ma na nią ochotę.

— Sytuacja jest bez wyjścia — mówi Sandra. — Chopin nam nie pomoże. A więc to ja muszę zrobić pierwszy krok. Chodź!

Otacza szyję Fabrycego ramionami, zmuszając go, by się nad nią pochylił. Fabrycy próbuje jeszcze bełkotać jakieś słowa, ale wargi Sandry, dotykające jego warg uniemożliwiają mu to...

— Nic nie mów!

Nie mówi już nic. Także już nie myśli. Sandra może teraz oddać mu się cała, pozwolić mu zadbać o ich wspólną rozkosz.

Oboje są nadzy. Sandra oddaje się cała we władanie tych rąk, których pieszczot tak bardzo pragnęła, a które muskają jej ciało tak delikatnie, jakby głaskały kwiat. Jej ciało w miarę poznawania jego ciała preży się, staje się coraz bardziej uległe.

— Jesteś piękny — mówi. — Wszystko to jest piękne.

Wargi Fabrycego zsuwają się wzdłuż brzucha, wchłaniają zapach młodej dziewczyny, która jęczy coraz głośniejsze. Fabrycy nie pamięta już innych ciał, które pieścił, posiadał, ogarnia go niewysłowione szczęście. Powtarza sobie w kółko: „Liczy się tylko ona, nie ma nikogo innego!”

Podnosi się lekko, by na nią spojrzeć, popatrzeć na jej uda, tak często, gdy podnosiła się pod ławką krótka spódniczka, podglądane i pożądane. Potem ponownie zaczyna całować jej ciało. Ręce Sandry zaplatają się na jego ramionach.

— Teraz! — szepcze.

Gdy Sandra odsuwa błękitną zasłonkę, do pomieszczenia wpada zapach mokrej trawy. Sandra wdycha go z rozkoszą.

— Chodź!

Wyciąga rękę w kierunku Fabrycego, by przywołać go do okna. Zamyka oczy. Wyobraża sobie ich wspólne spacerowanie po miejscach jej dzieciństwa...

— Chcę zobaczyć twoje oczy — mówi Fabrycy.

— Zmieniły się?

— Tak.

— Pogoda także — mówi Sandra. — Spójrz! Sikorki znowu latają przed oknem i śpiewają w promieniach słońca.

— Ubierz się — mówi Sandra. — Pójdziemy zobaczyć tęczę.

— Tęczę?

— Wiosną, gdy tak nagle po deszczu pojawia się słońce, zawsze jest tęcza.

Przytula się do niego, kładzie mu głowę na piersiach. Fabrycy pieści jej jasne włosy.

— Nic nie mów. Wiem wszystko. Pospiesz się. Tecze trzeba umieć schwytać...

— Tak jak miłość — odpowiada Fabrycy.